

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

ROK XII.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Lipca 1887 r.

POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

III. POWIEŚĆ PSYCHOLOGICZNA.

1. Mrs. Oliphant.

Kiedy w roku 1880 podobno ukazała się powieść p. t. „The Greatest Heiress in England", krytyka miejscowa, na którą oglądać się muszę z głębokiem uszanowaniem, wyrzekła wielkie słowa. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pani Eliot wywołaną została ze świeżego grobu, w któréjś z najpoważniejszych recenzyi, a sam Balzac w drugiéj. Czy ta to ewokacya uroczystych cieniów stała mi się pobudką do wydzielenia szanownéj autorce, o któréj mam mówić, osobnego miejsca pośród spółczesnych „Sybil"? Mimo całego wyżéj wyrażonego uszanowania, chcąc powiedzieć prawdę, muszę odpowiedzieć, że nie koniecznie. Tak jest, mniemam, iż Mrs. Oliphant zasługuje na lepszy traktament, jak na zapodzianie jéj osoby w tłumie *clergymen*'owych córek, budujących i ewangelizujących publiczność angielską dwa razy do roku swojemi homiliami w trzech tomach — ale nie dla tego, że napisała „The Greatest Heiress in England." Mniemam, iż jest w jéj powieściach to *coś więcéj*, czego szukaliśmy napróżno w powieściach Miss Rhody Broughton, więcéj nad tuzinkową intrygę, drobiazgową notacyą szczegółów i jaki taki wdzięk obrazowania; więcéj nad to nawet, co daje się znaleźć u takiego niezaprzeczenie utalentowanego pisarza, jak William Black. Są *charaktery* przedewszystkiém, w miejscu figur i figurantów. Jest rzut oka na wielką zagadkę duszy ludzkiéj, dziwnie przenikliwy czasem, a z niepospolitym wyzyskany artyzmem. Jest filozoficzna i artystyczna tendencya w kierunku całkiém osobnego rodzaju powieściowego, zbliżonego wielce do maniery przeważającéj u spółczesnych powieściopisarzy francuskich. Ale nie zdaje mi się by-

najmniéj, aby historya „Największéj partyi w Anglii“ była arcydziełem w tym rodzaju, ani nawet arcydziełem dotychczasowéj twórczości pani Oliphant. Uczynię zresztą zaraz czytelnika sędzią w téj sprawie.

John Trevor jest prostym nauczycielem wiejskim, który niespodzianie znalazł się na starość panem wielkiego majątku. Brat jego żony, który wywędrował do Indyi, odkrył tam jakąś kopalnię złota. John Trevor, w bogacza przemieniony, nie zmienił swojego trybu życia. Typ to skąpca, ale skąpca racyonalnego, bo właściwie nie skąpi on sobie niczego, coby mu mogło sprawić przyjemność; tylko że te przyjemności, których zwykle fortuna dostarcza, nie mają dla niego ponęty. Osobom, które go pytają, dla czego nie trzyma powozów, odpowiada, że nie wyjeżdża nigdy z domu, a zresztą wyglądał by śmiesznie w karecie. Dla czego niema tuzina lokajów? Dla tego, że nie może cierpiéć ich widoku, nawykł do usługi niewieściéj i nie znosi innéj. Nawykł on tym sposobem do wielu rzeczy odpowiadających dawnemu jego stanowi i mniema, że w siedmdziesiątym i którymś roku życia za późno dlań myśléć o przyzwyczajaniu się do nowego stanu. Jest przecie jedna przyjemność, któréj narzędziem są mu posiadane miliony i któréj używa on z rozkoszą, namiętnie, a mianowicie obracanie temi milionami i pomnażanie ich liczby. I druga przyjemność: rozmyślanie o tém, co się stanie z temi milionami po jego śmierci i jak używać ich będą mogły inne, młodsze ręce. W poczuciu własnéj bezsilności w tym względzie, przywiązuje się on całą duszą do tego pośmiertnego użytkowania, ale chce miéć w niém udział antycypowanym sposobem, i to udział jak największy. Chęć jego wzrasta w tym kierunku z dniem każdym i wyobraźnia jego wysila się na powiększenie tego sztucznego uczestnictwa. Posiada on córkę, która będzie „największą partyą w całéj Anglii“, która będzie miała u swych stóp wszystkie uciechy tego świata, która będzie mogła ich używać, która *powinna* ich używać za siebie i *za niego*, ale nie inaczéj tylko w sposób przewidziany przezeń z góry i zastrzeżony w uroczystym dokumencie, którego redakcya jest zadaniem wszystkich godzin jego dogorywającego życia.

Pisze on testament i pracuje nad nim dni całe i noce całe bezsenne. Przekształca go ciągle i mnoży bezustannie paragrafy i kodycyle, dopóki niespodziany atak paraliżu nie wyrywa mu pióra z ręki.

Nie byle kto, oczywiście, skreślił ten portret, i nie cofnę się przed uznaniem, że można w obec niego przypomniéć sobie Balzac'a bez zrobienia krzywdy Balzacowi. Tylko niepodobna jedno-

cześnie nie pomyśléć o tém, co wielki powieściopisarz francuski byłby zrobił z taką postacią. To pewna, że nie byłby z niéj zrobił *wstępu* do powieści, że nie byłby się zadowolnił naszkicowaniem jéj konturów, że byłby postarał się o wprowadzenie jéj w grę życiowych stosunków, o zetknięcie jéj z otaczającym światem i uwydatnienie wywołanych w ten sposób reakcyi....

Mrs. Oliphant nie pomyślała o niczém podobném; albo jeżeli pomyślała, to rozstała się zaraz w drugim czy trzecim rozdziale ze swoim pomysłem (jak to się jéj często zdarza); uśmierciła starego *Johna Trevora* i zaprzątnęła się, bez podziału, losami jego spadkobierczyni. Testament, o którym wspomniałem poprzednio, rozporządził temi losami w sposób dość dziwaczny. Siedmnastoletnia *Łucya Trevor* pozostać ma przez lat siedm pod opieką konsorcyum złożonego z siedmiu osób należących do najrozmaitszych klas społeczeństwa; spędzać winna połowę roku w Londynie, u *lady Randolph*, która odkryła jakoweś pokrewieństwo między własną arystokratyczną rodziną a plebejuszowską rodziną *Trevorów*, drugą zaś połowę w rodzinném *Farafield* i pod skromnym dachem małżonków *Ford*'ów, u których mieszkał jéj ojciec. Nakoniec, aż do wyżéj oznaczonego terminu przyzwolenie wszystkich siedmiu jéj opiekunów niezbędném jest dla upoważnienia jéj do wejścia w stan małżeński. Stary *Trevor* sam przypuścił, iż urzeczywistnienie téj ostatniéj klauzuli równa się prawie absolutnemu niepodobieństwu.

Oczywiście, przypuszczając ze swéj strony podobną kombinacyą, któréj prawdopodobieństwa roztrząsać nie chcę (wszystko jest mniéj lub więcéj możliwém w tym rodzaju rzeczy, nawet rzeczy nieprawdopodobne), Msr. Oliphant zamierzyła „eksperyment“ *à la Goncourt*. Zamierzyła pokazać, jak się te dwa światy, tak od siebie różne, wielki świat londyński i mało-miasteczkowy, Farafieldski, zachowają w obec wyzwania rzuconego sobie przez starego *Trevora*; wyobraziła sobie i obiecała sobie wyobrazić przed nami walkę różnorodnych pożądliwości, roznamiętnionych dokoła rzuconego pomiędzy nich, ale własnym ich antagonizmem zazdrośnie strzeżonego łupu. Zamierzyła niezawodnie to wszystko, jak byłby zamierzył Balzac, jak byłaby może zamierzyła pani Eliot, gdyby się była zaawanturowała w takie przedsiewzięcie, — ale, mając jeszcze przed sobą półtora tomu, nie zrobiła nic z tego wszystkiego, albo prawie nic.

Łucya Trevor jedzie do Londynu z lady *Randolph*, ale ponieważ jest w żałobie po ojcu, przeto nie zapoznaje się ze światem stołecznym, co może być wymówką zadawalniającą dla logiki, ale nie dla naszych wymagań względem powieści i usprawiedliwionych

oczekiwań. Boć nic nie przeszkadzało autorce *przeczekać* żałobę. Dość trywialna, bo oklepana (zwłaszcza w angielskiém powieściopisarstwie) awantura z młodym poetą, który przypisuje jéj pierwszy owoc swych natchnień i kompromituje ją tą niedość wstrzemięźliwą dedykacyą; oto wszystko, co nasza posażna jedynaczka wywozi z sześciomiesięcznego pobytu w stolicy, po którym czeka ją sześciomiesięczna wilegiatura w *Farafield*.

Nic zabawniejszego — zapewnia nas autorka — jak to raptowne przejście z jednéj sfery w drugą i wywołane niém kontrasty. Być może. Ale chyba wypadało *pokazać* nam to zabawne widowisko, ujawnić przed nami te kontrasty. Owóż autorka w części tylko, w bardzo skromnéj części dokonała tego zadania, spuszczając się zresztą na naszą wyobraźnię, co pochlebiać nam może, ale nam nie wystarcza. Nowa, trywialniejsza jeszcze awantura z „tłustym“ jurystą (siostrzeńcem pani *Stone*, jednéj z opiekunek), okraszona wprawdzie dość komicznemi oświadczynami ambitnego dżentlemana, doprowadza nas do końca Farafieldskiéj wilegiatury, do końca drugiego tomu i do końca powieści. I co daléj? Nic, koniec. Zjawia się nieunikniony kuzyn, w postaci dojrzałego (koniecznie *dojrzałego*, u pani Oliphant także) siostrzeńca lady *Randolph*, który perswaduje zakłopotanéj *Łucyi*, że najlepiéj zrobi ona uwalniając się od wszystkich kłopotów, od kompromitującego poety i od „tłustego“ jurysty, oddając jemu samemu swoję rękę.

— Ale czyż muszę koniecznie oddać moje rękę komuś? — pyta *Łucya*.

— Koniecznie — odpowiada *sir Randolph* — chyba, że chcesz pani przedłużać do końca życia ten turniéj posagowy.

I sprawa załatwiona. A przyzwolenie siedmiu opiekunów? Czy zgodzą się oni wszyscy na osobę *lorda Randolpha*? Muszą, bo inaczéj powieść miałaby co najmniéj trzy tomy, a powinna miéć tylko dwa. Godzą się wszyscy. Nawet nie każą się prosić bardzo. Zabrakło by miejsca na dłuższe ceregiele z ich strony.

Taką jest powieść p. t. „The Greatest Heiress in England“; rozpoczęta znakomicie, jak wiele innych tém samém piórem skreślonych, i jak wiele innych, jak wszystkie prawie, imię Mrs. Oliphant noszące na okładce, zawodząca czytelnika. Gorzéj od innych może, bo więcéj obiecująca od innych. Jest to materyał do powieści raczéj jak powieść, z bogactwem artystycznych motywów nie wyzyskanych należycie, porzuconych bez odpowiedniego wykończenia, zmarnowanych po prostu.

Ale zacząłem od wyrażenia przekonania, że „The Greatest Heiress in England“ nie jest arcydziełem Mrs. Oliphant. Mrs. Oli-

phant napisała dużo powieści; za dużo; są bowiem pomiędzy niemi takie, w których stanowczo doszukać się nie można nawet zmarnowanego artystycznego materyału; ale napisała między innemi, i to w ostatnich czasach, powieść p. t. „Hester.“ Powieść ta nie miała i nie ma dotąd wielkiego powodzenia. Nie dziw, jest jéj trzy tomy— i trzy tomy śmiertelnie nudne. Zacząć mi wypada od stwierdzenia tego faktu.

Między odwiecznemi instytucyami miasteczka *Redborough* — drugiego *Farafield*—znajduje się bank pod firmą *Vernon*, bank prywatny, ale w ustalonem pośród okolicznych hrabstw pojęciu, ustępujący pod względem *solidności* jednemu Bankowi Angielskiemu. Zdarza się atoli na wstępie powieści, że aktualny reprezentant firmy *John Vernon*, wdaje się w awanturnicze spekulacye i ucieka ostatecznie, zostawiając szanowną instytucyą na brzegu przepaści. Szczęściem posiada on siostrę, *Katarzynę Vernon*, starą pannę, która w téj krytycznéj chwili okazuje się kobiétą mężnego serca i dzielnéj głowy. Realizuje ona bez wahania cały swój fundusz, stawia czoło wierzycielom i wychodzi zwycięsko z walki. Ocalony przez nią bank kwitnie pod jéj kierunkiem do chwili, w któréj powierza go ona dwom swoim synowcom. Wtedy zdarza się znowu, że jeden z nich, *Edward*, wdaje się w awanturnicze spekulacye, ucieka i tam daléj, jak wyżéj. W téj krytycznéj chwili Katarzyna Vernon okazuje się drugi raz kobiétą mężnego serca i dzielnéj głowy; stawia czoło wierzycielom i tam daléj, jak wyżéj. Ale, że tymczasem doszliśmy do końca trzeciego tomu, więc po tym drugim heroicznym czynie *Katarzyna Vernon* umiera i powieść się kończy. Bo inaczéj ocalony przez nią bank byłby zapewne powierzony przez nią trzeciéj generacyi, w któréj znalazłby się może nowy awanturniczy spekulator, i usłyszelibyśmy po raz trzeci historyą o czapli na wysokiéj desce....

Naczytałem się w tych czasach dużo nudnych powieści; czytelnik powinien mi dać wiarę w tym względzie; spotkałem pewną liczbę nudniejszych, ale nie wiele. Mrs. Oliphant zamierzyła i tym razem napisać powieść, któréj nie napisała. Stawszy się głową rodziny wykupionéj przez się od ruiny i hańby, *Katarzyna Vernon* spełnia swoje zadanie w całéj jego rozciągłości. Między innemi dobroczynnemi przedsiewzięciami, obmyśla założenie domu schronienia dla zubożałych członków tejże wielce rozgałęzionéj rodziny. (Wcale udatnym jest opis malowniczego wnętrza téj instytucyi). Między innemi zaś gośćmi tego przybytku, zjawia się własna żona pierwszego marnotrawnego reprezentanta firmy, pani *John Vernon*, z córką *Hesterą*. Chciała oczywiście Mrs. Oliphant, w osobie téj

tytułowéj bohaterki, przedstawić obraz spadkowego przelewu charakterystycznych rysów moralnych; chciała naprzeciwko staréj *Katarzyny Vernon* pokazać pod innném imieniem młodą *Katarzynę* z temi samemi znamiennemi cechami umysłu, serca i temperamentu, i naturalnie zetknąwszy je z sobą, wystawić naturalny, prawdopodobny, konieczny prawie antagonizm tych dwóch z jednego kruszca w téj saméj formie odlanych, ale mimo tego, a może dlatego właśnie przystać do siebie niemogących istot. *Chciała*, ale znowu poprzestała na dobréj chęci. Na projektowane niezawodnie uwydatnienie charakteru *Hestery* zabrakło miejsca w trzecim tomie; projektowane zaś nie mniéj niezawodnie starcie między dwoma charakterami pozostało w projekcie.

Zabałamuciła się raz jeszcze szanowna autorka zbieraniem na prawo i na lewo mniéj lub więcéj interesujących szczegółów, i tak, nie opamiętawszy się, dobiegła do końca 3-go tomu. Ale... ale zdążyła po drodze wykończyć portret *Katarzyny Vernon*, a ta próbka jéj pędzla jest kreacyą, któréj nie waham się przeznaczyć miejsca między najdoskonalszemi we współczesnéj powieściowéj galeryi. Drugiego tak wybornego, tak misternie w najdrobniejszych rysach oddanego typu kobiéty szlachetnéj, ale twardéj—twardéj dla siebie i dla drugich — rozdającéj dobrodziejstwa, ale zimną jak lód ręką, i dlatego niecierpianéj mimo swych dobrodziejstw, spotykającéj się na każdym kroku z niewdzięcznością ludzką, po części z własnéj winy, z winy brakującego w jéj psychicznym ustroju *sympatycznego* owego *pierwiastku*, szukanego wszędzie przez panią Eliot i dlatego pełnéj pogardy dla ludzkości, — drugiego takiego typu nie przypominam sobie w żadnéj ze spółczesnych literatur. Pod koniec życia daje *Katarzyna Vernon* przystęp pewnéj słabości do zamkniętego na kłódkę serca: *Edward Vernon* staje się jéj ulubieńcem; ale ta miłość ciotki, zimna zawsze, trochę pogardliwa zawsze, a tyrańska, zazdrosna i nic nie przebaczająca, skłania właśnie trzymanego na pasku ulubieńca do szukania ucieczki w karkołomnych awanturach i przyprawia go o zgubę. Rys i to wybornie uchwycony. Ach! gdyby Mrs. Oliphant mogła choć raz w życiu *skupić* swój talent i pozostać jego panią—chociażby tylko przez długość jednego tomu.

Wspomnę chętnie obok portretu *Katarzyny Vernon* o sąsiadującym z nią w téj saméj powieści konterfekcie mis *Emmy Ashton*. Sylwetka to tylko, ale przewyborna sylwetka prostodusznéj mis, pozbawionéj urody i posagu, zapóźnionéj w panieńskich latach i „szukającéj okazyi“ — do zamążpójścia ma się rozumiéć. Jak ona szuka! Jak szuka! Z jaką naiwną dezinwolturą, rezolutnością i pogardą dla przesądów! Z jakim naiwnym cynizmem!

— „Pięknie to brzmi mieć na imię „*Miss Ashton*“, moja droga Hester, ale wolałabym abyś mnie nazywała Emmą po prostu. Kiedy mówisz: *Miss Asthon*, zdaje mi się jak gdybym była czyjąś guwernantką. A byłam prawie. Jest nas liczna rodzina, wiész, ośmioro sióstr, a bez grosza. Ani wiem, jak potrafiłyśmy wyrość wszystkie. Dzięki *Elinorze* podobno; ona jedna umiała dać radę sobie z papą. Teraz wszystkie poumieszczały się jako tako, oprócz mnie jednéj. *Elinor* i *Bee* poszły za mąż wcale dobrze i *Kate* nieźle także, ale musiała jechać aż do Indyi. Reszta miała dopomagać mi wspólnemi siłami; ale to zła sprawa. Ile ich jest, każda dba o to tylko, aby pozbyć się ciebie najtańszym kosztem a obarczyć tobą drugich. Ja nie chciałam nigdy przykładać ręki do tych kombinacyi. Pilnowałam się zawsze kolei. Nie, moja droga *Bee*, mówiłam, teraz koléj na ciebie. Gdzie mnie podziejesz, to mi wszystko jedno (bo nigdy nie robiłam z tém żadnego ambarasu; kiedy się robi ambaras, ma się służących przeciwko sobie); mogę spać gdziebądź, ale musisz pilnować się kolei. *Elinor* nie będzie mnie miała na swoich plecach przed czasem, z mojéj winy — ale rezultatem tego wszystkiego było to, że o mało nie poszłam na guwernantkę.

„— Byłoby to z pewnością lepszym losem—być niezależną!— rzekła *Hester*.

„— Tak, w pewnéj mierze. Zarabiać trochę pieniędzy ładna rzecz,—ale psuje to twoje szanse. Psuje, wątpienia niema. Ludzie mówią że nie, kiedy chodzi im o to, ażeby się pozbyć ciebie tym sposobem, ale tak jest, psuje bez kwestyi, a że wszystkie moje siostry wyszły za mąż tak dobrze, naturalnie nie chciałam nic zrobić dla popsucia mojéj własnéj szansy....“

Wkrótce po téj rozmowie *miss Emma* odwiedza kuzynę *Katarzynę* i po wymianie kilku komplementów, kieruje znowu rozmowę do małżeństwa, jako do najwięcéj zajmującego tematu. „Boć oczywiście każda dziewczyna wybiera się pójść za mąż.“— „Czy jest co podobnego w projekcie?“—pyta kuzyna *Katarzyna*. *Miss Emma* przyjmuje wdzięcznie to pytanie. „Było by to tak przyjemną rzeczą mieć kogoś takiego, jak kochana kuzyna, dla obgadania całéj sprawy, gdyby było coś podobnego w projekcie. Bo z pewnością kochana kuzyna miałaby coś do powiedzenia o wyprawie i o wszystkiém. Ale niestety, niema nic podobnego.“

„— Kochana kuzyna wié jak ze mną było dotąd. Miałam tak mało szansy! *Elinor* wyprowadzała mnie czasem w świat, ale rzadko, i chodziło jéj zawsze więcéj o własną zabawę, jak o dopomożenie mi do porobienia znajomości. Ze strony zamężnéj siostry, to nieładnie; tak myślę, a kuzyna? Skoro zaś mówimy o tém, jestem

pewną, że kochana kuzyna nie odmówi mi pomocy w tym względzie. Dziadzio nie chce słyszéć o niczém. Prosiłam tego dżentlemana, któregośmy spotkały tutaj razem z Hesterą we drzwiach— *Edward* mu na imię, podobno — ale zdaje się, że nic z tego nie wyszło.... A właśnie jest wieczór tańcujący u siostrzenicy kochanéj kuzyny—*Mrs Merridew* jéj na imię podobno—i nie chciałabym stracić szansy, która się tam może trafić. Nie wątpię, iż kochana kuzyna mogłaby miéć zaproszenie dla mnie w jednéj chwili, gdyby chciała.“

Kochana kuzyna tłómaczy, że są jakoweś powody nieporozumienia między nią a *Mrs. Meridew*....

„— Wszystko to być może — odpowiada mis Emma — ale kochana kuzyna wié, że kochana kuzyna jest głową rodziny i kochana kuzyna ma pieniądze, i gdyby nieszczęście, jakie im się trafiło, wszyscy, ile ich jest, musieliby przyjść do kochanéj kuzyny z prośbą o pomoc, i gdyby dziś kochana kuzyna rzekła: życzę sobie tego, z pewnością żadne z nich nie ośmieliłoby się odpowiedzićć odmownie. Najgłupsza istota w świecie musi być przekonaną o tém!“

Kuzyna Katarzyna ulega zwycięskiéj sile téj przekonywającéj logiki; ale mis Emma źle jéj się wywdzięcza; nie trafiwszy bowiem żadnéj „okazyi“ w *Rodborough*, odjeżdża do Londynu i spotyka się w pociągu z uciekającym do Ameryki *Edwardem*, który oświadcza gotowość zabrania jéj z sobą. Zaczém w kilka dni późniéj pisze ona do brata:

....„Wiesz, kochany Rolandzie, iż będąc najmłodszą z rodzeństwa i bez stałego miejsca zamieszkania, uważałam zawsze za pierwszy mój obowiązek znaleść jakoweś postanowienie. Pomyślawszy tedy godzinę czy dwie nad propozycyą Edwarda, a widząc go tak niecierpliwym względem przyjścia do ostatecznéj mety (w czém zwykle dżentlemeni okazują się tak powolnymi), osądziłam, iż najlepiéj zrobię przyjmując propozycyą. Pobraliśmy się przed *registrar*'em na Holywood Street, Trentham Square, ale Edward zapewnia, że małżeństwo to równie legalne jak w kościele“.......

Proszę zauważyć, że *miss Emma* nie jest jedną z flirtujących *misses*, z personelu mis Rhody Broughton. Nie, flirt nie należy do jéj maniery, jak sama gdzieś oświadcza. Chociaż okolicznościowo należyć on może do osobistéj maniery pani Oliphant. I wtedy nie obawiają się jéj bohaterki niczyjéj konkurencyi.

Harry Joscelyn — w powieści tenże sam tytuł noszącéj — poróżniwszy się ze swoją rodziną, opuścił Anglią i zawędrował do włoskiego miasta portowego....

Godzi się zauważyć, przy sposobności, że wyobraźnia spółczesnych powieściopisarek angielskich coraz częściéj wędruje w ten sposób za morze, razem ze swymi bohaterami. Nie dziw! zabraknie niedługo na całéj przestrzeni trojga królestw jednego kąta niewydeptanego przez tychże bohaterów; jednego kurnika nieopisanego ze wszystkiemi kurami znajdującemi się w środku.

Dostawszy się tedy do *Livorno*, *Harry Joscelyn* znalazł tamże przytułek u miejscowego wice-konsula angielskiego, pana *Bonamy*, ożenionego z włoszką, owdowiałego i posiadającego córkę jedynaczkę, *Ritę*, dobrą i piękną jak anioł. *Harry Joscelyn* pracuje w biurach wice-konsulatu i uczęszcza do gościnnego domu swego pryncypała; ale jednego dnia spostrzega się, że spotkało go wielkie nieszczęście: zakochał się w pięknéj *Ricie*, wielce skłonnéj do *flirtu* (i to do bardzo niebezpiecznego, bo skomplikowanego z angielsko-włoskiego *flirtu*) i zapomniał się do tego stopnia, że wybąkał coś o zabraniu z sobą młodéj wice-konsulówny do Anglii....

Harry Joscelyn jest młodzieńcem pełnym szlachetności i honoru. Bez majątku, bez imienia nawet, bo przybył do obecnego miejsca schronienia pod przybranem nazwiskiem *Izaaka Olivera*, nie może myśléć o połączeniu się z *Ritą*. Zawdzięczając cały swój byt teraźniejszy jéj ojcu, jeszcze mniéj myśléć mu wolno o bałamuceniu jéj. Bez wahania przeto udaje się nazajutrz do tegoż pokrzywdzonego przez się ojca, wyznaje wszystko i oświadcza gotowość wyrzeczenia się swego urzędu i pobytu w *Livorno*, zapewniając jednak, że *Rita* nie zrozumiała wcale kompromitujących słów przezeń wypowiedzianych, on sam zaś nie wié jak przyszedł do ich wypowiedzenia i wogóle do uczucia, które mu je podyktowało. „Nigdy pierwéj nie trafiło mu się coś podobnego.“

Harry Joscelyn jest niezłym, choć niewątpliwie wyidealizowanym typem prostodusznego, uczciwego i dzielnego młodzieńca angielskiego, z sympatyczną mieszaniną naiwności i męskości w bujnéj naturze wyspiarskiéj.

P. wice-konsul słucha niespodziewanéj spowiedzi z przestrachem i zgrozą; ale rozbrojony po chwili otwartością i jawną uczciwością winowajcy, zatrzymuje go w swojém biurze; tylko, na własne jego zresztą żądanie, oddala go od dotychczasowéj zażyłości z piękną *Ritą*. *Harry Joscelyn* przestaje być tak częstym, jak pierwéj gościem w domu wice-konsula. Na nieszczęście, niespodziany żywioł miesza się w załatwioną tym sposobem sprawę, a mianowicie włoski temperament pięknéj *Rity*. Będąc przez pół włoszką, *Rita* jest kapryśną (angielki same nie są nigdy kapryśnemi, przynajmniéj w powieściach Mrs. Oliphant), będąc kapryśną, Rita objawia nagle

nie ulegającą żadnéj perswazyi chęć zobaczenia napowrót przystojnego młodzieńca (który notabene ocalił ją od groźnego niebezpieczeństwa, w pewnéj dramatycznéj przygodzie), będąc zaś jedynaczką, robi co chce z ojcem i po niejakim czasie *Harry Joscelyn* wraca w gościnne, ale pokus i zasadzek pełne progi. Wraca, pełen wyższych postanowień, zimny, sztywny, rachujący się z każdém spojrzeniem i z każdém słowem, ale tém samém drażniący bezwiednie młodocianą żywość nieszczęsnego włoskiego temperamentu. Trzebaż jeszcze, aby letnia a upajająca noc włoska nastręczyła się nie w porę ze wszystkiemi swemi narkotykami. Broniąc się heroicznie przed natarczywą Ritą, nie wiedząc gdzie się podziać przed jéj wyzywającemi spojrzeniami, biedny *Harry* uciekł do ogrodu; ale znalazło się okno otwarte na ogród i *Rita* usiadła przy niém.

„— Panie *Oliver*, słyszę od ludzi, że wasze tam nocy letnie w Anglii daleko rozkoszniejsze jeszcze od naszych. Słyszę o tych długich, długich zmrokach wieczornych.... Czytałam nawet o nich dużo; ale zrozumiéć nie mogłam. Pan mnie powiedz....

„— Nie myślę — odrzekł Harry, siląc się na słowa, które mu dławiły gardło—aby mogło być coś rozkoszniejszego od wieczorów tutejszych.

„— Ale jest różnica, powiada mi pan. Wiesz pan, że nie mam nigdy być w Anglii — dodała żałośnie — chociaż pamiętam co mi pan powiedziałeś, żebyś nie lękał się wziąć mnie z sobą. Dlaczego powiedziałeś pan to, panie *Oliver*? Ale może zapomniałeś pan, żeś powiedział?

„— O nie! nie zapomniałem.

„— Nie chciałeś pan ani wtedy, ani nigdy wyrazić się jaśniéj; ale rada jestem, że przynajmniéj nie zapomniałeś pan. A właśnie papa odszedł, więc możemy mówić o tém. Papę gniewa zawsze, kiedy mówię o Anglii. Więc powiédz mi pan—powiédz prędko—jak to było, że myślałeś pan, że mogłeś to zrobić bezpiecznie. Ach! jakbym chciała żebyś pan mógł!... Nie odpowiadasz pan? Czy to dobrze i grzecznie? Obudzasz pan moje oczekiwania, a potém nie można wydobyć od pana jednego słowa. Myślałam o tém ciągle temi czasy i ciągle pytałam saméj siebie, czy mi pan powiész. Jakby to mógł p. *Oliver* zrobić, ażeby zabrać mnie do Anglii bez niebezpieczeństwa....“

I tak daléj przez dziesięć kartek. Naturalnie na dziesiątéj kartce rozmowa przychodzi do przesilenia, a przesilenie kończy się małżeństwem. *Harry Joscelyn* zabiera *Ritę* do Anglii, bez najmniejszego niebezpieczeństwa i godzi się ze swoją rodziną. Naturalnie na końcu drugiego tomu. Może było nadto dwóch tomów dla opo-

wiedzenia téj historyi; ale założyłbym się prawie, że pisząc pierwszy rozdział Mrs Oliphant miała inną historyą w myśli, którą, swoim zwyczajem, zapodziała gdzieś w drugim czy trzecim rozdziale. Jest w tym pierwszym rozdziale opis „Białego-Domu“, staréj, zrujnowanéj rezydencyi zubożałych *Joscelynów*, który zdał mi się wstępem do powieści obyczajowéj, w rodzaju „Młyna nad rzeką Floss“, i mistrzowskim wstępem. Polecam go amatorom. Ale potém pojechaliśmy do *Livorno*, i zobaczyliśmy się napowrót z Białym Domem“ dopiero w ostatnim rozdziale.

Z ostatniemi trzema tomami wydanemi przez się, Mrs Oliphant zapędziła się osobiście daleko daléj jeszcze jak do *Livorno*, bo w nowe dla siebie całkiem i jéj talentowi tak obce jak tylko można okolice. „*The Wizard's son*“ jest z jéj strony ustępstwem pewnemu od wczoraj w powieściopisarstwie angielskiém zaaklimatyzowanemu kierunkowi, który polega na wyborze przedmiotów dziwacznych, tajemniczych, większy związek z hermetyką i innemi tego rodzaju naukami mających, niż z literaturą. Stary Wilke Collins rzucił się z całą swoją młodzieńczą energią na tę drogę i Mrs Oliphant wzięła przed się ubiedz go na niéj. O ile jéj się to udało, nie jestem w stanie rozsądzić. Jakimkolwiek atoli być może zysk jéj osobisty w tém przedsięwzięciu, nas przyprawiło ono z pewnością o stratę jednego bodaj ładnego wstępu do jednéj więcéj niedopisanéj powieści.

Talent to, bądź co bądź, wielki ale nie dojrzały i nie obiecujący już dojrzałości. Być może, iż, pisząc tak wiele powieści, Mrs Oliphant nie dopuszcza przez to samo swych artystycznych zasobów do właściwéj pory. Ale dla czego pisze ich tak wiele? Wspomniałem tu o trzech tylko, a jeszcze bym jedną z nich darował bez dalszéj pretensyi Tauchnitz doliczył się ich trzydziestu w jednym ze swych katalogów. (Ten Tauchnitz nie ma litości). Prawda, że są pomiędzy niemi takie, które należą do innego rodzaju jak rodzaj psychologiczny i do innego jeszcze jak rodzaj enigmatyczny wypróbowany w „*The Wizard's son*“, do wszystkich rodzajów potrosze. Może też znajdę sposobność powrócenia do nich gdzieindziéj, a jeżeli nie znajdę, rachuję na wyrozumiałość czytelnika. Obecnie pilno mi do innego przedstawiciela (wyłącznego jak dotąd uprawiacza) rodzaju psychologicznego, którego zresztą tylko przez należną płci pięknéj grzeczność, położyłem na drugim miejscu w tym rozdziale.

2. **Jerzy Moore**.

„A Mummer's Wife“ jest uderzającym utworem, dobrze napisanym, niemiłym do czytania, realistycznym... Charakter kobiety

„stanowi studyum prawdziwéj potęgi pełne; wędrujący aktor, aczkol-
„wiek mniéj oryginalny, jest wykończoną także postacią. Biorąc ko-
„bietę pospolitą z niższéj warstwy średniego stanu, dla któréj religia
„jest tylko przesądem, miłość tylko namiętnością, i śledząc normalny
„proces rozwojowy, który ją przekształca z kolei w śpiewaczkę ope-
„ry komicznéj i w pijaczkę—kobietę bez inteligencyi, wykształce-
„nia, zasad albo jakiegokolwiek silniejszego uczucia—p. Jerzy Moore
„powołał do życia w plastycznym kształcie jednę cząstkę więcéj
„ludzkiéj natury... Nikt z pragnących zapoznać się z realizmem
„stosunku do angielskiego powieściopisarstwa, nie może pominąć
„A Mummer's Wife". (*The Athenaeum*).

„Powieść p. t. „A Mummer's Wife" zajmuje dotąd w powieścio-
„pisarstwie angielskiém stanowisko zgoła wyjątkowe. Jest to pierw-
„sza, przynajmniéj pierwsza poważna próba doprowadzenia, w tym
„dziale twórczości, realistycznych zasad do ich ostatecznego i być
„może jedynego logicznego rezultatu. Uważając pana Jerzego Moore
„jako reprezentującego rozmyślnie szkołę, któréj jesteśmy zapamię-
„tałymi przeciwnikami, nie możemy, aczkolwiek na przekór naszym
„uczuciom, nie uznać podziwu godnéj wierności i biegłości, z którą
„dokonał on swego dzieła. „A Mummer's Wife" jest bez wątpienia
„czém inném jak prostym produktem pospolitego powieściowego rę-
„kodzielnictwa. Widać tu wynik pilnéj i z blizka dokonanéj obser-
„wacyi, pracy artystycznéj i sumiennych ze strony autora usiłowań
„gwoli jak najzupełniejszemu wyzyskaniu zebranych materyałów".
(*The Graphic*).

„Jako realista, p. Moore nie oszczędza nas. Całe otoczenie nie-
„szczęśliwéj *Kate Lennox* zachowuje od początku do końca najwstręt-
„niejszy charakter. Czarna mgła moralna, która zstępuje na nią przy
„samym początku powieści, nie podnosi się już nigdy, ale staje się
„ciemniejszą tylko i większéj zgnilizny pełną. Zresztą p. Moore oka-
„zuje niezaprzeczony talent w skreśleniu jéj opłakanego losu; por-
„tret zaś jéj drugiego męża—barczystego, otwarcie zmysłowego, ale
„poczciwego—jest zapewnie tak dobrym jak dobrą może być tego ro-
„dzaju kreacya". (*The Academy*).

„Dzięki żywości swego obrazowania i prawdziwych stylowych
„przymiotów, „A Mummer's Wife" może w pewnéj mierze ujść za
„wzorzec dotychczasowéj twórczości pewnéj szkoły, która w ostat-
„nich latach zjednała sobie sporo rozgłosu, zastępującego nader uży-
„tecznie sławę....P. Jerzy Moore nie schodzi ze swéj drogi dla ozdo-
„bienia występków, z któremi ma do czynienia, przypadkowemi ja-
„kowemiś ponętami... i niewątpliwie, jeżeli sztuka, czy to literacka
„czy malarska, czyni zadość swemu prawdziwemu powołaniu, z po-

„mocą fotograficznego odbicia wszystkich szczegółów z których skła-„da się zmysłowość ludzka i głupstwo ludzkie, słuszna aby te foto-„graficzne wizerunki posiadały wierność nie opuszczającą ani jedne-„go *item* zgnilizny czy brzydoty...“ (*The Spectator*).

„Powieść p. t. „A Mummer's Wife“ zawiera niektóre ustępy „pełne uderzającéj siły i cynicznego humoru, i jedną przynajmniéj „scenę głęboko patetyczną i smutną. Opis to śmierci małego dziec-„ka, z którego konwulsye wyciskają powoli kruche jego życie, pod-„czas gdy matka śpi, pijana, przy jego boku. Nie powiemy zanadto, „wyrażając przekonanie, że gdyby cała książka była tak potężną jak „ten ustęp, p. Moore mógłby śmiało rościć pretensyą do tytułu an-„gielskiego Zoli.“ (*Society*).

„Ostrzegliśmy grzecznie pana Moore, że jego „Modern Lover“ „był bardzo nieprzyjemnym młodzieńcem, ale był on wzorem przy-„zwoitości w porównaniu z jego „Mummer's Wife.“ Być może iż pan „Moore napisał swoję książkę w jak najlepszym celu i z zamiarem „przyprawienia swych czytelników o nienawiść dla grzechu i o bo-„jaźń względem jego następstw; ale takie książki nie powinny krą-„żyć po kolejowych bibliotekach i dostawać się tą drogą w ręce „niepowołanych czytelniczek“... (*Whitehall Reviev*).

Streściłem dla użytku czytelnika wyraz krytyki wywołanéj w miejscowém piśmiennictwie przez drugą z kolei powieść młodego, bardzo młodego, poczynającego dopiero autora.—„A Modern Lover,“ (pierwszy jego utwór) sięga 1884 roku tylko. Po za piśmiennictwem, sąd opinii publicznéj okazał się z początku przynajmniéj, nierównie surowszym. Przedmowa, dołączona przez autora do siódmego wydania „Żony komedyanta“, zawiera w tym względzie interesujące wskazówki:

„Tak, jest to niezawodnie rzeczą przyjemną dla autora przypominać sobie, że sześć wydań jego książki opuściło półki księgarni w ciągu jednego roku: ale w moim puharze rozkoszy trafia się może jedna kropla miodu słodsza od tych, których zakosztować zdarzyło się innym autorom piszącym przedmowę do siódmego wydania. I jednéj téj kropli przenikliwy smak i zapach czyni mi resztę napoju pospolitym i ordynaryjnym trunkiem... Artysta dostał się pod miecz Filistynów, Filistyni zostali zwyciężeni, i widzę jedno, albo chcę widzieć jedno tylko w tém siódmem wydaniu: dowód stanowczéj porażki nieprzyjaciela“...

„Dwóch pierwszorzędnych księgarzy sprzymierzyło się na wstępie dla wytępienia pierwszego wydania... ocalić je udało mi się jedynie energicznie mnożonemi ogłoszeniami i rozolutnem zwróceniem uwagi publicznéj na gwałt zadawany literaturze angielskiéj

przez tych dwóch przemysłowców. Napisałem w tym sensie artykuł, który ukazał się w *Pall Mall* i przysłużył się wielce; napisałem pamflet p. t. „Literatura w powijakach,“—z wiązanką nieprzyzwoitych ustępów uszczkniętych w książkach sprzedawanych przez dwóch owych księgarskich purytanów; odwołałem się do sądu opinii, i prasa angielska nie kazała mi długo nań czekać. Czy potrzebuję dodawać, że wypadł on na moję stronę?“

P. Jerzy Moore nie nadmienia, iż rzeczeni purytanie księgarscy uczynili się w tym przypadku przedstawicielami tylko bardzo szeroko do téj pory rozprzestrzenianych uprzedzeń i wstrętów, i obrońcami, we własnym interesie, opacznie może pojętego ale o uwzględnienie dopominającego się interesu pewnéj, liczebnie przeważnéj podobno połowy swych czytelników. Jeżeli zaś prasa oświadczyła się w saméj rzeczy na stronę pana Moore, to w sprawie wolności prasowéj tylko, nie w innéj. W sprawie, całkiem odrębnéj, artystycznego i etycznego znaczenia jego książki, słyszeliśmy jéj głos.

Bądź co bądź Jednak p. Jerzy Moore zwyciężył, o tyle przynajmniéj, że narzucił siebie i swoję książkę uwadze publicznéj i wprowadził do spółczesnéj powieści angielskiéj nowy żywioł. Jaki żywioł? Nie realistyczne pojęcie natury oczywiście, bo niemasz, jak to mieliśmy już sposobność zaznaczyć, żadnego artystycznego pierwiastku, który by był więcéj i od dawniejszego czasu u siebie w angielskiém powieściopisarstwie; ale bez wątpienia osobne i osobiste pojęcie realizmu. Mówię: osobne i osobiste, bo, cokolwiek o tém trzyma wyżéj powołany krytyk z „*Society*“, realizm pana Jerzego Moore nie jest realizmem Zoli. Ani maniera jego, w ogólności, naśladownictwem artystycznych wzorów przekazanych przez autora „Assomoir'a“. Czy pokusił się, w saméj rzeczy, młody angielski pisarz o doprowadzenie realistycznych zasad do ich ostatecznego rezultatu, jak chce krytyk z „*The Graphic*“? Być może; ale pozostał on bezpiecznie bardzo daleko od mety, i daleko w tyle za francuzkimi swymi współzawodnikami. Są zapewne, przynajmniéj dotąd, pewne *ostateczności* realistyczne, przed któremi cofa się sam Zola; ale ich jest nie wiele. Jerzy Moore cofa się daleko częściéj. Jest naprzykład w „A Mummer's Wife“ scena *połogu*—tak jak w „Pot-Bouille“ i tak jak w „Une vie“, pana de Maupassant. Nie znajduję się w możności podjęcia tutaj szczegółowego zestawienia trzech obrazów; ale zalecam ten *eksperyment* czytelnikowi lubiącemu zdawać sobie sprawę z rzeczy. W obrazie pana Jerzego Moore *niemasz jednego szczegółu absolutnie wstrętnego* dla czyjejkolwiek delikatności czy pruderyi a jednak obraz ten jest realistycznym tak, że usunąwszy na bok nastręczające się wspomnienia i zestawienia, zdaje się jako

by nie mógł być więcéj realistycznym. Podczas gdy doktór i służąca i gospodyni domu krzątają się dokoła biednéj jego żony—„bo wszyscy zdają się miéć coś do robienia w tym przypadku prócz niego samego“, podczas gdy dolatujące z sąsiedniego pokoju jęki rozdzierają mu serce, *Dick Lennox* uczuwa nagłą boleść gdzieindziéj niż w sercu, bledniejc i zatacza się: nie jadł od 24 godzin, nie mając jednego penny w kieszeni, i jest głodnym jak pies. Gospodyni domu oświadcza gotowość przysłużenia się mu kawałkiem zimnéj baraniny, ale przypuszcza, „że nie będzie on mógł jeść w obecnéj chwili“. *Dick Lennox* rzuca się jednak na zimną baraninę, i, choć twarda i sucha, zdaje mu się, że nie jadł nigdy nic smaczniejszego. „Zatrzymuje się na moment i przysłuchuje się z piersią od niepokoju i litości wezbraną odgłosom bolesnego dramatu odgrywającego się w sąsiednim pokoju, a potém wraca do swojego jadła, jak zwierzę.“

Czy może być co więcéj realistycznego? A nagły krzyk strasznemi męczarniami rozdzieranéj *Kate*,—zmysłowéj, bezuczuciowéj i trywialnéj mieszczki:

— „Och, już nigdy nie będę! Och, nienawidzę go!—Mogłabym go zabić! Nigdy już kochać go nie będę, nigdy!“

Gdzie może być więcéj absolutnéj, nawet brutalnéj prawdy? Tylko *anatomicznéj* realności, *fizyologicznéj* erudycyi brakuje w całym obrazie.

Jest w „A Modern Lover“ scena, w któréj zbałamucona przez bohatera powieści i do oddania mu ręki, mimo rozpaczliwego oporu rodziców, skłoniona, piękna, arystokratyczna i bogata *Lady Helen* odwiedza niespodzianie swego narzeczonego w jego pracowni malarskiéj, wieczorną porą—i znajduje go w kompanii. Zola albo Maupassant byłby nie zaniechał *wyzyskania sytuacyi* aż do jéj ostatecznych granic. Jerzy Moore poprzestaje na zaznaczeniu jéj,—co nie umniejsza w niczém jéj śmiałości, ani względnéj prawdy.

Czy jest w tych różnicach coś absolutnego, zasadniczego? Nie sądzę. Jest, tak jak we wszystkich odcieniach kierunku realistycznego, a nawet tak jak w samym rzekomym antagonizmie między realizmem a idealizmem, *kwestya miary* po prostu, i *kwestya wyboru.* Jerzy Moore wybiera inaczéj niż Zola i jeszcze inaczéj niż Mautpassant te przedmioty, w obec których mniema, iż puścić może wodze swemu analitycznemu zmysłowi. I w obec tych przedmiotów posuwa się tak daleko, jeżeli nie daléj, jak Zola, a z pewnością daléj jak Mautpassant. Mautpassant zbywa krótko scenę zaślubin swojego „Bel-Ami“ z córką bankiera Waltera, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa *naśladuje* ją z takiéj saméj sceny w „A Modern Lo-

ver". U Jerzego Moore jest to scena kapitalna, wypełniona obok innych szczegółów najsubtelniejszą analizą uczuć, przez które przechodzi szczęśliwy zdobywca pięknéj *Lady Helen*, dręczony do ostatka niepokojem, aby coś nie stanęło na przeszkodzie ślubowi.

Ale są znowu przedmioty, do których wyczerpywania Jerzy Moore nie mieni się powołanym, jako artysta. Zapewne téż i Zola, (choć wywodzi się, w drodze umysłowéj parenteli, od Klaudyusza Bernarda), przypuszcza, iż są tu i owdzie granice, po za któremi wypada mu zostawić głos pierwszemu lepszemu z członków Akademii Medycznéj albo Akademii Nauk. Tylko dostrzega on pospolicie te granice badzo późno; Jerzy Moore dostrzega je wcześniéj.

Język także, którego używa pisarz angielski, pozostaje dalekim, jak to już miałem sposobność nadmienić, od brutalnéj trywialności, którą paradują tak chętnie, w ślad za swoim mistrzem, adepci spółczesnego francuskiego naturalizmu. Przypuszcza Moore, że można wywołać złudzenie jakoby wprowadzane na scenę osoby mówiły tym językiem, którym mówią w rzeczywistości, bez uciekania się tu i owdzie do słownika gminnych czy sprośnych wyrażeń. Boć chodzi zawsze i wszędzie--nawet u Zoli—o *wywołanie złudzenia*, nie o odwzorowanie absolutnéj prawdy. Ani Zola ani nikt nie odważył się dotąd, (i prawdopodobnie nie odważy się nigdy), na powtórzenie tego co dwie praczki czy dwaj ulicznicy mówią do siebie słowo w słowo *tak jak mówią*. Na powtórzenie jednego i drugiego fragmentu rozmowy, jednego i drugiego brudniejszego słowa, (akurat tyle, aby osoby wrażliwe mogły zatknąć sobie uszy), tak; ale na powtórzenie *wszystkiego*, wszystkich słów, nigdy w życiu! Więc skoro niemasz tu w grze żadnéj zasady absolutnéj, a tylko kwestya wystarczającego *mniéj*, albo wymagalnego *więcéj*, to na cóż *więcéj* jeżeli *mniéj* wystarcza? A Moore przypuszcza że wystarcza ono, i usprawiedliwia swoje przypuszczenie dość wymownie.

Przyznaje on zresztą sobie prawo nazywania „kota kotem", powołując się w tym względzie na swych protoplastów angielskich:

„Prosty, wolny od ogródek język był zawsze charakterystyczną cechą naszéj literatury; nawet tak surowi moraliści, jak Milton i Goldsmith, nie cofali się przed mówieniem o wszystkich rzeczach i używaniem słów aż nadto pospolitych w ustnéj mowie, nadto omijanych w języku piśmiennym dnia dzisiejszego. Wyrażam bez wahania moje zdanie w tym przedmiocie, mniemam bowiem, iż utrata należytéj poufałości i dosadności wyrażenia jest dla każdego języka wskazówką niezawodzącą zgrzybiałości i upadku. Klasyczni pisarze wyrażali się prosto i bez ogródek. Rozważałem długo literacką tradycyą, którą przekazali nam Marlow, Shakespeare, Ben Jonson,

Wycherly, Congreve, Fielding, Swift, Sterne, Byron, Shelley i Landor i wyznaję, że nie widzę dotąd przyczyny, dla któréj mielibyśmy poniewierać zostawione przez nich wzory otwartości wysłowienia a uciekać się natomiast do praktyki sztucznego poddawania myśli, o któréj księgarze zapewniają mię, że jest im nierównie milszą. Utrzymuję się przeto przy przekonaniu, że język, którego używam w „A Mummer's Wife" nie jest nowością lecz tylko próbą pożądanego powrotu do zdrowszego smaku niż ten, który przeważa obecnie w naszéj literaturze" (w przedmowie do „Żony komedyanta").

Skądinąd, nawet ogólnym charakterem dotychczasowéj swéj twórczości autor trzech powieści: „A Modern Lover", „A Mummer's Wife" i „A Drama in Musslin" — ostatnia niedawno co wyszła z druku—nie zbliża się tyle do osobistego kierunku Zoli, ile raczéj do ogólnéj szkolnéj formuły braci Goncourt. Jest on niezaprzeczenie uczniem i wiernym, jak dotąd, uczniem wielkiéj szkoły francuskiéj. Jego powieści są *monografiami*, tak jak „Garminie Lacerteux", tak jak „Pani Gervaisais" i „Chérie", nie zaś obrazami pewnych warstw czy grup społecznych, jak „l'Assomoir" albo „l'Oeuvre". Nawet na poglądach jego i pojęciach, od literackiéj doktryny niezależnych, odbija się najwyraźniéj stempel wyciśnięty ręką dwóch nadsekwańskich nowatorów:

„Pod ogólną nazwą „Nowożytnych" łączono wszystkich artystów, malarzy, muzyków i pisarzy, wierzących, że sztuka jest wynikiem obyczajów i zwyczajów każdego dnia i zmienia się razem z temi ostatniemi, podług ogólnego prawa. Najpospoliciéj jednak przysądzano tę nazwę osobnéj grupie malarzy, któréj Thompson był przywódcą."

„Znużeni sztuką wysilającą się na to jedynie, aby być echem piękna urzeczywistnionego w Apollinie Belwederskim czy w Wenerze Medycejskiéj, brzydzący się sztuką szukającą w wykręconéj formule pierwiastkowéj szkoły włoskiéj odpowiedniego wyrazu dla bezpłciowéj historyi spółczesnéj, wzdychali oni do nowéj potężnéj formuły, w któréj geniusz XIX wieku znalazł by swój całkowity wyraz. Głosili potrzebę odkrycia nowéj estetyki; głosili, że materyały do niéj obfitują dokoła wszędzie; że chodzi jedynie o formę, w którą by je wcielić można"...

„Nosili się z tém, że świat zaznał cztery całkiem odrębne artystyczne metody: egipską, grecką, włoską i japońską. I wyrażali przekonanie, że absolutną oryginalność swojéj sztuki zawdzięczają jedynie Japończycy szczęśliwemu losowi, który nie pozwolił im nigdy oglądać żadnego greckiego posągu. Jednym z ulubionych między

niemi tematów do żartu było wyobrażanie sobie, co by się było stało gdyby okręt, naładowany Elginowskiemi marmurami, był się rozbił na wybrzeżu Jeso, w roku pańskim...."

Zapomniawszy o stylu, który, o ile sądzić jestem w stanie, bywa nierzadko dość ciężkim u Moore'a, możnaby przypuścić, że się czyta ustęp z przedmowy do „Chérie."

Ma się rozumiéć, o ile Zola jest sam wychowankiem téj saméj szkoły, o tyle uchodzić może Moore za jego naśladowcę. Wspomniałem na wstępie niniejszych szkiców o podobieństwach znachodzących się między pierwszą z wymienionych wyżéj powieści młodego pisarza angielskiego a ostatnią powieścią wielkiego francuskiego naturalisty (dwoma latami późniéj wydaną). Są to jednak podobieństwa zewnętrzne raczéj tylko i może przypadkowe, choć uderzające. I francuski mistrz wychodzi zresztą zwycięsko z porównania. *Lewis Seymour* — nowoczesny kochanek — mieszka pod jednym dachem i na stopie poufałéj kamraderyi z młodą szwaczką *Gwynnie Lloyd*, i (tak jak *Klaudyusz* młodą *Krystynę* w „L'Oeuvre) skłania ją do *pozowania* przed sobą, po dokonaném nad wstydliwością niewieścią zwycięstwie. Inaczéj jednak, bo nie dlatego, że nie może znaleść innego modelu odpowiadającego odczutemu przez się ideałowi, ale dlatego po prostu, że nie ma czém zapłacić pospolitéj *modelki*. Brutalniejsze to, trywialniejsze i nierównie mniéj artystyczne od tego, co wymyślił Zola. *Lewis Seymour* zaczyna od tego, że chce pożyczyć od swéj sąsiadki pięć szylingów dla zapłacenia modelki. Ale właśnie uliczny pick-pocket okradł biedną *Gwynnie*. *Lewis Seymour* objawia wtedy zamiar rzucenia się do wody, bo wykończenie otrzymanego obecnie obstalunku było ostatnią jego deską zbawienia. Biedna *Gwynnie* załamuje ręce i szlocha.

— „Na nic się nie zda robić tyle hałasu — oświadcza brutalnie *Lewis*. — Czy chcesz pozować do tego obrazu? Inaczéj, chociażbym się nie utopił, muszę umrzéć z głodu."

Gwynnie walczy z sobą i szlocha daléj tak boleśnie, że *Lewis* czuje się wkońcu rozbrojonym. Nie jest on złym człowiekiem w gruncie.

— „Na miłość boską, nie płacz tak, *Gwynnie*. Żałuję, że prosiłem cię o to; nie mówmy o tém więcéj.

„Na odgłos tych słów *Gwynnie* przestała płakać i spoglądając na niego rzekła:

„— Zrobię to, co chciałeś *Lewisie*, ‚skoro tak trzeba; ale nie jestem dziewczyną, która robi złe rzeczy i nie chę być taką, tylko myślę, że nie powinnam pozwolić, abyś topił się albo umierał z głodu, kiedy mogę cię ocalić.

Nazajutrz tedy, podług umowy — bo scena ta odbywa się wieczorem — *Lewis* dokłada węgla do żelaznego piecyka w swéj pracowni na poddaszu, kiedy *Gwynnie* wchodzi.

....„Jedną ręką przyciskała ona do piersi gruby szal wełniany, drugą zaś podtrzymywała fałdy sukien luźnie wiszących dokoła niéj. Nogi miała bose. Spała noc całą w gorączce i malignie. Co chwila budziły ją niepokojące sny. Za każdą godziną snu szło długie czuwanie, wypełnione zapałami uczynionych, niesmakami niedotrzymanych obietnic. Nie byłaby ona czuła żadnéj trudności w spełnieniu tego co powinna, gdyby wiedziała gdzie jéj powinność. Ale nie miała nikogo dla zasiągnięcia rady i raz po razie zdarzyło jéj się wstać z łóżka i modlić się na kolanach, w blasku jasnego księżyca, wołając o miłosierdzie....

„— Jak to dobrze z twojéj strony, żeś przyszła—rzekł *Lewis*—bałem się, abyś nie zmieniła postanowienia.

„—Dla czego mielibyśmy zmieniać postanowienia nasze, kiedy nam się zdaje, że robimy to, cośmy powinni — odrzekła z prostotą, ale z chęcią usprawiedliwienia swego postępowania.

„Oboje byli zakłopotani bardzo. On sam lękał się więcéj niż ona pierwszego kroku i nikczemnie oglądał się za zyskaniem czasu, podsuwając myśl, że pracownia nie dość jeszcze ogrzana; ona przeciwnie, przybywszy w określonym z góry celu, nie rozumiała potrzeby zwłoki.

„— Zdaje mi się, że jest zupełnie ciepło; jestem gotową, jeżeliś sam gotów — odpowiedziała z lekkiém drżeniem w głosie.

„*Lewis* umieścił ją pośródku izby, tak, aby światło padało wprost na nią; poczém usadowił się naprzeciwko niéj i założył ręce, czekając.

„Mężnie odrzuciła szal, odkrywając ramiona i pierś. Poczém nastąpiła pauza. Trzymała wahającą się ręką okrywające ją jeszcze resztki ubrania, aż w końcu ostatniém wysileniem odrzuciła je precz.

„Gdyby mogła była pozostać teraz tak jak była, co najgorszego byłoby już przebytém, ale *Lewis* musiał pokazać jéj jak się trzymać, ułożyć jéj ręce, nogi, głowę, a była tak rozdrażnioną, że z trudnością zrozumiéć mogła, co mówił do niéj. Poczém omdlenie opanowało ją, zmieszane z bolesném obrzydzeniem względem własnéj osoby i nieskończoném pragnieniem rozbicia głowy o mury izby, zapadnięcie się w ziemię. Dwadzieścia razy zdawało jéj się, że ją siły opuszczą razem z przytomnością; tylko przyrodzona energia ocaliła ją.

„Nareszcie poza została natrafioną i *Lewis* rozpoczął swój rysunek.“

Obraz jest plastycznym niezaprzeczenie i zdradzającym rękę nie ladajakiego majstra. Ale proszę zobaczyć odpowiednią scenę w „L'Oeuvre“:

....„W połowie marca *Krystyna* zaszedłszy do pracowni, znalazła *Klaudyusza* siedzącego przed swoim obrazem w rozpaczliwém pognębieniu. Nie usłyszał jéj nawet wchodzącéj, siedział nieruchomie, z oczyma pustemi i obłąkanemi, wlepionemi w niedokończone dzieło. Za trzy dni upływał termin do wysłania obrazu na wystawę.

— „I cóż? — zapytała łagodnie, zrozpaczona jego rozpaczą.

„Ocknął się i odwrócił się.

— „A cóż! Rzecz skończona, nie wystawię nic tego roku... Ach! Rachowałem tyle na tę wystawę!

„Oboje wrócili do swego pognębienia, w którém majaczyło się mnóstwo niewyraźnych rzeczy. Aż wreszcie ona ozwała się znowu, myśląc głośno:

— „Byłby czas jeszcze.

— „Czas? Nigdy w życiu! Trzebaby cudu. Zkąd chcesz, abym dostał model, którego mi trzeba o téj porze?... Od rana oto dręczę się sam z sobą i przez chwilę zdawało mi się, żem wpadł na pomysł: tak pomyślałem o téj dziewczynie, o téj *Irmie*, którą spotkałaś tutaj. Wiem dobrze, że mała ona i okrągła, że wypadnie może wszystko przemienić; ale młoda i możliwa może... Tak, muszę spróbować...

„Tu urwał. Palące spojrzenie, którém patrzał na nią, mówiło wyraźnie: „Ach! Bliżéj od niéj, jesteś ty, ach! byłby to cud oczekiwany, zwycięstwo pewne, gdybyś mogła zrobić dla mnie to ostatnie poświęcenie. Modlę się oto do ciebie, zaklinam cię, jak przyjaciółkę uwielbianą na klęczkach, najpiękniejszą, najczystszą!“

„Ona wyprostowana, bardzo blada, słyszała każde słowo; i te oczy gorejącéj modlitwy pełne magnetyzowały ją swoją potęgą. Powoli zdjęła kapelusz i okrycie; a potém, naturalnie, z temi samemi spokojnemi ruchami, jęła rozbierać się daléj, rozpięła stanik, zdjęła gorset.... Nie wymówiła ani jednego słowa, zdawała się być gdzieindziéj, tak jak którego wieczora, kiedy zamknięta w swym pokoju, zabłąkana w jakiémś marzeniu, rozbierała się machinalnie, nie zwracając uwagi na to, co robiła. Dla czegóż miałaby ona, dawszy mu już twarz swoją, pozwolić na to, aby inna dawała mu swoje ciało? Chciała być tu całą u siebie, w swojém przywiązaniu serdecznėm, rozumiejąc nareszcie jakiego zazdrosnego udręczenia ów pokurcz niewieści był jéj oddawna powodem. I milcząca zawsze, naga i dziewicza, ułożyła się na dywanie w pozie wskazanéj

na szkicach obrazu, z ramieniem jedném pod głową, z zamkniętemi oczyma....“

To jeszcze co innego!

W obrazie artystycznego otoczenia, pośród którego żyje i obraca się *Lewis Seymour* w dalszym ciągu swojego zawodu, pozostaje także Jerzy Moore daleko w tyle za swoim samowiednym czy bezwiednym naśladowcą. (Przypuszczam zawsze możliwości przypadkowéj tożsamości tematów). Po trzecim czy czwartym rozdziale zresztą obie powieści rozchodzą się w całkiém odmiennych kierunkach. *Lewis Seymour* nie jest tym genialnym w pomyśle, bezsilnym w wykonaniu i z tą niemocą swoją szarpiącym się artystą, którego Zola ulał z bronzu w postaci swego *Klaudyusza*. Przypomina on raczéj lekkomyślnego, lekko tworzącego i łatwo zadawalniającego się *Fagerolles*'a, z téj saméj powieści. Całością zaś swego zawodu jest jawnym prototypem Maupassantowskiego „Bel-Ami.“ Podobieństwo staje się tu bliższém jeszcze i nieledwie wykluczającém hipotezę przypadkowego spotkania się dwóch pomysłów. *Lewis Seymour*, noszący się na wstępie powieści z myślą znalezienia ostatecznego schronienia w mętnych nurtach Tamizy, dochodzi następnie do dostatków i sławy — przez kobiéty. Naturalnie porzuca on najpierw dobrą, poświęcenia pełną *Gwynnie*, a przynajmniéj zapomina o niéj, bo właściwie ona to dokonawszy swojéj ofiary, ucieka pod wpływem dręczącego ją wstydu i kryje się przed nim w odległym kącie olbrzymiego miasta. Ale nie szuka on jéj nadto pilnie,—choć przyrzekł jéj małżeństwo. Odnajdują się oboje dopiero przy końcu powieści, przed gotowalnią pięknéj *Lady Helen*, którą *Lewis* wybiera się zaprowadzić do ołtarza, a u któréj *Gwynnie* przyjęła służbę. W sklepie handlarza, który obdarzył go opatrznościowym obstalunkiem, spotyka nasz „Nowoczesny kochanek“ panią *Bentham*, młodą jeszcze i przystojną rozwódkę, która pierwsza otwiera mu drogę do czekającéj nań fortuny. Powierza mu ona dekoracyą ścienną balowéj sali w swéj wiejskiéj rezydencyi (ob. „Freski“ Ouidy), poświęca tysiąc funtów szterlingów rocznie na zakup jego obrazów i ostatecznie oddaje mu się własną swoją osobą. Inne, mniéj lub więcéj powabne ale jednakowo rozkochane a dobroczynne damy, dokonywają reszty. „Bel-Ami“—przepraszam,— „The Modern Lover“ żeni się z córką bogatego lorda, wchodzi do Akademii Sztuk Pięknych, staje się modnym (*fashionable*) malarzem i t. d.

Są przecież różnice między dwoma utworami. I nader głębokie. Zgadzam się najpierw z krytykiem Whitehallskiéj „Revue“ w tém pojęciu, że „Nowoczesny kochanek“ jest arcy-nieprzyjemnym młodzieńcem; nie umiem zaś zastosować tego surowego sądu

do „Bel-Ami"ego, mimo wszystkich nikczemnych i wstrętnych stron jego charakteru i zawodu. Jest on nikczemnym, ten „Bel-Ami", jest niegodziwym, jest ohydnym, ale nieprzyjemnym—*nie*; powtarzam: *nie*, chociażbym miał popaść pod klątwę, a nawet zarumienić się z własnego popędu po uszy; nie, nie znajduję go nieprzyjemnym—bo mnie jego nikczemność bawi. Zabawnym jest on, zabawném jego otoczenie, zabawnemi kolejne przygody jego awanturniczéj karyery, pełnemi szczerego humoru, wesołości, fantazyi, komizmu; i te to przymioty czynią, że gdyby Maupassant miał sprawę tylko z takimi jak ja krytykami, tedy zasłonilibyśmy sobie twarz, ale nie potrafilibyśmy powiedzićć inaczéj jak tylko, że tak czy siak, napisał on małe arcydzieło. Inaczéj się ma z Jerzym Moore i jego „Nowoczesnym kochankiem." Ponurym nie jest Moore do tego stopnia co Zola; wątpię, aby chciał przyswoić sobie klasyczną formułę mistrza, podług któréj sztuka jest koniecznie „smutną" („*L'art est sérieux*, *l'art est triste*"); śmieje się on chętnie, trochę grubym, ale naturalnym, niewymuszonym śmiechem; tylko brakuje mu téj werwy, która na każdym kroku, pod piórem jego francuskiego współzawodnika skrzy się i strzela fajerwerkami, téj pomysłowości oryginalnéj, która co dziesięć kartek wytwarza coraz to drastyczniejsze a rozweselające sytuacye, téj obrazowości wreszcie malowniczéj, szafującéj takiemi np. widowiskami, jak gra bilbokietowa w redakcyi Walterowskiego dziennika.

Innym, co prawda, nierównie poważniejszym jest ton i zakrój cały powieści Moore'a; ale to mam mu właśnie do zarzucenia, że względu na temat przezeń obrany. Temat ten ocalonym mi się zda u Mautpassant'a przez całość i podobno nie mógł być ocalonym inaczéj, i Mautpassant, który dramatyzować potrafi w danym razie (jak tego dowiódł w „Une Vie" i gdzieindziéj) zrozumiał to — może instynktownie. Jerzemu Moore nie zbywa także na dramatycznéj sile. Mam w pamięci scenę na balu u pani *Bentham*, obok któréj nie wiele przypomnićć sobie mogę prawdziwie, naturalnie tragiczniejszych w spółczesnym repertuarze; *Lewis Seymour*, który znużył się już przekwitłą szybko pięknością 40-letniéj rozwódki, a któremu w dodatku młoda i posażna *lady Helen*, utkwiła w głowie, *przeflirtował* z tą ostatnią cały bal i zawiódłszy ją w końcu do ustronnego przedsionka, przyprowadził ją do ostatecznych wyznań. Tymczasem, śledząc za romansującą parą z sercem rozdzieranćm rozpaczliwą zazdrością, pani *Bentham* skryła się za marmurowym filarem na górnéj galeryi przedsionka. Słyszy ona ztamtąd czułą wymianę słów, widzi gorącą wymianę spojrzeń. A oto o niéj saméj teraz mowa. Zazdrosném ze swojéj strony uczuciem wiedzioną, *lady He-*

len dopytuje się o charakter stosunku istniejącego między nią a *Lewisem*, dręczy swego kochanka podejrzliwemi domysłami, dopomina się natarczywie o kategoryczną odpowiedź: czy kocha on panią *Bentham*, czy nie kocha jéj? *Lewis Seymour* wykręca się jak może, daje do zrozumienia, za pomocą tysiącznych omówień i dwuznaczników, że piękność pani *Bentham* nie odpowiada w zupełności jego ideałowi, że wreszcie jest ona trochę *minioną*; ale w końcu przyparty do muru, zdobywa się na heroiczny wysiłek nikczemności.

— „Na Boga! jak możesz pani przypuszczać coś podobnego. Toć mogła by ona być moją matką: tak samo mogłabyś pani oskarżać mnie o kochanie się w pięćdziesięcioletniéj pani Thorpe.“

W téj chwili przytłumiony krzyk boleści obija się o uszy kochanków. Zrywają się oboje, ale pani *Bentham* uciekła już do swojego pokoju i padła na łóżko, łkając konwulsyjnie. Kochankowie wracają przeto do sali balowéj i niebawem nowy walc, którego dźwięki dolatują tam do biednéj wypłakującéj ostatnie łzy swoje kobiéty, porywa ich w swój wir rozkoszny.....

W kilka dni późniéj pani *Bentham* odwiedza po raz ostatni ukochaną przez się, niedawno własném staraniem umeblowaną, ozdobioną i wypieszczoną pracownię malarską. *Lewisa* niemasz w niéj i rada ona z tego: będzie mogła przygotować się na jego spotkanie i pomarzyć trochę..... „Spojrzała najpierw na swój portret; przywiódł on jéj na pamięć lube rozmowy, które skracały spędzone przed stalugami chwile; i pomyślała, że nigdy nie usiądzie już przed temi stalugami i myśl ta zdała jéj się dziwną. Obok wisiał obraz z gromadą żniwiarzy, wymalowany w Claremont-House: przypomniała sobie, jak spierała się długo z nim o jedną z figur, i jak w końcu usłuchał on jéj rady i przemalował figurę: nigdy już nie miał się on jéj radzić więcéj!

„Miała na sobie suknię skromną, ciemnéj bronzowéj barwy, z czarną koronkową mantylką i jesień jéj piękności kwitła niejednym jeszcze kwiatem przechowanym z zapomnianych wiosen i minionego letniego przepychu. I nie żałując ofiar lekkomyślnie złożonych na ołtarzu fałszywego boga, pamięć jéj zagłębiała się pokornie w żegnanéj teraz przeszłości.

„Wstawała ona przed jéj oczami, ta przeszłość, jak purpurowa mgła nad słońca zachodem; myśl jéj, samopas puszczona, biegła od jednego do drugiego wspomnienia; i w wahającéj się dotąd czułości jéj rozbolałego serca, zapalały się te wspomnienia jak gwiazdy, gasły i uchodziły precz nakształt cieniów....

„Na małym stoliku opodal leżał jéj koszyk z robotą. Machinalnie wzięła do ręki wzorzysty haft, ale wypuściła go natychmiast

z rąk, z uczuciem wstrętu; rozpoczęte pantofle nie miały nigdy być dokończonemi. Książka, którą zaczęła czytać, leżała także obok, ale z połową kartek nierozciętych.

„Na rzeźbioném biurku, opartém o przeciwległą ścianę, zobaczyła chustkę, którą Lewis zabrał jéj, upodobawszy sobie jéj zapach; podniosła ją, ale odrzuciła także: zapach rozwiał się od dawna; spojrzała w lustro, ale nie znalazła w niém żadnego z dawnych uśmiechów: w cieniu firanek, u okna, pachnąca lilia, którą przysłała mu przed kilkoma dniami, dogorywała powoli w swym wazonie.

„Przez ten czas Lewis spędzał rozkoszne chwile w niedalekim parku. Lady Helen patrzyła mu w oczy a spojrzenie jéj promieniło się miłością...“

Są to oczywiście sceny, z któremi targować się trudno o miarę ich artystycznéj wartości.

Nietylko wirtuozem zaś znakomitym w grze dramatycznych efektów, psychologiem wytrawnym także i analizatorem okazuje się Moore w charakterystyce swego bohatera. Mieszanina bezwiedności i przewrotności w jego haniebném postępowaniu, naiwności i cynizmu, stałego brutalnego egoizmu i chwilowych szlachetnych porywów, powierzchownéj czułostkowości i tuzinkowego sentymentalizmu, pokrywającego zimne jak lód serce, ale służącego mu do oszukiwania drugich i samego siebie—wszystko to są rysy z niezmierną przenikliwością uchwycone, z niepospolitym oddane artyzmem. W tym względzie autor „Nowoczesnego kochanka“ odzyskuje przewagę nad autorem „Bel-Ami'ego“. „Bel-Ami“ jest rodzajem mytu, alegoryczną raczéj niż realną postacią, mimo swych realistycznych pozorów. „Nowoczesny kochanek“ jest żyjącą istotą, któréj psychicznemu mechanizmowi przyglądamy się niby maszyneryi otwartego przed nami zegarka.

Ale to wszystko nie okupuje całości utworu, która jest nużącą i przykrą. Dla czego zresztą nazwał Moore swego bohatera „Nowoczesnym kochankiem“? Chyba przez uległość dość ogólnemu wprawdzie przesądowi, który chce abyśmy byli więcéj zepsutymi od naszych przodków, a któremu historya, nawet powierzchownie badana, zadaje fałsz absolutny. Specyalna forma zepsucia, któréj tacy bohaterowie jak „Bel-Ami“ i „The Modern Lover“ są wyobrazicielami, należy jawnie, w charakterze *pospolitego zjawiska*, do obyczajów XVII i XVIII wieku, pozostając, w naszém spółczesném życiu, zjawiskiem wyjątkowém. Co nie dowodzi znowu, abyśmy byli *mniéj* zepsutymi. Ani mniéj prawdopodobnie, ani więcéj; tyleż, tylko inaczéj.

Bądź co bądź jednak, jako pierwszy utwór zwłaszcza początkującego pisarza, „A Modern Lover“ obiecywał wiele. „A Mummers Wife“ w pewnéj mierze tylko odpowiedziała temu, czego młody autor kazał wyglądać od siebie.

Kate Ede—bohaterka powieści—jest żoną mało-miasteczkowego przemysłowca, utrzymującego sklep bławatny, i przykładną a nawet heroiczną żoną. Pilnuje ona całemi nocami swego męża, obdarzonego wyjątkowo dokuczliwą astmą i wyjątkowo przykrym charakterem, a pracuje całemi dniami dla zarobienia na swoje i jego życie. Ale czyni ona to wszystko instynktownie, bezmyślnie, z mocy pierwotnego impulsu nadanego słabemu jéj charakterowi, bez żadnego wyższego poczucia obowiązku, bez żadnéj podstawowéj zasady, kierującéj jéj czynami. Widać jeszcze, że pierwszy lepszy czy gorszy impuls, który ją popchnie w innym kierunku, nie spotka oporu. Zjawia się ten impuls, w postaci wędrownéj trupy dramatycznéj, któréj dyrektor, barczysty, rubaszny, wesoły i przystojny *Dick Lennox*, zamieszkuje pod jéj własnym dachem w odnajmowanéj przez oszczędność parze pokoików. *Kate* nie była nigdy w teatrze. Purytanizm jéj teści, surowéj metodystki, wzdryga się na samę myśl podobnéj rozrywki. Tym razem jednak chęć zobaczenia wesołego *Dicka* w jednéj z wychwalanych przezeń *performances*, jego namowy, nowa jakowaś atmosfera wprowadzona przezeń do dusznego domowego zakątka, wszystko czyni, że nie umie ona obronić się przed pokusą. Idzie ukradkiem do teatru i wraca z upojoną od razu i zawróconą głową. Życie, którego ciężar znosiła dotąd cierpliwie, staje się jéj teraz nieznośném, i kiedy, po kilku miesiącach, *Dick* wraca ze swoją trupą, rzuca mu się ona sama prawie w objęcia i uwodzi go raczéj niż daje się uwieść. Sama skłania go do tego, aby ją zabrał z sobą.

Przejście jéj raptowne, nakształt skoku, z jednéj sfery w drugą tak zupełnie odmienną, odmalowane zostało przez autora z godną uznania przenikliwością i plastyką. A nie bez pewnego humoru także. Podróż z hałaśliwą, trywialną, cyniczną rzeszą komedyantów i komedyantek zaczyna się od tego, że za pomocą fortelu, w pospolitem użyciu u siebie będącego, *Dick Lennox* oszukuje kasę kolejową na liczbie biletów; podczas bowiem gdy konduktor dopełnia kontroli, pewna część personalu teatralnego rozprasza się po stopniach sąsiednich wagonów. *Kate* nie rozumie zrazu, o co chodzi, a zrozumiawszy, unosi się grozą i gniewem. Jéj nałogowa mieszczańska uczciwość walczy z cynicznym śmiechem nowych jéj towarzyszów, witającym jéj naiwne wybuchy oburzenia. Na pierwszym przystanku czeka ją gorsza jeszcze niespodzianka. *Dick* zamówił te-

legrafem śniadanie na czterdzieści osób „dla pana *Simpson.*“ Sniadanie okazuje się doskonałém, ale, przy końcu, gdy służba objawia ciekawość zapoznania się osobiście z panem *Simpson*, osoba tego ostatniego staje się niewidzialną. Każden z aktorów widział go dopiero co: poszedł właśnie kupić dziennik, musiał zajść do telegrafu, itd. A tymczasem pociąg rusza. *Kate* rumieni się i załamuje ręce od wstydu; ale nie znajduje sposobu uchronienia się od następstw uczynionego przez się kroku, obecność zaś *Dicka* uśmierza w pewnéj mierze jéj żałość i przytłumia jéj wstręty.

I przyzwyczaja się ona powoli do nowego swego otoczenia, do nowéj ogarniającéj ją atmosfery moralnéj, wstępuje z czasem sama na deski teatralne, śpiewa z powodzeniem operetkowe role, i, otrzymawszy rozwód, łączy się na zawsze z *Dickiem*, staje się „Żoną komedyanta.“ Ale tu wrodzona jéj uległość dla działających na nią wpływów zewnętrznych, gotuje nowe przesilenie w jéj zawodzie. Stawszy się matką, uczuwa ona nagłe obrzydzenie do teraźniejszego swego życia, zatapia się w roli troskliwéj mamki i zabiegliwéj gospodyni domu, nie chce słyszéć o powrocie do swych ról teatralnych. Na nieszczęście stają na wstręcie téj metamorfozie dwie przeszkody: stan jéj zdrowia nadwerężony scenicznemi drażniącemi wzruszeniami, przygodami awanturniczych wędrówek, świeżym połogiem—i nędza zaglądająca w oczy zeswatanéj parze po niefortunnych kolejach i ostatecznèm rozbiciu trupy dramatycznéj. Przeciwko dwom tym dolegliwościom szuka *Kate* ratunku w nowym fatalnym popędzie. Doktór zalecił jéj używanie, (w ograniczonéj dozie), pewnych podniecających środków; zna zaś ona z teatralnego doświadczenia ich skuteczność.....

I oto rozkładowy proces jéj wątłéj moralnéj istoty, rozpoczęty kryjomą wycieczką do teatru, dokonywa się tą fatalną drogą. *Kate* zaczyna pić. — I ztąd scena owa, wyszczególniona przez krytyka z „Society“: śmierć dziecka obok pijanéj matki; w wysokim stopniu patetyczna istotnie.

... „Była to chłodna noc zimowa, i zimny dreszcz przejął ją do szpiku kości, kiedy, spojrzawszy na śpiącego męża, pomyślała, do czego by przyjść musiało, gdyby ona także miała zachorować. W takich okolicznościach, było niepodobieństwem dla niéj nie pomyśléć o narkotycznym napoju; wstała przeto, i, dobywszy butelkę z szuflady, w któréj była ją ukryła pod bielizną, nalała sobie spory kieliszek. Pierwszy raz zdarzało jéj się wypić taką dozę czystego spirytusu i rozlał się on po jéj wnętrznościach wywołując natychmiastowe i rozkoszne uczucie ciepła. Skutek w ten sposób otrzymany zadowolnił ją tak dalece, że po chwili wahania, przysunęła kołyskę do

łóżka, tak, aby nazajutrz rano mogła mieć ją pod ręką i pod okiem, i wróciła do wódki. Wypiła drugi kieliszek powoli, z ramionami opartemi o komodę, niby o kontuar pospolitego *bar*'u, myśląc o dziecku swojém i o mężu, i o tém, jak dobrą obiecywała sobie być dla obojga, dopóki myśli nie zaczęły urywać się w jéj głowie i precz uchodzić. Wtedy zatoczyła się, chwiejąc się, do łóżka. Natychmiast sen ciężki padł na nią, i w cieniu nałożonych grubo kołder, przeciągły oddech uśpionéj pary rozległ się wśród ciszy napełniającéj izbę. Obok, znużone przebytemi konwulsyami dziecko spało także; ale rosnąca powoli jasność zaczęła ogarniać pogrążone w zmroku mury: księżyc dotknął właśnie złotą plamą róg odległego komina i niebawem długa biała smuga weszła i położyła blady palec na plecionem nakryciu kołyski. Wtedy, jak gdyby ocknione przybyciem nieziemskiéj jakiéjś istoty, dziecię wydało cienki przytłumiony krzyk; ale tylko głębokie chrapanie rodziców odpowiedziało nań i w przezroczystym teraz zmroku mała twarzyczka przeglądała wykrzywiona cierpieniem i drobna rączka wyciągała swą zamierającą bladość ku niebu.

„Po nad ciemném wnętrzem izby księżyc zajaśniał teraz w pełni i nakształt uchodzącego ukradkiem i pochylającego się nad kołyską anioła, biały promień złożył zimny nadziemski pocałunek na policzkach samotnego dziecięcia—i natychmiast, jak gdyby wystraszone, niebieskie oczęta otworzyły się szeroko, małe nóżki podniosły się aż do piersi, słabe jęczenie ustało i rozpoczęły się konwulsye. Zali ojciec lub matka obudzą się dla uśmierzenia téj bolesnéj walki ze śmiercią? Nie, małe drgające członki kurczyły się tylko i rozciągały w takt do miarowego chrapania pijanéj kobiety, i tak samo obojętny, majestatyczny w nagiéj swéj złotéj chwale, księżyc płynął śród błękitnéj ciszy niebios, aż spotkał się twarz w twarz z chorém dziecięciem.

„Wtedy, śród dziwnéj świetlanéj pauzy (?), zielona obecność jakaś zajęła całą izbę, ogarniając każdy szczegół tajemniczym uściskiem. Najpospolitsze przedmioty przyjęły fantastyczną, przerażającą postać; kształty wszystkie i dźwięki uległy przeistoczeniu. Butelka z wódką na komodzie wzięła na się demoniczną maskę i śpiąca para, majaczejąca w pomroku osłaniających ją kotar, wyglądała niby nikczemny świat, chrapiący z równą obojętnością dla życia i dla śmierci. Jednak na chwilę zaświtała nadzieja, bo jakby zwyciężone magnetyczną siłą wyższéj potęgi, konwulsye zmniejszać się zaczęły i słodki spokój rozlał się nad biedną kołyską. Na jak krótko! Niedługo kołderka zwisła, odrzucona podnoszącemi się znowu ku piersi nóżętami, niebieskie oczęta jęły mrugać konwul-

syjnie. Ale żaden uśmiech ani łza żadna nie poruszyła w jéj łagodném okrucieństwie bladéj czarownicy tam w oknie: powoli, jak pijący wąż, piła ona to młode życie. Twoim losem należéć do mnie i do mnie tylko, zdawała się mówić — i wśród pożerających blasków walka ciągnęła się daléj. Na liliowéj białości skóry wystąpiły czarne plamy; wszystkie okrągłości wykrzywiły się w ostre krawędzie; wyprężone kolana miotały się w prawo i w lewo, mięśnie zdawały się rozdzierać się; kości pod niemi łamać się gwałtownie: tak jak w posągu Laokoona każdy ruch wyrażał boleść.

„I tak przez niedający się oznaczyć przeciąg czasu, białe księżycowe smugi opromieniały poetyczną mękę; a potém małe, wiotkie ciałko legło cicho w strumieniu nieczułego światła. Ani jedna gwiazda nie wstała do czuwania nad mizernemi, do zabitéj ptaszyny podobnemi zwłokami: księżyc jeden wiedział o księżycowéj tragedyi, i godzinę nad niém strawiwszy, blada promienność opuściła śmiertelne wezgłowie, zostawiając samotne dziecię w zmroku snu wiecznego....“

Nieszczęsna *Kate* umiera ostatecznie z suchot sprowadzonych przez alkoholizm, spędziwszy pierwéj miesiąc w domu obłąkanych, gdzie *Dick*, o mało co niezamordowany przez nią w przystępie szaleństwa, zamknął ją, znalazłszy tymczasem zajęcie przy *Mrs Forest*, staréj, bogatéj waryatce, chorującéj na mistycyzm, na pasyą do pisania dramatów i na upodobanie do barczystych mężczyzn.

Wcale niezłym i ze swojskiéj natury uchwyconym, widocznie jest ten typ amatorki-literatki.

W całości swej „A Mummers Wife“ przedstawia się jako bardzo poważne, z wielką maestryą wykonane studyum z dziedziny patologii psychicznéj, wobec którego jednak, tak jak wobec wszystkich utworów tego rodzaju narzuca się kategoryczne pytanie: *cui bono?* Zabawném ani przyjemném nie jest to, a pouczającém? tak, ale co komu po téj nauce? Przypuszczam, iż w peryodzie 25-letnim trafić się może, pośród danéj sfery społecznéj tego rodzaju *specymen*; cóż ztąd? Gdybym wiedział o istnieniu rzeczywistéj jakiéj *Kate*, pierwszém mojém uczuciem byłaby radość z tego, że mam szczęście nie znać jéj, a drugiém życzenie, abym mógł nie wejść jéj w drogę nigdy. Ostatecznym przeto wyrazem mojego sądu o Jerzym Moore jest przekonanie, że mógłby on użyć daleko lepiéj bardzo rzadkich przymiotów, któremi natura go obdarzyła. Na nieszczęście ostatnia jego powieść p. t. „A drama in Musslin“ nie obiecuje w tym względzie. Jerzy Eliot czeka i na tém polu opóźniającego się spadkobiercy.

K. Waliszewski.

WIECZOREM.

Deszcz padał drobny gęsty. Chodniki oślizgły i pokryły się czarnem, lepkiem błotem, w którém gdzie niegdzie przeświecały kałuże ciemnéj wody. Przechodnie mijali się szybko, twarze ich były zachmurzone, gniewne, jak zwykle, gdy zimny deszcz w oczy siecze. Wiatr ostry wiał od zachodu i napędzał ztamtąd całe gromady chmur ciemnych, mętnych, jakby w nich przewalało się błoto. Było zimno, wietrzno, smutno, jak zwykle przy końcu listopada, gdy deszcze już rozmoczyć nie mogą zamarzniętéj ziemi, gdy nadciąga długa, ostra zima, tak straszna dla tych, co nie mają czém w piecu napalić...

Krótki dzień listopadowy się kończył—zmrok zapadał, stapiając na krańcach widnokręgu szarą ziemię i szare obłoki w jedną ciemną bezkształtną masę.

Bielańską ulicą ciągnął zwolna jednokonny karawan, biało malowanéj trumny—spływała biała dziewicza draperya, obmokła od deszczu, obryzgana błotem potrosze. Wiatr targał ją, jakby chciał zerwać. Chudy, stary koń łeb spuścił smutno i wytężając siły ostatek, ciągnął karawan ubogich. Za trumną szedł starzec białowłosy z odkrytą głową. Wiatr miotał mu w oczy lodowatym deszczem, rozwiewał jego siwe włosy, rozchylał niezapięty paltot—on nie czuł tego, jak nie czuł, że nogi jego brodzą po kostki w rzadkiém błocie. Szedł naprzód pochylony, z oczami nieruchomo utkwionemi w trumnę, co przed nim bielała, jakby tam spoczywał magnes, co go nieprzepartą siłą ciągnął ku sobie.

Za nim krok w krok szła niewielka czarna psina, z ogonem schowanym pod siebie, z głową spuszczoną, jakby wietrzyła ślady.

Karawan posuwał się wolno, koń nie miał siły, więc go woźnica okładał batem, chcąc prędzéj odbyć pańszczyznę; on wlókł się noga za nogą. Wreszcie ukazały się rogatki i mury, otaczające wielkie grobowisko, na którém legło tyle pokoleń, że prochem swo-

im mogły wykarmić te stare, piękne drzewa, broniące krainę umarłych od słoty jesiennéj. Woźnica podjechał aż do ostatniéj bramy, stanął i zaczął rozcierać skostniałe ręce. Nie było widać nikogo,—posługacze cmentarni pochowali się przed słotą, a jeśli który wyjrzał ukradkiem, to widząc jednokonny karawan i nie spodziewając się zarobku, napowrót się chował.

Starzec się oparł o karawan i ciągle nieruchomym, szklanym wzrokiem wpatrywał się w trumnę... Trwało to długą chwilę. Woźnica się niecierpliwił, hałasował, ręce zacierał, aż wreszcie ukazało się dwóch posługaczy. Zdjęli trumnę z karawanu, ale niedbale, szorstko się wzięli do tego, aż przechyliła się na jedną stronę... Starzec ją chwycił gwałtownie w ramiona, z piersi jego wyrwał się jęk krótki, urwany, ale tak rozpaczny, że obaj posługacze spoważnieli nagle i mimowolnym ruchem odkryli głowy. Potém wzięli na ramiona trumnę, aby ją zanieść na cmentarz—ale starzec już jéj nie puścił, i poszedł za nimi, wciąż ją obejmując ramieniem.

— Niech pan pozwoli—ozwał się życzliwie jeden z posługaczy, probując złagodzić szorstkie brzmienie grubego, ochrypłego głosu,—my już zaniesiemy; takie to lekkie, ino drzewo waży.

Starzec nie odpowiedział, nie słyszał może. Silniéj przycisnął do siebie tę lekką trumienkę, w któréj tylko drzewo ważyło, i miłośnie przesunął po niéj drugą rękę, jakby pieścił żywą istotę.

Posługacze zamilkli nagle—jednemu coś niby łza zaświeciła w oku. Poszli daléj—gruba warstwa liści zeschniętych tłumiła szelest kroków. Wiatr tylko szumiał i jęczał, wstrząsając nagiemi drzew gałęźmi, z których spadały zimne deszczu krople, niby łzy stężałe.

W oddalonéj części cmentarza widniał grób świeżo wykopany, przy którym stał grabarz, przestępując z nogi na nogę i uderzając niemi o szpadel dla rozgrania się. Tutaj wiatr harcował swobodnie, drzew ani pomników nie było, o któreby się zatrzymywał. Ziemia była pogarbiona mogiłami—gdzieniegdzie widniał krzyż świeżo wzniesiony, sterczały nowo-zasadzone krzewiny,—ale słabe to były opory.

Posługacze po sznurze trumnę do dołu spuścili powoli, łagodnie, nie spiesząc się, choć było im bardzo zimno. Ukradkiem spoglądali na starca, który po raz ostatni przycisnąwszy usta do trumny, stał pochylony nad grobem, bez łzy, bez jęku, ścigając szklanemi oczami ziemię, którą grabarz grób zasypywać zaczął. Wzrok jego bezmyślnie, automatycznie ścigał szpadel zagłębiający się w świeżą przemokłą ziemię i zsypujący ją w otwartą, czarną jamę. Gdy grabarz skończył robotę, starzec przykląkł na świeżym grobie. Nie

zapłakał i teraz—usta jego nie poruszyły się ani jednem słowem. Oczy podniosły się w górę, zawisły tam na chwilę i znowu spuściły na świeży grób.

Psina pyszczek w skopaną ziemię utkwiła i wietrząc żałośnie zawyła.

Jeden z posługaczy przystąpił do klęczącego starca.

— Niech pan już pójdzie,—rzekł półgłosem,—późno, do miasta daleko...

Starzec popatrzył, jakby nie rozumiejąc. Psina przestała wietrzyć i głucho warknęła, patrząc na obcego nieufnie. Posługacz jeszcze łagodniejszym głosem powtórzył wezwanie, ale starzec nie ruszył się z miejsca, nie odpowiedział ani słowa. Posługacz odszedł markotny i jeszcze się kilka razy obejrzał za siebie.

Zmrok coraz większy zapadał. W oddali zabłysły sznurkiem ognistym miejskie latarnie,—zaświeciły światła w oknach. Stróż cmentarny przesunął się uliczką, a widząc klęczącego wciąż starca, przypomniał mu, że trzeba wyjść, bo zamykają cmentarz. Starzec pozwolił się wyprowadzić za bramę, i nie mówiąc słowa, machinalnie zwrócił się w stronę miasta. Zapomniał na grobie czapki—on nie czuł nawet, że zimne krople spadają na obnażoną głowę jego. Psina stanęła niepewna, w którą stronę iść—zwróciła się ku cmentarzowi, zaskowyczała żałośnie, spojrzała na swego pana, jakby z wyrzutem, że odchodzi i pobiegła za nim wreszcie.

Starzec szedł wolno, powłócząc nogami. Znać było, że nie wola, ale tylko instynkt kierował go w stronę mieszkania, że idzie machinalnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Ciężko mu było wyciągać nogi z błota, co chwila potykał się, albo zaczepiał o przechodniów, z których niejeden zakląłgłośno, widząc człowieka bez czapki, w rozpiętym paltocie i chwiejącego się na nogach.

Nareszcie się dobił do swojéj kamienicy, wysokiéj, wązkiéj, staréj. W sieni kopciła się maleńka lampka naftowa, która więcéj dawała swędu, niż światła. Psina w kilku podskokach wbiegła aż na trzecie piętro i tam do drzwi zaczęła drapać; widząc, że pan nie przychodzi, zbiegła napowrót do niego i przeskakiwała po parę schodów, oglądając się na niego swemi mądremi, żółtemi oczami.

Starzec z trudnością, co chwila przystawając, wdrapał się na trzecie piętro i kluczem, wyjętym z kieszeni, otworzył nizkie drzwiczki. Powiało ztamtąd pustką i chłodem, oraz zapachem zmieszanym chlorku, zgaszonych gromnic i różnych leków aptecznych. Starzec się cofnął, psina tylko wbiegła pędem, jakby szukając kogoś a nie znalazłszy, przypadła znowu do pana, patrząc mu prosto w oczy, jakby zapytać chciała...

On wreszcie próg przestąpił, natknął się na stół niedaleko drzwi stojący. Niepewne światło, przez otwarte drzwi wpadające, odbiło się na białym kloszu lampy,—starzec zapalił ją, i biorąc w rękę przeszedł do drugiego pokoju.

Była to niewielka izba, o ścianach malowanych na szaro. W rogu się wznosiła kuchenka, zastawiona parawanem, naprzeciw pod ścianą łóżko żelazne, a obok niego duży stół, zasłany ceratą; na stole leżał stos kajetów, w bibułę oprawnych, kilka książek szkolnych i przybory do pisania.

Starzec usiadł, stawiając lampę na stole. Oczy jego tak samo nieruchomym wzrokiem wpiły się w łóżko, jak przedtém w trumnę. Jeszcze wczoraj, gdy do kościoła wynieśli martwe ciało jego jedynaczki, życzliwa ręka uporządkowała rozrzuconą pościel, zasłała białą kapą łóżko, ale stary człowiek o siwych włosach, co się tak nieruchomo przed siebie wpatrywał, wciąż na tém łóżku widział rozrumienioną gorączką twarz dziewczyny, o cerze zwiędłéj przedwcześnie, o ciemnych oczach, podkrążonych siną obwódką. Widział, jak z twarzy téj ustępował rumieniec gorączki, jak gasły oczy, aż wreszcie biedna, chuda twarzyczka stała się żółta, sina, trupia, a oczy się zamknęły, aby nie otworzyć już nigdy.

Nie chorowała długo. Jednego wieczora położyła się z silnym bólem głowy i już nie wstała nigdy. Gorączka jéj odebrała przytomność, która wróciła dopiero w przeddzień śmierci. Dziewczyna wtedy poprosiła ojca, aby przeszedł do drugiego pokoju. Usłuchał i przez drzwi niedomknięte słyszał, jak prosiła doktora, aby późniéj, gdy jéj już nie będzie, czuwał nad starcem i nie dał mu zginąć marnie... Głos dziewczyny był cichy, stłumiony, a jednak dotąd brzmiał mu w uszach tak silnie, że wszystko głuszył. Pamiętał, że wtedy jak burza wpadł do pokoju, chwycił w objęcia tę wątłą, cierpieniem wyniszczoną istotę, i chciał z nią uciekać daleko, daleko z tego pokoju, w którym śmierć czyhała. Ale doktór przytrzymał go i łagodnie zaczął napominać, żeby córki nie męczył, bo to może przyśpieszyć jéj koniec. Położył ją napowrót na łóżko i w tejże chwili zdało mu się, że mu na głowę spadł kamień ciężki a palący. Klęknął przy łóżku córki i już się ztamtąd nie ruszył, aż gdy martwe ciało włożyli do trumny i wynieśli do pogrzebowéj kaplicy pod wieczór.

Doktór się zajął wszystkiém, umówił pogrzeb, a starca biednego zabrał do siebie na noc.

Teraz, zamiast pójść znowu do niego, siwy człowiek machinalnie powrócił do tego pokoju, gdzie onegdaj jeszcze leżała jego córka jedynaczka. Zapomniał, że przyjść obiecał, jak zapomniał zam-

knąć za sobą drzwi od schodów, któremi wpadało wilgotne, lodowate powietrze. On nie czuł tego, nie czuł głodu, nie czuł, że wstrząsają nim dreszcze febryczne. Świat rzeczywisty nie istniał na tę chwilę dla niego.

Za to przed oczami jego duszy zaczęły się roztaczać obrazy już dawno minione. Wszak niegdyś, dawno już temu, on przy odgłosach burzy, co nad krajem całym szalała, pochylał się nad łóżeczkiem siedmioletniego dziecięcia, tak samo, jak dziś, nad tém łóżkiem pustem. Pochylał się, aby ją pocałować, dziecinę swoją, pożegnać, bo wyjeżdżał daleko, nie wiedząc, czy wróci kiedy.... A w jego starym dworze, w gnieździe rodowém została młoda żona z dwojgiem dzieci małych....

Burza szalała, łamiąc drzewa wyniosłe, co z korzeniem wyrwane padały z trzaskiem, druzgocząc drobniejsze drzewiny i krzaki, co pod ich cieniem rosły. Szalała burza i niosła tumany całe liści zeschniętych, co rozsypały się po całym świecie. Wicher wściekły miotał niemi, i gubiąc po drodze, zanosił aż na szerokie, bezbrzeżne stepy śniegiem zasłane, po których harcował swobodnie....

Przed oczami starca rozsunęły się te stepy śnieżyste, ciche, po których wiatr nawet jęczy skargą żałosną, po których szeroko rozbrzmiewa odgłos dzwonka pocztowych sani, co pędzą galopem, żeby nie zamarznąć w drodze....

I zwolna przechodził pamięcią te lata bez końca, czy zimy raczéj, jednakowe, jak paciorki różańca, podobne do siebie, jak łzy spadające z oczu, płynące jak woda w rzece, co choć przepływa i nigdy nie wraca, płynie przecież ciągle jednako. Przechodził myślą te chwile długie, z których mu został na wieczne czasy w uszach głos dzwonków pocztowych i smutna skarga wichru, harcującego po stepach bezbrzeżnych, śniegiem zasłanych.

I teraz je widział przed sobą. Jak okiem zajrzał, śnieg równym kobiercem ziemię zaściela, — blade niebo zlewa się w jedno z białym całunem. Białe płatki przed oczami latają—to śnieg z cichym, a jednak przejmującym szelestem na ziemię pada, zakrywając ślady wszelkie. Coś jęczy i huczy i dzwoni w oddali — to wiatr niesie echo dzwonka po stepie szerokim....

Zimno było pod tém niegościnném niebem, tém zimniéj, że w głowie roiły się jak lawa gorące marzenia, w duszy grały pragnienia ogniste, co chciały ten biały śniegowy całun zamienić w morze płomieni czerwonych, co mogłyby roztopić żelazo twarde. Marzenia te nurtowały pod czaszką, pragnienia przetrawiały duszę jak ogień, a na to wszystko powoli, z cichym szelestem spadały białe śniegu płatki i przykrywały śmiertelnym całunem....

I długo, długo tak było, — aż w ogniu tym przepaliła się dusza człowieka — ogień strawił wszystko, co nie było tém jednén wielkiém pragnieniem—jedną namiętną miłością, wewnątrz płonącą, zewnątrz pokrytą szklistą lodu powłoką, twardą, zimną.

I wszyscy ci, których widywał, wszyscy ci, z któremi skuły go losy, myśleli i czuli tak samo; wszystkich ożywiała myśl jedna, jeden duch krzepił. Silnie się zwarli ramieniem, solidarni, jak jedna rodzina, pokrewni sobie, jak bracia—jeden za drugiego stał murem...

Powoli, po jednemu, ubywały ogniwa tego łańcucha. Jednych powaliła choroba, drugich zjadła tęsknota, zabiły śniegi i mrozy, śmierć zmiotła,—inni wreszcie wracali do domu, i ginęły o nich posłuchy. Pozostali coraz silniéj zaciskali coraz mniejsze swoje koło...

Z kraju przychodziły wieści rzadkie, krótkie. Brzmiały one bardzo smutno. Burza nie oszczędziła nikogo. Zgniotła ona stare gniazdo rodowe, a młodą jego panią z dwojgiem dzieci zaniosła aż na bruk miejski. Wspomnienia i tęsknota zamęczyły tam prędko wykołysaną marzeniem, przywykłą do szczęścia kobiétę, — niedostatek zabił małego synka, a starszą dziewczynkę dalecy krewni w opiekę wzięli. Od niéj to czasami przychodziły listy aż tam na stepy, listy rzewne, tęskne, przepełnione tą samą miłością, która paliła się w sercu jéj ojca....

Aż wreszcie nadeszła chwila, w któréj wszyscy się z powrotem wybrali. Ojciec napisał do córki, że przyjeżdża. Z początku odbywali podróż we czterech, ale na granicy rozprysnęli się na cztery kraju końce i każdy już jechał osobno.

Gdy stary ojciec do Warszawy przybył, twarz miał zamyśloną, smutną bardzo. Coś mu ta chwila powrotu, tak gorąco upragniona, inaczéj wypadła niż marzył. Spotykał w drodze ludzi, wcale niepodobnych do tych, których tu niegdyś zostawił, — domy i chaty, ziemia i lasy wyglądały jakoś inaczéj. Zdało mu się, że i powietrze trochę inne było....

Gdy go ujrzała córka, z głośnym okrzykiem podbiegła ku niemu, na jego szyi zawisła, okryła mu ręce pocałunkami, płacząc i śmiejąc się razem. Dla niéj ten ojciec, przybywający zdaleka, był czémś świętém, wcieleniem jéj ideałów, uosobieniem siły i poświęcenia....

Dziewczynie też lekko życie nie szło. Niby ją krewni w opiekę wzięli, ale taka to i była krewniacza opieka. Ciężki był dach ten nad głową dziewczynie, gorzki chleb z łaski dawany. Jéj się to prędko sprzykrzyło, a że to była silna natura, którą urobiła twarda szkoła sieroctwa, że miała zawsze przed sobą cel jeden, aby ojciec zastał ją godną siebie i za powrotem pochwalił, zamiast opuścić

ręce, dała sobie radę. Dwunastoletniém dzieckiem była, gdy zaczęła dawać korepetycye dwóm małym dziewczynkom z tego samego gimnazyum, gdzie sama pobierała naukę, — przeniosła się do ich domu, opuszczając niegościnne progi krewniaków, którzy wielkim głosem uderzyli na jéj niewdzięczność.

I od téj pory szła już o własnych siłach. Życie jéj całe upływało w obrębie gimnazyum; rano uczyła się sama, po obiedzie uczyła innych, nie wyglądając na świat Boży, nie szukając innego życia, spokojna, dumna, że może sobie wystarczyć.

Całą miłość, całą poezyą, wszystkie porywy do ideału młodego a silnego ducha zlała na tego oddalonego, ukochanego ojca, od którego parę razy do roku odbierała listy przesiąkłe łzami, tęsknotą bezbrzeżną i dziwnie przejmującą rzewnością. Kochała go sierota, całą siłą nierozdrobnionego niczém uczucia, całą duszą, myślą każdą.

Właśnie gdy on miał przyjeżdżać, ona złożyła chlubnie egzamin nauczycielski i otrzymała miejsce w tém samém gimnazyum, w którém kończyła nauki. Teraz marzyła tylko o powrocie ojca, o tém, jak oni sobie życie wspólne ułożą, jak ona tego swego ukochanego otoczy wygodą, jak im będzie dobrze razem.

To téż gdy wrócił, ona go powiozła do przygotowanego mieszkania, wprawdzie na oddalonéj ulicy, aż na trzeciém piętrze, ale ciepłego i widnego. Stały w niém sprzęty proste, lecz dość wygodne,—niczego nie brakło, co do życia codziennego było potrzebném. Kącik to był zaciszny a ciepły, a jednak wędrowiec zdaleka przybyły nie rozchmurzył zmarszczonego czoła, nie rozjaśnił twarzy posępnéj. Owszem, z dniem każdym przygniatało go cięższéj smutku brzemię.

Bo tam, na dnie jego duszy wznosiła się mogiła wysoka, ogromna, pod którą leżały pogrzebane jego nadzieje, pragnienia, to wszystko, czemu on życie poświęcił. Leżały tam pogrzebane, bez nadziei zmartwychwstania, bo stary wędrowiec zwątpił i to zwątpienie czarnym kirem pokryło dla niego świat cały.

Zwątpił. Inaczéj być nie mogło. On zobaczył odrazu, że ludzie, do których mu było tak pilno, to nie ci sami, których on tu przed laty zostawił. On z sercem stęsknioném rwał się do nich, a gdy przyszedł do swoich, swoi go nie przyjęli, i wzruszając ramionami, patrzyli na ten zabytek dawno minionéj epoki, którą oni znali głównie ze skutków, co boleśnie odbiły się na ich życiu całém....

On ich nie rozumiał i oni nawzajem jego nie mogli zrozumieć. Życie całego społeczeństwa rozpadło się na dwie połowy—on został po jednéj stronie głębokiéj rozpadliny, oni po drugiéj wyrośli — i rozdzieliła ich przepaść, po któréj mostu rzucić nie było podobna.

Wędrowiec zapomniał, że lata płyną jak woda, że co minęło, nie wraca, że jeśli coś może zostać niezmienném, to tylko w krainie lodów, gdzie nie dochodzi żaden podmuch życia, żadna wieść ze świata, tak, że można w sobie zatracić świadomość czasu i saméj rzeczywistości. Zapomniał, że na świecie ciągle kiełkują myśli nowe, a stare butwieją i na skład idą; że pokolenie każde wykształca się według otaczających je warunków i nigdy, przenigdy nie bywa podobném do tego, co je poprzedziło.

Wędrowiec o tém zapomniał, może nawet nie myślał nigdy. On stracił cel życia całego, które dziś już nie miało w jego oczach żadnéj wartości. Cóż go obchodził świat cały, gdy widział przed sobą ogromną mogiłę, któréj cień posępny zasłaniał mu wszystkie przedmioty?

Daremnie córka wysilała się na sprowadzenie uśmiechu na tę zaciśnięte usta — nie udało jéj się to nigdy. Starzec jéj usiłowania przyjmował surowo, w jego oczach była to płochość — w nieszczęściu śmiać się nie wolno....

To téż powoli, stopniowo i dziewczyna się oduczyła od śmiechu. Cień tego ponurego smutku, téj ciężkiéj zadumy padł na nią i coraz więcéj zaczęła się odsuwać od świata i ludzi, zamykając się w rozmyślaniach o przeszłości. Łatwo jéj to przyszło. Choć młoda, nie była wcale ładna, to téż nikt się do niéj nie garnął natrętnie, a chłód, którym się owinęła, odstręczał tych, co zbliżać się mieli ochotę. Po za obowiązkowém zajęciem w klasach nie miała żadnego zetknięcia z ludźmi. Gorączkowo żyją w mieście,—jeśli ktoś sam nie zasiądzie do zastawionego stołu życia, inni nie mają czasu zapraszać go i myśléć o nim. Każdy ma dosyć z sobą kłopotu.

To téż nikt nie zakłócał spokoju tych dwojga ludzi, co powoli zatracali w sobie świadomość życia rzeczywistego. Płynęły dnie i tygodnie, płynęły miesiące i lata, oni coraz mocniéj byli z sobą spojeni, coraz więcéj odsuwali się od ludzi. Twarz dziewczyny straciła barwę świeżości, zwiędła trochę, oni nie widzieli tego, ich to nie obchodziło wcale. W nieszczęściu nie myśli się o sobie, bo jednostka, to pyłek wobec społeczeństwa całego. Ojciec osobiste uczucia stopił w jedném, ogólném, a miękka, wrażliwa natura córki urobiła się na obraz i podobieństwo ojca....

Materyalna troska nie miała do nich przystępu. Praca dziewczyny zaspokajała ich potrzeby, choroba nie zaglądała do domu. Z téj strony byli zupełnie spokojni. Dziewczyna spełniała sumiennie swoje obowiązki, a następnie wracała co prędzéj do domu, gdzie z utęsknieniem czekał na nią ojciec, siedząc w fotelu, z oczami nieruchomo w jeden punkt wpatrzonemi, któremi w koło siebie

nic nie widział, bo patrzał tylko w przeszłość. Ona całowała jego ręce i siadała naprzeciw niego, a on zaczynał opowiadać jakieś zdarzenie ze swoich dawnych wędrówek, albo też dawał jéj książkę, gdzieś z ukrycia wyjętą i kazał czytać głośno.

Zdawało się, że tych dwoje tak nic nie pragnie od świata, od życia i ludzi, że chyba trudno zakłócić ich spokój, że tak już zostaną nazawsze. Aż raz, pewnego wieczora dziewczyna przyszła do domu z czerwonemi plamami na twarzy bladéj, z oczami płonącemi oburzeniem, błyszczącemi gorzką łzą żalu. Tego samego ranka, bez żadnego przygotowania, oznajmiono jéj, że traci miejsce, na którém pracowała od lat tylu. Nie było żadnéj winy z jéj strony, wszyscy byli z niéj zadowoleni, ale cóż robić—takie wyszło rozporządzenie. Nie ona jedna—tyle ich odrazu, za jednym zamachem potraciło miejsca...

Dziewczyna chwyciła się obiema rękami za głowę z rozpaczą niemal. Ona czuła się tak obcą na świecie, że gdy ją wytrącono z kolei, po któréj od dzieciństwa stąpała, nie wiedziała, gdzie się obrócić, w którą udać się stronę. A przecież musiała obmyślćć dach i schronienie dla tego znękanego starca, co stérał siły tam daleko, daleko...

Tego wieczora starzec nie wywoływał obrazów z przeszłości, dziewczyna nie czytała głośno żadnéj książki. Ona chodziła po pokoju z płomienistemi wypiekami na zwiędłéj twarzy, czasami o ramie ojca opierając głowę, która ją bardzo bolała—a starzec wodził za nią oczami, w których malowała się rozpacz. Wszak on to dziecko swoje jedyne kochał każdą fibrą, co jeszcze w nim żyła dotąd... Jego opanowała wściekłość straszna, tém straszniejsza, że bezsilna zupełnie. Bo i cóż on mógł zrobić? wolno mu było pokrwawić swoje ręce zaciskając z całéj siły pięście, wolno mu było bić o mur głową, póki mu sił i czucia starczyło—więcéj nic, nic zupełnie. Alboż jest jaki ratunek, gdy powódź zalewa i topi wszystko, co na jéj drodze się znajdzie?

Przez tydzień cały dziewczyna całemi dniami biegała po mieście szukając pracy, chodziła od kantoru do kantoru, przedstawiała się w kilkunastu miejscach, a wieczorem wróciwszy do domu, obiema rękami cisnęła coraz mocniéj bolącą głowę. Przez tydzień cały ani razu nie czytała głośno, ani razu ojciec nie opowiadał tego, co dawniéj się działo. Milczeli oboje, jakby się bali tych słów, co z ich ust wyjść miały...

Aż wreszcie ósmego dnia dziewczyna powróciła wcześniéj do domu. Udało się jéj znaleźć szukaną pracę, mogła spokojnie w przyszłość spojrzéć. Ojciec swobodnie odetchnął—więc znów rozpocz-

nie się ich życie spokojne, poważne, uroczyste, do którego nie miała przystępu żadna myśl płocha, żadna lekkomyślna zachcianka.

Z westchnieniem ulgi przyniósł swoję ulubioną książkę, otworzył na założonéj stronnicy. Dziewczyna ją wzięła do ręki, ale daremnie próbowała czytać. Litery jéj przed oczami skakały, niby drobne wężyki, głowa bolała bardzo, myśli plątały się. Ojciec jéj książkę odebrał i zaczął coś opowiadać, patrząc z głęboką miłością, ze czcią nieledwie na tę dziewczynę, co bez słowa skargi czy żalu zostawiła za sobą młodość swoję, wyrzekając się wszystkiego, co życie dać może...

Ona słuchała słów ojca, i niby ilustracya do nich, przesuwały się przed jéj oczami płomienne obrazy, mary ogniste. Myśli wirowały pod czaszką, pragnienie paliło usta, z których zaczynały wyrywać się bezładne wyrazy.

Położyła się i już nie wstała...

Stary, samotny wędrowiec wracał z pogrzebu jedynaczki. Obok wielkiéj, ogromnéj mogiły, któréj cień padł na niego i na to życie młode, co już zagasło, wzniosła się druga mogiłka, maleńka, drobna, pod którą leżało to wszystko, co u starca jeszcze żywem zostało. Nie pękła nitka serdeczna, co ojca z córką łączyła—ale koniec jéj jeden został pod małą mogiłką i ciągnął tam starca siłą nieprzepartą.

Został sam. Dawniéj, dawno już, pogrzebał wielką ideę, którą duszą całą ukochał, któréj życie całe poświęcił. Dziś, pod ziemią leżało to, co było jasnym promieniem jego starości. Nie miał już nikogo—i nic.

I po zmęczonéj głowie jego zaczęły się snuć myśli i obrazy różne. Zimno mu było. Nic dziwnego,—wszak przed nim, jak oko sięgnie, step biały, bezbrzeżny, gładki, w jedną całość z niebem złączony. W oddali coś huczy jak burza, i dzwonek dzwoni i wiatr jęczy posępnie, i słychać jak śnieg cicho szeleści, spadając z nieba na ziemię. W oddali słychać łoskot—niby lodu pękającego, szum—niby fali co płynie. Dzwonek słychać coraz donośniéj, a wiatr coraz smutniéj jęczy.

Pić się chce. Ale ręce zlodowaciały i odmawiają posłuszeństwa. Przecie w koło śniegu tyle—dość ręką zaczerpnąć, do ust ją ponieść, aby ugasić ten ogień, co trawi wnętrzności. Ale ręką ruszyć niepodobna. Senność nieprzezwyciężona ogarnia wędrowca, skleja jego oczy zmęczone, przed któremi jeszcze migają białe śniegu płatki. Ta senność, to śmierć. Kto zaśnie na stepie bezbrzeżnym, tego odrazu biały całun przykryje, i nie jemu już się budzić do życia. Starzec ostatnich sił dobywa, aby o pomoc zawołać. Straszno

tak ginąć samemu. Może usłyszą towarzysze, wszak oni niedaleko. Ha—usłyszeli—starzec czuje na twarzy jakieś tchnienie gorące...

To psina biedna wskoczyła mu na kolana i liże po twarzy, patrząc na niego błyszczącemi z głodu oczami.

Nikt nie słyszy cichego głosu, bo w pokoju tylko ta psina biedna skomli żałośnie, tylko wiatr przez drzwi niezamknięte płomieniem lampy porusza.

Pić się chce. Żeby to kroplę wody—jedną choć kroplę. Ha—szum jéj słychać, niby rzeki wartko płynącéj. Niema nikogo. Towarzysze opuścili, czy może sami pomarli, i ona poszła, i mogiła ogromna się piętrzy. Opuścili wszyscy i wszystko.

A tymczasem śnieg coraz gęściéj i gęściéj pada, zimnym całunem oddech tamuje, senność coraz mocniéj oczy klei, ta senność śmiertelna, co nie pozwala się dźwignąć do czynu, otrząsnąć, nawet gdy śmierć tuż, tuż nad głową...

Starzec ostatnim, nadludzkim wysiłkiem porwał się z krzesła—i runął bezwładny na ziemię, przewracając stolik z lampą, co potrzaskała się na kawałki...

• • •

Gdy doktór, co leczył dziewczynę, na drugi dzień rano przyszedł odwiédzić jéj ojca, zastał drzwi od mieszkania otwarte. W drugim pokoju leżał siwy starzec zimny, nieżywy, już stężały; obok niego mała psina, przywalona stolikiem, który znać ją zabił na miejscu.

Julian Morosz.

USAMOWOLNIENIE IRLANDYI.

IV.

Gdy w styczniu zeszłego roku p. Gladstone objął na nowo ster rządu, nie istniała najmniejsza wątpliwość co do idei i zasad, które jego polityce względem Irlandyi przewodniczyć miały. Z jednéj strony, dość było sobie przypomnieć całą jego przeszłość: w r. 1868 *disestablishment* kościoła anglikańskiego i ostateczne wyswobodzenie katolicyzmu, w roku 1870 pierwsze próby rozwiązania kwestyi włościańsko-gruntowéj wśród opinii całkiem do tego nieprzygotowanéj, i w 1881 jego *Land Bill*, mający na celu wytworzenie drobnéj własności. O téj ostatniéj stronie jego działalności znajdą czytelnicy szczegóły niżéj, gdy im przedstawimy kwestyą gruntową w jéj organicznéj całości.

Z drugiéj strony, otrzymawszy ster rządu dzięki głosom 86-ciu członków irlandzkich parlamentu, pierwszy minister zapisał na swoim sztandarze urzeczywistnienie ich narodowego programatu. Nadzwyczajna popularność wielkiego męża stanu, tego *Grand old Man*, jak go serdecznie lud trzech królestw nazywa, wspomnienie wielkich reform liberalnych, których był dokonał, ten duch właściwy mu religijno-apostolski, poszanowanie dla korony, dla staro-tradycyonalnych instytucyi krajowych, patryotyzm niepodejrzanéj czystości, wymowa przekonywająca, któréj oprzéć się trudno, doświadczenie parlamentarne i taktyka umiejętna, nie pogardzająca żadnymi użytecznymi środkami: oto czynniki, które Gladstone przynosił z sobą i rzucił na szalę losów irlandzkich.

Nowość położenia na tém polegała, że nie uląkł się odpowiedzialności, że pogardził półśrodkami, mizerną łataniną i że mając przed sobą jasno postawiony cel, nie przestraszył się żadnemi na-

stępstwami swego radykalnego programatu. Wrażenie, jakie wywołało to śmiałe przerzucenie się sędziwego męża stanu do krańcowego stronnictwa, wrażenie to było potężne, zdumiewające, i jeżeli z jednéj strony niezadowolenie dworu, zjadliwe przekąsy arystokracyi, pociski namiętne prasy zachowawczéj, to z drugiéj towarzyszyło mu gorące, namiętne poparcie klas ludowych i całego stronnictwa postępowego. Przeciwnicy i stronnicy czuli, że Wielka Brytania znajduje się na rozdrożu i że stanowcza godzina decyzyi wybiła, która jéj w tę lub inną stronę iść nakaże.

Trzy miesiące z górą upłynęło od utworzenia gabinetu a przedłożenia parlamentowi bilów irlandzkich. Uwaga całéj Europy, gorączkowe drganie pulsu narodowego zaznaczało tę epokę wyczekiwania. Wiedziano już, że dla przeprowadzenia systematycznego i logicznego swojego planu, Gladstone nie zatrzymał się przed zerwaniem związków z głowami swego własnego stronnictwa. Z kolei odstąpił go i p. Goschen, ekonomista i finansowa powaga pierwszéj klasy i p. Travelyan, wytrawny polityk niezaprzeczonego liberalizmu i margrabia Hartington, przedstawiciel potężnego książęcego domu Devonshire, szef arystokracyi liberalnéj i dawniejszy przywódzca partyi wigów, i nakoniec nawet p. Józef Chamberlain, słynny z demokratycznych aspiracyi przywódzca radykalnego stronnictwa w parlamencie. Odstępstwa te, dopełnione wśród ironicznych wykrzyków stronnictwa zachowawczego, z góry już udowodniały, że programat p. Gladstone'a musi być przestraszający. Coraz bardziéj stawał on osamotniony, a wzburzony fanatyzm przeciwników nie przestawał porównywać tego 76-letniego starca do szatana, co z mefistofelesowską przewrotnością urągał téj opinii i sumieniu narodowemu i pchał ojczyznę w bezdenną przepaść. Ani bil reformy lorda Johna Russela, ani bil zbożowy sir Roberta Peela, ani żadna z dawniejszych reform Gladstone'a nie wywołała takiego naprężenia narodowego ducha: dwa wrogie stronnictwa stały przeciwko sobie, z góry przygotowane do walki zażartéj, nieprzejednanéj.

W dniu 8 kwietnia r. z. Gladstone blady ze wzruszenia, jak róża biała, którą miał zatkniętą w dziurce swego tużurka, ale głosem jasnym i donośnym wyłuszczył w trzechgodzinnéj mowie swój plan samorządu irlandzkiego w izbie gmin, rozciekawionéj ale coraz bardziéj osłupiałéj, oniemiałéj z podziwu i oburzenia, gdy usłyszała nareszcie do jakich herezyi wzywa ją prezes gabinetu. Pod względem czysto oratorskim mowa Gladstone'a zajmie jedno z pierwszych miejsc w rocznikach parlamentarnych; bil o samorządzie irlandzkim, do którego służyła jako propylee, słusznie otrzymał nazwę *Magny Charty* dla Irlandyi.

Dąży on do całkowitego usamowolnienia téj części korony brytańskiéj. Nie tylko, że rozrywa p. Gladstone i niszczy całkowicie akt unii, narzucony w początku stulecia, nie tylko że daje Irlandyi swój własny parlament złożony z dwóch izb, izby gmin, do któréj wejść mają obok 103 obecnych posłów irlandzkich, 101 innych wybranych przez to samo ciało wyborcze, i izby panów złożonéj z 28 obecnych dożywotnich lordów irlandzkich i z 75 wybranych specyalnie, nie tylko że czyni ten parlament dubliński samodzielnym, uposażonym w pełną władzę prawodawczą i wykonawczą, ale jednocześnie deputowani i lordowie irlandzcy przestają zasiadać w parlamencie Westminsterskim i nie mają już brać udziału w sprawach, dotyczących wyłącznie Anglii, Walii i Szkocyi.

Związek Irlandyi z Wielką Brytanią nie został jednak zerwany w tym projekcie, i jako biegły i genialny finansista, p. Gladstone wypracował aż do najdrobniejszych szczegółów materyalną zależność Irlandyi. Miała się ona przykładać w $^1/_{15}$ części do wydatków monarchii na armią, marynarkę i dyplomacyą. Chociaż Irlandya posiadać ma wszelką władzę w kwestyi podatkowéj, to rząd Wielkiéj Brytanii zastrzega dla siebie jako rękojmię wspólnych wydatków, dochody celne i dochody z akcyzy i pobierając je, opędzać będzie wspólne wydatki, resztę pozostałą przelewając do skarbu irlandzkiego. Finansowa niezależność Irlandyi nie przynosi tedy żadnego uszczerbku bezpieczeństwu monarchii i podstawom dochodów publicznych.

Rozprawy, jakie się toczyły w parlamencie angielskim z powodu bilu Gladstone'a, usamowalniającego Irlandyą, są zbyt świeżéj daty, ażeby nie brzmiały jeszcze w pamięci czytelników. Wszyscy muszą jeszcze mieć w uszach okrzyk bezgranicznego zapału, jaki się rozległ od jednego krańca Irlandyi do drugiego. W imieniu jéj Parnell uroczyście przyjął propozycye rządu, wyraził swe całkowite zadowolenie co do ich zasad i jedynie co do podrzędnych szczegółów zapowiedział poprawki. Po raz pierwszy mąż stanu, przemawiający w imieniu Wielkiéj Brytanii, z wysokości swego urzędowego stanowiska przedstawił plan i programat, który Irlandya okazała się gotową przyjąć bez zastrzeżeń, ze szczerą chęcią znalezienia w nim trwałego *modus vivendi*. Ten parlament krajowy, który po 500-letniém istnieniu i po blisko stuletniém zaćmieniu znowu się miał pojawić jako najwyższy organ prawa i bytu narodowego, był w oczach Irlandyi najwyższém dobrem, i aby go otrzymać, zgodziłaby się na wszystkie straty materyalne. Gdy p. Gladstone wykazał, że Anglia w ciągu kilkuwiekowéj walki używała względem Irlandyi wszelkiéj możliwéj broni i wszelkiéj możliwéj taktyki, z wy-

jątkiem jednéj jedynéj, a mianowicie sprawiedliwości i słuszności; gdy przypomniał jednozgodne potępienie, wypowiedziane przez wszystkich pisarzy i polityków wszystkich czasów i wszystkich narodowości i piętnujące hańbą politykę Anglii względem Irlandyi; gdy wykazał ujemne rezultaty, jakie te dotychczasowa polityka przyniosła, zmniejszenie ludności z 8 do 5 milionów, przerażającą emigracyą, ohydny bilans mordów i występków; gdy dowiódł nakoniec, że to usamowolnienie prawodawcze nie zrywa bynajmniéj unii i związku brytańskiego i że mamy w sąsiedniéj Norwegii i Szwecyi, a w ostatniéj ćwierci wieku w dualizmie austryacko-węgierskim wymowne i przekonywające przykłady samodzielności krajowéj, dającéj się pogodzić z całością i z jednością organiczną monarchii: gdy argumenta téj siły i téj doniosłości przedstawiane były parlamentowi i torowały sobie drogę wśród opinii krajowéj,—można było przypuszczać, że mimo zaciętéj opozycyi kampania Gladstone'a pożądanym zostanie uwieńczona skutkiem.

Ale reforma przedłożona parlamentowi była zbyt radykalną i naruszała zbyt liczne i zbyt potężne interesy materyalne i moralne, ażeby mogła odrazu osiągnąć to zwycięstwo. W pierwszym szeregu napotykała dumę angielską, która przywykła traktować irlandzkiego Paddy jako wyrzutka społecznego, jako przedstawiciela rasy podrzędnéj, brudnéj, biednéj, pozbawionéj zmysłu *cantu* i *respectability*, dowcipkującéj i na wskroś niemoralnéj: było coś ubliżającego majestatowi *civis britanicus* traktować Irlandczyków naraz, jako równych sobie i swobodnych obywateli. Była daléj cała bezwładna masa polityków żyjących z dnia na dzień, która nie umiała wznieść się do syntetycznego poglądu na całość kwestyi, którą przerażała nowość i ogrom przedsięwzięcia, która w usamowolnieniu Irlandyi widziała jedynie pierwszy krok do jéj rewolucyjnego zerwania węzłów państwowych. Było całe udyscyplinowane, silnie do boju uorganizowane stronnictwo torysów, które z góry oponuje każdéj reformie, przedsięwziętéj przez swoich współzawodników; stronnictwo to zostało poparte i zyskało nowe żywioły, nową krew w żyłach przez odstępstwa pierwszorzędnych osobistości z liberalnego obozu, które nie miały odwagi logicznie i konsekwentnie pójść wraz z Gladstone'm do ostatnich ogniw łańcucha.

Wszystkie te skojarzone żywioły znalazły wspólny grunt i wspólny sztandar do walki z projektami ministeryalnemi. Ogłosiły je jako niebezpieczne dla jedności państwowéj. P. Chamberlain, ów przywódca radykalizmu angielskiego, pierwszy przypiął tę kokardę bykowi w arenie cyrkowéj; w ślad za nim powtarzano ten argument przez długie miesiące. Łatwy do zrozumienia przez masy, co się

rządzą nie rozumem, ale uczuciami, stał się zatrutym grotem, utkwionym w samém sercu projektów rządowych. Przedstawiano utworzenie parlamentu w Dublinie, jako zerwanie jedności prawodawczéj, a nieobecność posłów irlandzkich w parlamencie Westminsterskim, jako wydalenie ich z organizmu Wielkiéj Brytanii, i podczas kiedy Gladstone utrzymywał, że prawdziwa jedność opiera się na sympatyi, wzajemnym szacunku i solidarności interesów, że do téj jedności jeden tylko wiedzie gościniec — swobody i prawa, przeciwnicy jego oskarżali go o zamach na całość i potęgę Wielkiéj Brytanii, widzieli w nim narzędzie bezwiedne rewolucyjnych celów i ukazywali przerażonemu krajowi nieustanne zatargi, bunty i wojnę domową, paraliżującą wszystkie siły narodowe. Było widoczną, dotykalną przesadą, fałszowaniem projektów Gladstone'a przedstawiać jako rozrywający jedność monarchii systemat polityczny, który zatrzymywał Wielką Brytanią i Irlandyą pod zwierzchnią władzą wspólnéj korony, który zachowywał jednę armią, jednę flotę, jeden sztandar narodowy, jednę politykę zagraniczną, jeden system monetarny, jedne cła, jedne ustawy w handlu, żegludze, patentach, jeden niezmienny organizm praw zasadniczych. Ale mimo tego argument przeciwny, przedstawiony w tysiącznych formach i postaciach powoli torował sobie drogę wśród mas narodowych i jeżeli klasa robotnicza i wyrobnicza, świeżo powołana przez Gladstone'a do udziału w sprawach publicznych stawała goręco po jego stronie, sądząc uczuciem, powodując się uczuciem wrodzoném słuszności i nie wdając się w kazuistykę prawną, to za to mieszczaństwo, klasy średnie, które są w Anglii na wskróś zachowawcze i obracają się mimowiednie w promieniu zakreślonym im przez arystokratyczne warstwy towarzystwa, przedmiot ich czci i hołdu, cała ta inteligencya krajowa, która nie oswoiła się jeszcze z planami Gladstone'a, która niespodzianie postawiona była przed problematem zawikłanym, niby nad bezdenną przepaścią, cała ta masa stanowiąca rdzeń i jądro narodu angielskiego była wahającą się, niepewną, wykolejoną, i widocznie wzdragała się wykonać to *salto mortale*, do którego Gladstone je wzywał.

Pomiędzy pierwszém odczytaniem bilu, które jest podług parlamentarnéj tradycyi tylko czystą formalnością, a drugiém, które jest stanowczém, Gladstone przedłożył izbie gmin drugi bil irlandzki o uwłaszczeniu włościan. Bil ten, dokonywający olbrzymiéj reformy ekonomicznéj i społecznéj, był w oczach angielskiego męża stanu dopełnieniem politycznéj i administracyjnéj reformy, sformułowanéj przedtém, i dlatego stanowiły obie jednę organiczną całość, dlatego chciał przeprowadzić obie jednocześnie lub runąć pod ich gruzami.

Będziemy mieli sposobność przypatrzéć się bliżéj projektowi Gladstone'a, tyczącemu się uwłaszczenia i kwestyi gruntowéj. W kraju naszym, gdzie sprawa ta tak długo stała na porządku dziennym i gdzie wszystkie jéj przejściowe fazy mamy w żywéj pamięci, zasada wykupienia gruntów włościańskich przez rząd, stopniowe umorzenie długu, etc. wszystko to są oklepanki, które nie dziwią nikogo, które są rzeczą naturalną, jasną, praktyczną, jedynie możliwą. Inaczéj jednak rzecz ta miała się w Anglii, gdzie cała ziemia znajduje się w rękach arystokracyi, gdzie operacya wykupu i uwłaszczenia znalazła społeczeństwo nieprzygotowane do niéj, nieoswojone, i gdzie rozmaite krzyżujące się interesa spotkały się z sobą szorstko, gwałtownie. Arystokracya gruntowa nie mogła się oswoić z myślą, że przestanie być władczynią gruntów, które wydzierżawiała dotąd, gdy jéj się to podobało i na warunkach, które się jéj stawiać podobało; arystokracya gruntowa angielska nie mogła sobie zataić, że i ją ten sam los spotkać nie omieszka. Tracąc posiadanie i własność ziemi, pozbywała się najważniejszéj podstawy swéj społecznéj hegemonii i wpływ jéj stanowczy na klasy niższe narodu wymykał się od razu z jéj ręki. Z drugiéj strony, radykalizm głośno zaprzeczał prawa arystokracyi gruntowéj do jakiejkolwiek indemnizacyi i twierdził, że nie jest bynajmniéj obowiązkiem innych warstw społeczeństwa zbogacić ją olbrzymim kapitałem likwidacyjnym. Inne nakoniec stronnictwo finansistów praktycznych stawało przerażone przed ogromem milionów, których ta operacya wymagała, widziało w niéj materyalną ruinę Wielkiéj Brytanii, wskazywało na złą wolę Irlandyi, na jéj ubóstwo i przewidywało, że Anglii przyjdzie z własnéj szkatuły zapłacić te setki milionów indemnizacyjnych.

Bill Gladstone'a o wykupie gruntów wywołał prawdziwą burzę, namiętną opozycyą, a nawet najżarliwsi stronnicy gabinetu zaskoczeni gradem pocisków i zarzutów, niedostatecznie wtajemniczeni w mechanizm téj operacyi, powierzchownie tylko przekonani o jego praktyczności, bronili go niedość energicznie i bez zapału. Napróżno biegły sternik, zaskoczony burzą, starał się łódź swoję na spokojniejsze wprowadzić wody, napróżno zapowiadał ustępstwa i żądał jedynie przyjęcia i uświęcenia zasady, nie był już w stanie zapanować nad rozjuszonemi żywiołami. Widocznem było, że bil gruntowy nie będzie mógł przejść przez mieliznę parlamentarną i że ważna ta reforma do dalszych jeszcze czasów odłożoną zostanie.

Nie było jednak potrzeby poddawać go téj ogniowéj próbie. Gdy izba gmin zawezwaną została do wydania sądu o politycznym bilu irlandzkim, i gdy w nocy z 7 na 8 maja r. z. przystąpiła w zwar-

tych szeregach do głosowania,—za projektami rządowymi stanęło 311, przeciwko nim 341 głosów. Większością 30 głosów cała kwestya usamowolnienia Irlandyi została odrzuconą i potępioną.

Była to chwila wysokiéj doniosłości historycznéj i wśród złowieszczego krzyku zrozpaczonych Irlandczyków, co spadali z podniebnych wyżyn edenu do piekielnych czeluści, wśród namiętnego wrzasku tryumfu wydanego przez stronnictwo zachowawcze, wśród osłupienia odstępców liberalnego obozu, którzy przesilenie to wywołali, wśród tego chaotycznego zgiełku, co jest następstwem wielkich parlamentarnych potyczek, wszystkie spojrzenia zwracały się do męża stanu, do szermierza, co tę walkę wywołał i w któréj zawiodła go liczebna siła hufców, i pytały go o plan dnia następnego.

Bez chwili wahania, silnie przeświadczony o prawdzie i słuszności sprawy, któréj się stał orędownikiem, ożywiony nadzieją, że kraj w swéj większości stoi po jego stronie i że nie zawiedzie jego oczekiwań, Gladstone rozwiązał parlament i od jego przedstawicieli odwołał się do samego narodu. Nowe wybory odbyły się po krótkiéj ale pełnéj życia kampanii wyborczéj. Sam Gladstone wytężył w niéj wszystkie siły i w tryumfalnym pochodzie przez Anglią i Szkocyą, w mowach bez liku, wypowiadanych w wielkich salach meetingów, na balkonach hotelów, w drzwiach wagonów drogi żelaznéj, w dzień i w nocy, przemawiał on do rozumu, odwoływał się do sumienia mas. Nigdy sprawa święta nie miała bardziéj natchnionego apostoła. Bile zginęły w wotum parlamentu, powtarzać nie przestawał, ale kwestya żyje i w téj lub owéj formie rozwiązaną być musi. Manifest wyborczy Gladstone'a, który postawił przed krajem nieodwołalny dylemat albo rządzenie Irlandyą przez prawa wyjątkowe, przez gwałt i stan normalny oblężenia, albo téż usamowolnienie jéj, manifest, w którym dla swego stronnictwa windykował charakter prawdziwych Unionistów a przeciwników swoich piętnował nazwą Unionistów tylko na papierze, nie zostawiał żadnéj wątpliwości, żadnego innego wyjścia, jak oświadczyć się otwarcie za emancypacyą Irlandyi, albo przeciw takowéj. Opozycya przeciwko polityce liberalnéj Gladstone'a przybrała w czasie okresu wyborczego charakter prawdziwéj krucyaty. Szło o zwalczenie szatana, o wyrwanie Wielkiéj Brytanii ze szpon chciwego władzy, a zdziecinniałego starca. Liga pierwiosnku, utworzona dla uczczenia pamięci lorda Beaconsfielda, w któréj agitacyi wszystkie klasy społeczeństwa pod przewodnictwem dam z arystokratycznego towarzystwa brały niestrudzony udział, podnosiła i fanatyzowała starą, tradycyonalną Anglią; jako typowy rys charakteru tych wyborów pozostanie w parlamentarnych dziejach Wielkiéj Brytanii odezwa lorda

Randolpha Churchilla do swoich wyborców w Paddingtonie: jest to ostatnie słowo bezczelności i roznamiętnienia. Gdy się stronnictwo polityczne do takich środków walki ucieka, jedyne usprawiedliwienie daje im faktyczne zwycięstwo: wobec tryumfu—te ohydne środki, jakimi okupiony został, schodzą na plan podrzędny.

A tryumf tu otrzymało istotnie stronnictwo zachowawcze. Chociaż liczebnie polityka emancypacyjna Gladstona zyskała 1.338.716 głosów a polityka represyi i praw wyjątkowych 1.416.472, to przez rozdział i układ okręgów wyborczych stronnictwo liberalne whigów znalazło się w mniejszości blisko stu głosów. Wprawdzie odstępcy liberalni, jak Travelyan i Goschen, zostali odrzuceni przez wyborców, ale lord Hartington, Chamberlain i sześćdziesięciu pseudo-liberalnych deputowanych podało rękę przywódzcom stronnictwa zachowawczego, i Gladstone pośpieszył oddać w ich ręce ster rządu.

Nie można zaprzeczyć, że z chwilą gdy lord Salisbury i stronnictwo torysów przyszło do władzy i gdy nie kto inny jak lord Randolph Churchill jest przedstawicielem rządu w izbie gmin, nie można zaprzeczyć, że sprawa irlandzka weszła w nową fazę i że się nowy jéj akt rozpoczął. Ale byłoby błędem przypuszczać, że kwestya usamowolnienia całkowicie pogrzebaną albo nawet na długo odroczoną została. Raz jasno sformułowana i w typowém swém przeciwieństwie przedstawiona krajowi, nie może już ona zostać usunięta z porządku dziennego. Wprawdzie wybory Wielkiéj Brytanii nie dały leaderowi stronnictwa liberalnego upoważnienia do przeprowadzenia tych dwóch radykalnych reform, które mu się niezbędnemi zdawały, ale nie wynika z tego wahania i tego wstrętu do polityki emancypacyjnéj, ażeby Anglia i Szkocya chciały się zaprządz do rydwanu gwałtu i ciemięstwa. Czasy tyranii minęły już bezpowrotnie i nie ma stronnictwa w swobodnéj Wielkiéj Brytanii, któreby poważyło się zapisać je na swoim sztandarze. Gabinet lorda Salisbury mniéj będzie oddalony od polityki Gladstone'a, aniżeli to w gwałtownéj polemice epoki wyborczéj przypuścić się dawało. Nie tylko, że nowy prezes gabinetu wyparł się tego niebacznego słowa, które mu się wymknęło jako przewodnikowi opozycyi, mianowicie, że po 20-letnim okresie represyi i praw wyjątkowych Irlandya będzie okiełznaną i z wdzięcznością przyjmie wszelkie choćby najdrobniejsze ustępstwa, nie tylko, że o tych prawach wyjątkowych mowy nie ma nazajutrz po tryumfalnym objęciu rządów, ale w nowo zebranym parlamencie oświadczyli ministrowie, że przygotowują dla Irlandyi cały szereg reform organicznych, a między innemi zamierzają oddać w ręce władz miejscowych i mieszkańców niektóre ważne gałęzie administracyi, jak np. roboty publiczne.

Chociaż niewiadomém jest jeszcze, jakiego zakresu będą te reformy, któremi lord Salisbury ma zamiar obdarzyć Irlandczyków, i chociaż trzeba będzie na nie czekać aż do wiosny, to nie ma już wątpliwości, że kwestya nie chodzi już, jak ongi, o samo zaprowadzenie reform, lecz tylko o ich rozmiar i doniosłość. Gdy przypomnimy sobie, że za dawniejszych swoich rządów ten sam lord Salisbury rozpoczął był rokowanie z Irlandczykami i ich dowódzcą Parnellem za pośrednictwem członka swego gabinetu lorda Carnarvona, a zatém że idea prawodawczego i administracyjnego usamowolnienia Irlandyi nawet jemu w danych okolicznościach nie wydawała się niepodobną, to nabierzemy przekonania, że sprawa ta jest o wiele dojrzalszą aniżeli się to na pierwszy rzut oka zdawać może. Duch stronniczy i parlamentarna huśtawka odebrały wprawdzie ster jéj Gladstone'owi; jest to zwłoką faktyczną i niesprawiedliwością moralną, ale normalny bieg wypadków nie wykolei się przeto. Słowa, jakie nieoceniony pomocnik Gladstone'a, minister Irlandzki w jego gabinecie, wielki mówca i najznakomitszy współczesny publicysta angielski, John Morley, wypowiedział w parlamencie: „jeżeli nie my sami, to wy wykonacie nasz programat", słowa te przestaną wkrótce być paradoksem, albo gołosłownęm proroctwem i przejdą w sferę czynu. Za nim wiek ten dobiegnie kresu, w kraju ś-go Patrycego zasiadać będzie parlament irlandzki i dwaj zwaśnieni bracia szczerze podadzą sobie dłonie do zgody.

V.

Rozwiedliśmy się szczegółowo nad dwoma czynnikami irlandzkiego problematu, nad kwestyą usamowolnienia religijnego i politycznego, i pochlebiamy sobie, że czytelnik może objąć je teraz syntetycznym poglądem. Ażeby jednak sprawę irlandzką całkowicie wyjaśnić, pozostaje nam jeszcze zbadać trzeci i ostatni jéj czynnik składowy: kwestyą gruntową. Ta ekonomiczno-społeczna kwestya ciąży na losach Irlandyi przeważnie i od jéj załatwienia zależy przyszłość téj krainy. Słusznie powiedziano po sto razy, że w niéj leży środek do ostatecznego uspokojenia Irlandyi i że kwestya samorządu politycznego okaże się drobiazgiem, gdy uprzednio sprawa gruntowa rozwiązaną będzie stosownie do potrzeb i wymagań Irlandczyków. Trudności są tém większe, że obok zadawnionéj niesprawiedliwości historycznéj, niesłusznie obarczającéj dzisiejsze pokolenia, znajdują się w grze powikłane, krzyżujące się interesy ekonomiczne.

Kwestya gruntowa zrodziła się w Irlandyi jeszcze za czasów Cromwella. Jak czytelnicy wiedzą, cztery prowincye irlandzkie Mun-

ster, Leinster, Ulster i Connaught zostały w roku 1659 wywłaszczone. Cromwell wypędził katolików z trzech pierwszych prowincyi i spędził ich do czwartéj, do Connaught, zostawiając jedynie jedną trzecią część ziemi w ich posiadaniu. Żołdactwo i faworyci otrzymali całą powierzchnię Irlandyi. Nigdy gwałt większy i bezprawie większe nie zostało popełnione, i wspomnienie téj „*transplantation*" będzie hańbą swoją ciążyło na sumieniu zwycięzców. Kilka tysięcy rodzin cudzoziemskich otrzymało monopol posiadania gruntu na własność, a cały naród, wszyscy mieszkańcy Irlandyi zostali skazani na wieckowe poddaństwo. W sto lat z górą po tym gwałtownym zaborze, w roku 1782, dozwolono wprawdzie katolikom Irlandzkim nabywać ziemię, ale jak wiemy, materyalne ich położenie było takie, że z upoważnienia tego w maluczkim zaledwie stosunku korzystać mogli. Pomimo wszystkich reform prawodawczych i ekonomicznych, które od ostatnich stu lat zaprowadzone zostały w Irlandyi, obecnie jeszcze stan rzeczy pozostał niezmienny w swych głównych zarysach: z jednéj strony wielkie posiadłości ziemskie ześrodkowane w ręku arystokracyi angielskiéj, z drugiéj czarna, nieprzejrzana masa czynszowników i proletaryatu rolniczego, Irlandczycy z krwi i ducha: dwa obozy nieprzyjazne sobie, nieufające sobie wzajemnie i gotowe uciec się do gwałtu, aby swą politykę przeprowadzić.

Irlandya obejmuje 20.047.572 akrów. Są one własnością 19.288 właścicieli ziemskich i roczny ich dochód obliczony być może od 11 do 13 milionów funtów szterlingów. Ta liczba właścicieli nie powinna swoją doniosłością wprowadzać w błąd czytelnika, gdyż połowa całéj przestrzeni znajduje się w ręku 742 właścicieli ziemskich, a zatém druga połowa, to jest 10 milionów akrów rozpada się na 18.000 mniejszych właścicieli. Na gruntach, należących do tych kilku set wielkich terytoryalnych posiadaczy, znajduje się 585.000 czynszowników czyli cztéry miliony mieszkańców. Przeciętnie wypada na każdego z wielkich właścicieli 788 czynszowników, a pomiędzy nimi jest 236.000 nieposiadających więcéj jak jeden do piętnastu akrów gruntu. Trzeba znać z bliska, trzeba się przypatrzéć własnemi oczami stosunkom materyalnym czynszownika irlandzkiego, posiadającego to minimum gruntu, ażeby zrozumiéć straszne, i wołające o pomstę położenie rolniczego proletaryatu irlandzkiego. Wszystkie teorye ekonomistów o wysokości zarobku, zależącego od minimum środków utrzymania, są tutaj pociesznym optymizmem, gdyż ludność wieśniacza irlandzka żyje chociaż warunków materyalnego istnienia nie posiada, i nie tylko żyje, ale się rozmnaża. Cud ten sprawiły ziemniaki. Przed ich wprowadzeniem było w Irlandyi, podług obliczeń Artura Younga, w r. 1776 zaledwie 3.000.000 mieszkańców; w 1845 roku

liczba ich wzrosła do 8.295.000. Gdy ziemniaki się urodzą, zagrodnik Irlandzki i jego świnia, z którą żyje na jednym i tym samym barłogu, nie skarżą się na niebo i na Anglików; ale gdy wygniją, albo gdy je przetrzebi zaraza, wtedy nędza proletaryatu rolniczego przybiera wymiary przerażające. Nieurodzaj ziemniaków jest tém do zrozumienia łatwiejszy, że rolnictwo drobne jest w Irlandyi w stanie niemowlęctwa. Alež im się nie marzy o płodozmianie, o sztucznych nawozach, o irygacyi; nawet ugór uważany jest za stratę natychmiastową; w niektórych prowincyach po dwanaście lat z rzędu po ziemniakach sądzą ziemniaki: wycieńczona ziemia odmawia plonu i lata najstraszniejszéj nędzy następują w peryodycznych odstępach. Wówczas, niedawno powiększona ludność Irlandyi znowu się zmniejsza. I tak w epoce pomiędzy r. 1851 a 1877 z 8.305.061 zeszła ona do 5.838.906. Nigdzie i nigdy równych podwyższeń i równych upadków spotkać nie można. Półtrzecia miliona wywędrowało za morza, szukając chleba, z którego ich w ojczyznie wyzuł najezdnik; reszta wymarła z głodu. W niektórych latach, jak np. w 1847 r.—734.000 osobników utrzymywanych było jałmużnami publicznemi. Około 100.000 Irlandczyków corocznie przybywa do Anglii szukać środków utrzymania. Brak wszelkiego przemysłu fabrycznego, z wyjątkiem lnianego, skazuje ludność ubogą do pracy rolnéj niewdzięcznéj i bezpłodnéj.

Podczas kiedy czynszownik irlandzki kołacze się z losem i pędząc życie mizerne, zwierzęce w chacie własnemi rękami z gliny ulepionéj, zaledwie zdobyć się może na opłacenie czynszu po 12 do 15 szylingów z akra gruntu, w sąsiedztwie jego, o miedzę ścielą się bujne i zielone łany, rozległe parki wielkich panów i wznoszą się wspaniałe ich zamki i pałace. Ta różnica w położeniu materyalném tém bardziéj jest kolcem w oku biednych rolników Irlandzkich że ten dziedzic, któremu czynsz płacić są obowiązani, jest Anglikiem, wiekowym wrogiem, zazwyczaj innéj religii, i że widzą w nim spadkobiercę łupiezcy: niema przedawnienia dla pokrzywdzonych rodów. Przebaczonoby mu może jednak ten grzech pierworodny, gdyby zamieszkiwał w swych dobrach, gdyby gospodarował sam, i zbliżył się w skutek tego, zapoznał ze swymi czynszownikami. Łatwo by mu było wtedy ocenić ich położenie, wejść w ich potrzeby, zachęcić do bardziéj postępowego gospodarstwa, ulżyć ich ciężarom w latach nieurodzaju, zawiązać węzeł moralny pomiędzy zamkiem a wieśniaczą strzechą. Ale z małym bardzo wyjątkiem, arystokracya angielska nie zamieszkuje w swoich irlandzkich posiadłościach i nie stara się bynajmniéj zbliżyć do ludu miejscowego. Są panowie, jak np. Margrabia Clanricarde, co nigdy, nawet z ciekawo-

ści, do dóbr swych nie zajrzeli. Mają na miejscu pełnomocnika, rządcę działającego w ich imieniu i zobowiązanego do zbierania rat czynszowych. Ten rządca—*driver* w wyrazistym języku miejscowym, nie troszczy się o nic innego, jak o zebranie raty, i ani ustępstw, ani filantropijnéj polityki nie można się odeń spodziewać. Podwyższać ratę czynszową przy najmniejszym śladzie dobrobytu czynszownika a wyrzucić go przy nie uiszczeniu się na termin: oto alfa i omega taktyki ludzi, co prowadzili administracyą wielkich posiadłości. Przyłożyli się oni do rozjątrzenia stosunków wzajemnych. Owocem tego położenia było utworzenie przez patryotów irlandzkich ligi gruntowéj—*Land League*.

Liga gruntowa oto organizm, w którym się skupiły wszystkie dezyderaty ekonomiczne społeczeństwa irlandzkiego i ktokolwiek będzie chciał szczegółowo zbadać stosunki tamtejsze, będzie musiał iść krok w krok za rozwojem i działaniem tego potężnego stowarzyszenia. Co do nas, ograniczyć się musimy do wzmianki, że postawiwszy sobie jako cel uwłaszczenie czynszowników irlandzkich, liga gruntowa nie zaniedbała żadnego środka agitacyi legalnéj, ażeby celu tego dopiąć i nie ulękła się uciec do gwałtu, gdy legalne środki nie doprowadzały do pożądanego celu. Liczba członków ligi w przybliżeniu obliczona być może na 60.000; posiada ona obecnie kapitał zakładowy 30.000 funtów szterlingów i nigdy nie braknie jéj funduszów do prowadzenia propagandy energicznéj; policya angielska podejrzywa ją, że ma w swém posiadaniu składy broni i amunicyi, aby w danéj chwili powołać kraj do wybuchu rewolucyjnego. Jeżeli oskarżenie to jest faktycznym błędem, to nie da się zaprzeczyć, że liga ma potrzebną do tego siłę moralną. Wszyscy czynszownicy wiedzą, że mają w niéj naturalnego opiekuna i że w walce z właścicielem gruntu znajdą stowarzyszenie po swojéj stronie. Gdy liga uzna, że czynsz jest za wysoki, uwalnia czynszownika od płacenia takowego mocą samowolnego mandatu, który jest bez apelacyi. Gdy czynszownicy zaprzestają płacić czynsz i jeżeli wielki właściciel nie zgadza się na ustępstwa, wtedy ma prawo ich wypędzić i te rugi, indywidualne lub gromadne, pociągają za sobą egzekucye karne ze strony ligi. Pomiędzy wypędzonym czynszownikiem a właścicielem gruntu powstają zazwyczaj procesy, gdyż wypędzeni domagają się zwrotu kosztów wyłożonych na polepszenie gospodarstwa. Choćby nawet nie było najmniejszego pozoru słuszności po stronie czynszownika, liga podtrzymuje go w postępowaniu sądowém, siejąc wszędzie ziarno nienawiści. Gdy ostatecznie wielki posiadacz gruntowy siłą zbrojną wyrzuci opornego czynszownika i sprzeda z publicznego targu jego trzodę i chudobę, wtedy zemsta

ligi dosięga go w formie *boycottowania*. Wyraz ten oznacza odgrodzenie wielkiego posiadacza i jego pomocników od wszelkiéj styczności z ludnością. Źródło swe bierze od p. Boycott, który jako rządca dóbr lorda Erne wywołał przeciwko sobie nienawiść czynszowników. Taka kwarantanna jest straszną w swych wyrokach, nieubłaganą w ich wykonaniu i dość wspomnieć na morderstwo lorda Mountmorres, ażeby zrozumieć, że ten teroryzm nie zatrzymuje się przed skrytobójstwem, mordem i pożogą. Wszystkie środki represyjne, do jakich się rząd angielski uciekać był zmuszony, rozbijały się zawsze o czynny liczny udział całego narodu irlandzkiego w téj walce o posiadanie ziemi.

Gdyby problemat nie był skomplikowany, zapewne rząd angielski oddawna byłby się poczuł w obowiązku do przedsięwzięcia uwłaszczenia drogą państwową, tak jak to uczyniły mocarstwa kontynentalne. Ale oligarchia brytańska nie mogła i do dziś dnia nie może się pogodzić z tą myślą, i wolała z jednéj strony uciekać się do represyi, a z drugiéj posługiwać się półśrodkami. I tak gabinet liberalny lorda Johna Russella przedstawił w roku 1848 bil, dozwalający sprzedawać obdłużone dobra ziemskie—*encumbered estates*, i istotnie trybunały, ustanowione *ad hoc*, sprzedały w ciągu trzech lat następnych 11,024 dóbr ziemskich, wartujących 23.161.093 funtów szterlingów. Operacya ta polepszyła wprawdzie położenie wielkich właścicieli, którzy się dóbr niekorzystnych pozbyli, ale mała zaledwie liczba czynszowników przyjść mogła do nabycia własności.

Pierwszy krok stanowczy na drodze, wiodącéj do uwłaszczenia włościan irlandzkich, uczynił Gladstone w roku 1870 przedstawiając parlamentowi swój słynny *Land Act*. Stał się on dla niego podstawą reform, które w szesnaście lat późniéj w ostatecznéj skrystalizował formie. Przedewszystkiém zwrócić należy uwagę na ten punkt, że już wówczas wielki reformator angielski przestał uważać czynszowników irlandzkich, osiadłych od wielu pokoleń na téj saméj skibie i płacących z niéj daninę, jako przybłędów, których lada kaprys właściciela gruntów mógł wydalić bez żadnego wynagrodzenia. Przeciwnie, owo *tenant's right*, prawo czynszowników do dzierżawionéj ziemi, które istniało legalnie tylko w jednéj prowincyi Ulster, rozszerzone zostało do trzech innych. Od czasu, gdy *Land Act* stał się obowiązującym, czynszownik mógł sprzedawać swoje *tenant's right*, jeżeli znajdował nabywcę na korzystnych dla siebie warunkach. Wielki właściciel gruntowy zostawał jednocześnie obowiązany do uiszczenia wynagrodzenia, gdy wydalał bez legalnego powodu czynszownika z zajmowanego przezeń folwarku. Ta kompensa-

ta—*compensation for disturbance*—dodana do sprzedaży *tenant's right*, została uznaną naturalnie przez czynszowników jako sankcya legalna ich współwłasności. Ustanowione zostały także komisye lokalne do szacowania ulepszeń, poczynionych na gruncie przez czynszowników i za które właściciel przy zerwaniu kontraktu czynszowego wynagradzać ich musiał.

Reforma ta, przedsięwzięta w duchu postępowym, wywołała w zachowawczych kołach społeczeństwa angielskiego okrzyk oburzenia i uznano, że wartość wielkich posiadłości ziemskich w Irlandyi w skutek niéj zmniejszyła się o 20%. Chociaż twierdzenie to było przesadzone, to trzeba przyznać, że nieprzyjaciele małéj ziemskiéj własności nie bez powodu złorzeczyli téj ustawie. W siedm lat po wprowadzeniu jéj w życie liczba małych ferm, nieprzenoszących 5 akrów, a zatém skazujących czynszownika na nędzę, zeszła z 218.000 do 66.359: postęp nadzwyczajny, nieprawdopodobny nieledwie. Jeżeli nawet niektórzy lordowie, wypędzając czynszowników drobnych, zamienili ich grunta w pastwiska albo przyłączyli do swych parków, to drudzy, z kilku maluczkich działów utworzyli większy i przyłożyli się w ten sposób do częściowego rozwiązania problematu rolniczego.

Stronnictwo liberalne, które przyklaskiwało reformie przedsięwziętéj przez Gladstone'a, oczekiwało od niéj uspokojenia agitacyi gruntowéj. Wiemy, że było to niepodobieństwem, gdyż wymagania rolnicze Irlandczyków były daleko szersze. Ale nawet te, których się można było spodziewać, nie urzeczywistniły się z klimatologicznych powodów. Trzy lata jedne po drugich 1877, 78 i 79 były latami strasznego nieurodzaju, i czynszownicy zrujnowani zaprzestali płacić rat niedawno podwyższonych. Oba stronnictwa, właściciele angielscy i proletaryat rolniczy irlandzki stali w roku 1879 znowu równie nienawistnie jedni przeciw drugim, jak przed rozpoczęciem reform. Liga gruntowa nie wzywała jeszcze wówczas otwarcie czynszowników do niepłacenia czynszu ale podtrzymywała żywą agitacyą znaną pod nazwą *potrójnego F*. To kabalistyczne hasło znaczyło po prostu *fixity of tenure*, *fair rents* i *free sale*, i przez skrócenie te trzy dezyderaty czynszowników nazwane zostały *potrójnem f*. Trwałość i długoletniość kontraktu dzierżawnego, czynsz sprawiedliwie obliczony i swobodna sprzedaż swych dzierżawionych folwarków: oto czego domagali się coraz żywiéj rolnicy irlandzcy. Gladstone nie mógł być przeciwnikiem tych rozszczeń, które się zawierały już prawie całkowicie w jego dawniejszym bilu i był logicznym, przedstawiając w r. 1879 parlamentowi nowy bil pod nazwą *compensation for disturbance*. Mocą téj ustawy właściciel gruntowy

nie miał prawa wypędzać w latach nieurodzaju i głodu biednych, drobnych czynszowników, których należność dzierżawna nie przenosiła 30 funtów szter. i nie miał prawa wypędzić ich, jeżeli mu czynili oferty, uznane przez komisye sądowe jako możliwe. Izba gmin przyjęła ten bil odrazu, ale izba lordów odrzuciła go i zawotowała go dopiéro w dwa lata późniéj, w r. 1881, gdy doprowadzona do rozpaczy ludność irlandzka uciekała się do grozy teroryzmu, mordując i boycotując swych nieubłaganych przeciwników. Ten bil 1881 roku jest usankcyonowaniem *trzech f*, gdyż upoważniał czynszowników do odstępowania swych gruntów, nadawał trybunałom rozjemczym prawo szacowania wysokości rat czynszowych i zapewniał przez lat piętnaście czynszownikom tęż samę wysokość czynszu. Wielka własność, która się żaliła, że w roku 1870 straciła 20% na wartości, uczuła się teraz śmiertelnie dotknięta i oszacowała nową klęskę, jaka ją dotknęła w 1881 r., na 25%. Widoczném było, że ten stan rzeczy nie mógł trwać niezmiennie. Czynszownicy, mimo ulepszeń, posłuszni wezwaniom ligi gruntowéj, wzywającéj ich do oporu, nie dążyli do niczego innego, jak do zupełnego zaniechania raty czynszowéj; wielcy właściciele mieli także niezaprzeczone prawo uważać się za pokrzywdzonych. Nie dotrzymywali czynszownicy przyjętych zobowiązań, nie płacili rat nawet zmniejszonych, nawet najsłuszniejszych, a gdy właściciele uciekali się do opieki władz krajowych, wywoływali dzikie prześladowania i nie byli pewni ani swego mienia, ani swego życia. Irlandya stała się prawdziwém piekłem. Obwiniano się wzajemnie, nienawiść dochodziła do paroksyzmu wściekłości, ale prawodawca angielski wciąż jeszcze uważał uwłaszczenie jako niemożliwe.

Odważny krok ten, jak się spodziewać było można, został nareszcie dokonany przez Gladstone'a za ostatniego jego ministeryum. Widzieliśmy, jak od lat kilkunastu stopniowo starał się polepszyć położenie włościan irlandzkich, a myśl zrobienia z nich właścicieli dzierżawionych dotąd gruntów, myśl utworzenia demokracyi rolniczéj, o niezależnym bycie w łonie społeczeństwa, które ostatecznie postanowił oswobodzić z ciemięstwa i prześladowań zaborców, musiała naturalnie nasunąć się wielkiemu mężowi stanu. Nigdy jaśniejszy plan w logiczniejszą nie ubrał się formę! Wiadomo jest, że Gladstone jest najznakomitszym finansistą Wielkiéj Brytanii i istotnie materyalna strona projektu nosi na sobie cechę jego niezrównanego pod tym względem talentu. Gdy się odczytuje obecnie motywa bilu uwłaszczenia takie, jakie przedstawił parlamentowi w pamiętnym dniu 16 kwietnia 1886 r., nie można się wstrzymać od podziwu, od oddania hołdu geniuszowi wielkiego męża stanu. Trzeba

było całéj zaciętości, jaką pałają ku sobie stronnictwa polityczne i téj nienawiści ciasnéj, egoistycznéj, aż do obrzydzenia wstrętnéj, aby zrozumiéć, że opozycya przeciwko projektowi uwłaszczenia wyszła właśnie z obozu zachowawczego, z pośród wielkich posiadaczy gruntowych, z pomiędzy tych właśnie, dla których bezpośredniéj korzyści plan cały został obliczony.

Nie należy spuszczać z uwagi, że uwłaszczenie włościan irlandzkich było środkiem *par excellence* zachowawczym. Jeżeli dawniejsze bile Gladstone'a zmierzały do ulżenia ciężarów czynszowników, to obecny miał jednocześnie na oku wielkich właścicieli. Posiadali oni wielkie dobra obciążone podatkami, wymagające nakładów nieustannych, a nie dające im dochodów. Nie tylko, że ich czynszownicy nie płacili im regularnie czynszów, ale nie płacili ich wcale; co więcéj zrujnowawszy ich, mordowali i prześladowali. Jednym zamachem uwłaszczenie zmieniało położenie rzeczy. Czynszownicy stając się właścicielami, przestawali być nieprzyjaciołmi a zmieniali się w sąsiadów: pomiędzy zamkiem a chatą mógł się zawiązać stosunek przyjacielski, obywatelski. Ruina wielkich właścicieli znikała odrazu, gdyż indemizacya zostawała im natychmiast wypłacona w 3% państwowéj rencie brytańskiéj. Ażeby nie obciążyć zbytecznie długu państwowego, Gladstone zaproponował przeznaczyć na wykup gruntów włościańskich z początku tylko 50 milionów funtów szterlingów; podług jego obliczeń, suma ta miała spłacić jednę trzecią część gruntów włościańskich; operacya wykupu byłaby prowadzoną daléj po wykazaniu swéj praktyczności.

Jako zasadę do szacowania gruntów włościańskich zaproponował Gladstone sumę wyrównywającą 20-letniemu czynszowi. Oszacowanie miało być przeprowadzone przez władze miejscowe irlandzkie. Z dniem oszacowania, czynszownik stawał się odrazu właścicielem swojego gruntu i wszelki stosunek zależności względem dawnego dziedzica znikał. Wierzycielem jego stawało się państwo, skarb narodowy. Do niego nowouwłaszczony obowiązany był wnosić w przeciągu 49 lat raty indemizacyjne, kapitał i procent; po umorzeniu albo przy szybszéj spłacie wszelkie ciężary raz nazawsze spadały z drobnéj posiadłości. Ażeby zabezpieczyć skarb angielski od wszelkiego ryzyka, Gladstone przedsięwziął wszelkiego rodzaju środki ochronne. Powiedzieliśmy już wyżéj, że ograniczył kapitał indemnizacyjny do 50 milionów. I ten kapital jeszcze rozłożył na trzy raty: 10 milionów w pierwszym, a po dwadzieścia w drugim i trzecim roku. Daléj czynił skarb irlandzki odpowiedzialnym za regularne wypłacanie rat od uwłaszczonych. Nie oddalonym i zawsze niechętnie widzianym poborcom angielskim, ale swoim włas-

nym, miejscowym władzom obowiązany był włościanin płacić w półrocznych ratach swoje wpłaty amortyzacyjne; a rząd Wielkiéj Brytanii, nie wchodząc bynajmniéj w możliwe zwłoki lub nieregularności, otrzymywał całą sumę roczną dwóch milionów funt. szt. przypadającą skarbowi, jako ratę umarzającą owe 50 milionów zaforszusowane. Dopiero po opłaceniu téj raty administracya irlandzka miała prawo obrócić resztę na wydatki publiczne i na potrzeby krajowe.

Z jakiejkolwiek strony bada się projekt uwłaszczenia włościan, przedstawiony przez Gladstone'a, to wszędzie trzeba mu przyznać oględność i roztropność w środkach, wzniosłą szlachetność w celach i duch sprawiedliwości nieposzlakowanéj. Dla nas, co świeżo przeszliśmy przez tę samę reformę, w innych warunkach, o wiele niepomyślniejszych, cały ten plan zdawać się może sielanką idyliczną, i jesteśmy w prawie dziwić się, że opinia ucywilizowanéj Anglii zamiast pytać, jakie koleje finansowe i ekonomiczne przeszło uwłaszczenie włościan w Niemczech, Austryi, Polsce, Rosyi, w całéj kontynentalnéj Europie, z góry wolała uznać plan Gladstone'a jako awanturniczy, niepraktyczny, do wykonania niepodobny i jako grożący finansom angielskim ruiną. Kwestya pieniężna zagłuszyła raz jeszcze głos sumienia i wymagania sprawiedliwości.

Jak czytelnicy wiedzą, nie przyszło w parlamencie do rozbioru bilu o uwłaszczeniu włościan. Gabinet Gladstone'a został pobity na kwestyi usamowolnienia politycznego Irlandyi i w ruinach jego zagrzebaną także została druga kwestya zasadnicza. Opinia obłąkana nie zdołała sobie wyrobić o planie włościańskim Gladstone'a prawdziwego zdania i potrzeba będzie bezwątpienia niejakiego czasu, zanim nastąpi zbawcza reakcya pod tym względem. Że reakcya ta nastąpi i że uwłaszczenie włościan w Irlandyi uskutecznioném być musi, nie ma najmniejszéj wątpliwości. Wykup czynszowników będzie mógł być przedsiębrany bądź częściowo, na małą skalę, jak to miało miejsce dotąd, bądź gromadnie, jak to zaproponował Gladstone, chcąc odrazu zetrzéć łeb hydrze, co się na irlandzkiéj była osiedliła ziemi. Gdy wymogi bezwzględnéj sprawiedliwości, powody polityczne, interesa wszystkich stronnictw nakazują jednozgodnie takie a nie inne załatwienie problematu, to interesa egoistyczne jednostek i intryga polityczna przed nimi broń musi złożyć.

Od chwili upadku gabinetu Gladstone'a i powrotu torysów do władzy, kwestya gruntowa nie tylko nie postąpiła naprzód, ale przeciwnie grozi nowemi zawikłaniami. Wyzyskując gorzkie niezadowolenie panujące w Irlandyi, liga narodowa wygotowała nowy plan kampanii. Wprawdzie rząd wytoczył proces kilku deputowanym

irlandzkim, którzy ten plan wprowadzają w wykonanie, ale nie śmié uciec się do gwałtownych środków represyjnych. Nie przychodząc w pomoc wielkim właścicielom zagrożonym, prześladowanym i rujnowanym, którzy bezskutecznie wołają doń o pomoc i protekcyą, nie przedsiębierze także żadnych organicznych środków do załatwienia sprawy gruntowéj. Nigdy chaos i anarchia nie były większemi w téj nieszczęśliwéj krainie. Wewnętrzny rozkład, jaki ma miejsce w łonie ministeryum lorda Salisbury, i niepodobieństwo sformułowania i wprowadzenia w czyn szerokiego programatu politycznego i ekonomicznego dla Irlandyi jest zapowiedzią, że chwila ostatecznego załatwienia niedaleka.

Dr. M. E. Trepka.

FAUST,

TRAGEDYA GOETHE'GO.

Przełożył Ludwik Jenike. (*)

MIĘDZYMURZE.

We wnęce wizerunek Matki Boskiéj Bolesnéj. Przed nim dzbanuszki z kwiatami.

Małgosia, (*wstawiając świeże kwiaty.*)

Matko Bolesna!
Oblicze zwróć
Ku mojéj nędzy,
Niedolę skróć!

Z mieczem w sercu,
Pośród cierpienia,
Na śmierć Syna spoglądałaś.
Ku Ojcu w niebie
Tęskne westchnienia
Za Nim i za Sobą słałaś.

Któż-bo odczuje
Ból, co mą pierś nurtuje?
Biednam ja, biedna!
O czém myśl roi,
Jak serce drży,
Co je ukoi
Wiesz tylko Ty,
Ty tylko jedna!

Gdziekolwiek się obrócę,
Wciąż smucę się i smucę,
Zwątpienie myśli ćmi;
Gdy w sobie się rozpatrzę,
To płaczę znów i płaczę
I serce pęka mi.

Doniczki me obficie
Zrosiły rzewne łzy,
Gdy wcześnie dziś o świcie
Te kwiatki rwałam Ci.

A kiedy słońce rano
Do izby blask swój szle,
Już gorzko rozpłakaną
Na łóżku znajdzie mnie.

Ach! oddal śmierć, niesławę!
Oblicze Swe łaskawe
Ku nędzy mojéj zwróć!
Matko Bolesna!
Rodzicielko Boża!
Niedolę moję skróć!

(*) Ob. „Ateneum" zeszyt czerwcowy r. b., str. 435—460.

NOC.

Ulica przed mieszkaniem Małgosi.

WALENTY (żołniérz, jéj brat.)

Walenty. Bywało dawniéj, podczas pohulanki,
Gdy wiarus każdy zdrowie swéj dziewoi
Z ferworem wznosi z pełnéj szklanki
I chwali wdzięki lubéj swojéj—
Na łokciu sparty ja spokojnie wtedy
Nadstawiam ucha wrzaskom téj czeredy
I gładząc brodę, sam z uśmiéchem
Kipiącym zbroję się kielichem
I mówię: Każda w swym rodzaju;
Lecz poszukajcie w całym kraju,
Czy zrówna która méj Małgosi?
Niech reszta wodę za nią nosi!
I tak wokoło hałas, szczęk,
Wiwaty głośne, szklenic brzęk!
Niejeden krzyczy: Wtórzę ci!
Ozdobą ona swojéj płci!
I umilknęli chwalcy wnet,
A dziś mi płacą wet za wet,
I zawstydzony muszę stać,
Ze złości bodaj włosy rwać,
O mur rozbijać głupi łeb,
Bo piérwszy lepszy teraz kiep
Kręceniem nosa zemnie drwi,
A ja, jakoby dłużnik zły,
Złośliwych słuchać muszę mów
I pocić się śród przykrych słów;
Lecz choćbym rzucił się z pięściami,
Nie mogę nazwać ich łgarzami.
Hej, kto się tam pociemku skrada?
Czy to nie nowa jaka zdrada?
Jeżeli mnie nie myli słuch,
To zdaje się, że jest ich dwóch.
No, jeśli on się tu przyczaja,
Nie puszczę żywcem ztąd hultaja.
(*Faust i Mefistofel nadchodzą.*)

Faust. Jak tam z zakrystji okna w mroku
Wieczystéj lampki światło błyska
I słabo, coraz słabiéj zboku

Płomyka blask przyćmiony ciska,
Aż ciemność w końcu je pochłania—
Tak i pierś moję noc osłania.

Mefistofel. A mnie wesoło w myśli, jak kotowi,
Co czołga się, myszkując na wsze strony
I koło muru potém się sadowi.
Cnotliwie jakoś jestem nastrojony,
Choć miéwam przytém i złodziejską wenę.
Już mnie po wszystkich członkach pokutuje
Wspaniała noc Walpurgi pojutrzejsza.
No, tam przynajmniéj etykieta mniejsza,
Tam każdy się swobodnym czuje
I wié za jaką czuwa cenę.

Faust. A skarb, co się przed wzrokiem moim miga,
Czy prędko wzniesie się ku górze?

Mefistofel. Najchętniéj tobie nim usłużę
A niedaremna to fatyga.
Zajrzałem doń i mówię nie na żarty:
Pełniutko tam talarów piérwszéj próby.

Faust. Lecz czy nie będzie w nim zawarty
Klejnocik jaki, pierścień dla méj lubéj?

Mefistofel. O znajdzie się. Toć sam widziałem
Sznur pereł w pudełeczku małem.

Faust. Cudownie! To mi kłopot zwala z karku;
Nie lubię bywać u niéj bez podarku.

Mefistofel. Skrupulat z ciebie. Toż się godzi
I darmo czasem czegoś użyć.
A teraz, gdy już zorza wschodzi,
Wyborną ci zaśpiéwam sztuczkę,
A jéj moralną dam nauczkę,
By dziéwczę już do reszty zdurzyć.
(*Śpiéwa przy cytrze.*)

O powiedź mi,
Dziéweczko ty,
U chłopca drzwi
Co robisz porą ranną?
Ach nie kwap się
I nie wchodź, nie!
On panną wpuści cię,
Lecz już nie wyjdziesz panną.

Strach tobie, strach,
Bo każdy gach
Z łatwością—ach!
Pozbawi cię wianuszka.
O wierz mi, wierz!
Czystości strzeż,
A chłopca bierz
Z obrączką u paluszka.

Walenty (*zbliża się.*) Ha! do pioruna! kogo takiem
Dudleniem wabisz tu przeklętem?

Do diabła naprzód z instrumentem,
Do diabła potém ze śpiéwakiem!
(*Rozbija cytrę.*)

Mefistofel. Niestety, potłukł ją w kawałki!

Walenty. A teraz pora zrąbać wasze pałki.
(*Dobywa pałasza.*)

Mefistofel (*do Fausta.*)
Doktorze, do mnie! Czekaj aż się złożę.
No, dobądź rożna! pchnij, a ja sparuję.

Walenty. Więc paruj!

Mefistofel. Owszem.

Walenty. Czy i teraz może?

Mefistofel. Tak.

Walenty. Cóś diablego w tym łajdaku czuję.
Ha, co to znaczy? Ręka mi obwisła!

Mefistofel (*do Fausta.*)
Pchnij żwawo!

Walenty. Ach!

Mefistofel. No, ten już ugłaskany,
Uchodźmy!... Słyszę krzyków uragany,
A władza w takich razach bywa ścisła.
Ja umiem sobie radę dać z policją,
Lecz całkiem inna rzecz z banicją.
(*Uciekają.*)

Marta (*w oknie.*) Na pomoc!

Małgosia (*w oknie.*) Dajcie światło!

Marta (*jak wyżéj.*) Na ulicy
Ktoś bije się i straszny hałas szerzy.

Lud. O, tam już jeden rozciągnięty leży.

Marta (*wychodząc.*) A czy uciekli rozbójnicy?

Małgosia (*wychodząc.*)
Zabito kogoś!

Jeden z ludu. Matki twojéj syna.

Małgosia. Wszechmocny Boże! Straszna to godzina!

Walenty. Umiéram! To powiedziéć snadno,
A zrobić może snadniéj jeszcze.
Te wycia babskie niech przepadną!
Podejdźcie! prawdę wam obwieszczę.
(*Wszyscy gromadzą się koło niego.*)
Małgosiu moja, jesteś jeszcze młoda,
Rozumu téż niewiele masz na zbycie,
I wstyd twój poszedł już na nice,

Więc powiem ci: urody twojéj szkoda,
Bo wyjdziesz wnet na nierządnicę,
A masz nią być, to bądź już całkowicie.

Małgosia. Co mówisz, bracie? Boże mój łaskawy!

Walenty. Nie mieszaj Boga do téj brzydkiéj sprawy;
Co stało się, to już się nie odstanie.
Posłuchaj jakie moje zdanie:
Dziś tajnie z jednym rzecz zaczęta,
Po jednym, kilku cię opęta,
A kiedy tuzin cię posiędzie,
To całe miasto miéć cię będzie.
Gdy hańba świéżo się narodzi,
To potajemnie ją się płodzi
I grube zrazu się zasłony
Na głowę jéj i uszy kładnie;
Lecz gdy nas schwyci z każdéj strony,
Gdy jéj ohydna moc się wzmaga,
Już wtedy nas owłada snadnie
I za dnia nawet chodzi naga.
Im szkaradniejsza jest jéj postać,
Tém bardziéj się na światło pragnie dostać.
Już widzę, jak za dni niewiele
Poważni cię obywatele
Omijać poczną jak zarazę,
A tobie serce w piersi się zamroczy,
Gdy ci poczciwiec jaki spojrzy w oczy,
Zmuszoną będziesz każdą znieść obrazę.
Nie tobie odtąd łańcuch nosić złoty,
Nie tobie przy ołtarzu stać w kościele,
Ni strojnéj w kolce, perły i manele,
Śród żwawéj w tańcu zwijać się ochoty.
Dla ciebie kąt przy zgrai gdzieś żebraczéj,
Ostatni między ostatniemi,
A jeśli nawet Pan Bóg ci wybaczy,
Przeklętą będziesz tu na ziemi!

Marta. Wolelibyście duszę zlecić Bogu,
Niż bluźnić jeszcze na wieczności progu.

Walenty. Ha, stręczycielko ty diabelska!
Gdybym do twego mógł się dorwać cielska,
Już za to samo, mam nadzieję,
Uzyskałbym mych grzéchów odpuszczenie.

Małgosia. O bracie! Jak piekielne to cierpienie!

Walenty. Wszak każdy zbiéra, co zasieje.
Mówiłem ci: daj pokój próżnym łzom!
Toż wiész, że utraciwszy srom,
Najsroższy w serce mi zadałaś cios.
A teraz, gdy tak zrządził los,
To, jako żołniérz nieskalany, prawy,
Na Boga idę sąd łaskawy. (*Umiéra*).

KATEDRA.

Msza, organy i śpiéw.

(**Małgosia** pośród tłumu. Za nią Zły duch).

Zły duch.

Jakże było ci inaczéj, (1)
Kiedy niewinności pełna
Szłaś swobodnie do ołtarza
I z książeczki swéj zużytéj
Szepcąc pacierze,
Napoły Boga,
Napoły psoty dziecinne
Miałaś w serduszku!
Małgosiu!
Co z głową twoją?
A na twém sumieniu
Zbrodnia jaka!?
Czy modlisz się za matkę,
Która przez ciebie
Na długie zasnęła męki?
Pod progiem twoim czyja krew?
A pod twém sercem
Czyż nowe życie
Nie drga tajemnie,
Dręcząc i ciebie i siebie
Przeczuwaną obecnością?

Małgosia.

Biada mi! biada!
Gdybyż pozbyć się tych myśli,
Które krążą tu i tam
Na mękę moję!

Chór.

Dies irae, dies illa
Solvet saeclum in favilla.
(*Organy*).

Zły duch.

Groza cię ogarnia!
Trąba grzmi!
Groby się wstrząsają,
A serce twe,
Z popielnéj ciszy
Do mąk płomiennych
Ocknione znów,
Wciąż drży i drży!

Małgosia.

O precz ztąd, precz!
Organów głos tłumi
Oddech w méj piersi,
A śpiéw mi serce
Wzburza do głębi!

Chór.

Judex ergo cum sedebit,
Quidquid latet adparebit,
Nil inultum remanebit.

---

(1) Cały ten ustęp także i w oryginale jest nierymowany.

Małgosia.

Tak mi tu ciasno!
Murów kolumny
Duszą mnie!
Sklepienia tłoczą!
Powietrza! powietrza!

Zły duch.

Ukryj się! Lecz grzéch i srom
Nie pozostaną w ukryciu.
Powietrza chcesz, światła?
Biada tobie!

Chór.

Quid sum miser tunc dicturus,
Quem patronum rogaturus,
Cum vix justus sit securus?

Zły duch.

Wybrani lica
Od ciebie odwracają,
Podać ci ręce
Wzdrygają się czyści.
Biada!

Chór.

Quid sum miser tunc dicturus?

Małgosia.

Sąsiadko! kropli! (*Omdléwa*).

NOC WALPURGI. (*)

Góry Harc.

FAUST. — MEFISTOFEL.

Mefistofel. Czy nie chciałbyś przypadkiem mieć miotliska?
Bo ja, to chętnie siadłbym na koziołka.
Tą drogą idąc, góra nie jest blizka.

Faust. Dopóki jeszcze dopisują nogi,
To dość mi tego sękatego kołka.
Cóż ztąd, że się przykraca drogi?
Toć przez doliny przejść wspaniałe,
A potém wspiąć się na tę skałę,
U spodu któréj z szumem tryska zdrój,
To rozkosz czysta, co nam krasi znój.
Już wkoło brzozy, świérki, sosny
Radośnie święcą przyjście wiosny;
Czyż członki nasze czućby jéj nie miały?

Mefistofel. Co do mnie, wiosny nie spostrzegam wiele,
Po zimowemu jeszcze w mojém ciele;

(*) Święta Walpurga, rodem z Anglii, żyła w wieku VIII po Chrystusie. Czczono ą jako chroniciełkę od czarów, a pamięci jéj poświęcony był dzień piérwszy maja. Ztąd urosło podanie ludowe niemieckie o nocy Walpurgi, czyli schadzce jadących na miotłach, miotliskach i kozłach czarownic, która odbywać się miała w nocy z 1-go na 2-gi maja w górach Harc, na Brokenie.

Ja mrozu, lub śniegowéj chcę zawały.
Jak smutnie twarz księżyca z za obłoku
Czerwonym blaskiem lśni na stropie nieba!
Jak źle przyświéca! Wszak na każdym kroku
Ze skałą się lub drzewem zderzyć trzeba.
Pozwolisz, to zawołam tu ognika;
Ot właśnie jeden żwawo się przemyka.
Hej! wolnoż przyzwać ciebie, przyjacielu?
Masz płonąć sobie tutaj tak bez celu,
To lepiéj wasze poświéć nam na górę!

Ognik. Z uszanowania, mam nadzieję,
Że uda mi się zgwałcić mą naturę,
Choć zwykle się po krętych szlakach chwieję.

Mefistofel. Ho! ho! Zupełnie jak u ludzi bywa.
No, ruszaj prosto, w imię czarta,
Bo zdmuchnę cię! Już mnie to gniéwa.

Ognik. Miarkuję, żeście gospodarzem domu
I będę wam posłuszny, wiedząc komu.
Lecz raczcie zważyć, panie, bez urazy,
Że góra ta czarami dziś zaparta,
Więc i najlepsze drogowskazy
Omylić mogą, jako wnoszę;
Zawczasu téż o pobłażanie proszę.

Faust, Mefistofel i Ognik (*śpiéwają naprzemian*).

W czarodziejskich sfer dziedziny
Wkroczyliśmy, jak się zdaje;
Więc ty oświéć nam drożyny,
Byśmy doszli aż na skraje
Pustek owych tam przed nami.

Widzę drzewa za drzewami,
Jak się przesuwają stami,
I chylące się wiszary
Ponad wody, ponad jary,
A krzemienne skał tych nosy
Sapią, chrapią w różne głosy.

Przez murawę, przez kamienie
Wartkim biegiem mkną stru-
[mienie.
Słyszęż pienia, słyszęż szumki,
Skargi lub miłosne dumki,
Głosy z dni niebiańskiéj krasy,
Z chwil nadziei i kochania,
Co jak echo nam podania
Dawne przywołują czasy?

Uhu! huczy coraz bliżéj
Głos puszczyka;—czajka, sójka
Wrzeszczą; — jęczy w chór ta
[trójka.
Salamandry widzę hyżéj
Długie nogi, kadłub gruby;
Niby węże, drzew korzenie
Wiją się przez skał przeguby
I ramiony polipiemi
Rozczołgują się po ziemi,
Na wędrowca utrapienie.

Myszy niezliczone roje
Wyprawiają harce swoje
Poprzez trawy, mchy i głogi;
I błyszczące świętojanki
Występują hurmem w szranki,
Jakby dla zmylenia drogi.

Ale powiédz, czyśmy stali,
Czy téż wciąż idziemy dalej?
Wszystko się obraca z nami;
Wrzosowiska, drzewa, skały
Na nas się powykrzywiały,
A tu błędne te ogniki
Wyprawiają istne bziki,
Rosnąc, mnożąc się setkami.

Mefistofel. Chwyć się skraju mego płaszcza,
Wejdziem na ten szczyt urwiska,
Zkąd ujrzymy skarb ów zblizka,
Jak się żarzy, zaprzepaszcza.

Faust. Jak dziwnie zdala przez niziny
Bladawa jutrzni miga wstęga
I aż w głębokie rozpadliny,
Do dna przepaści saméj sięga!
Tam we mgle ścielą się pokosy,
Tu żar zabłyśnie przez tumany,
To wązkim smugiem muśnie wrzosy,
To znowu mknie jak zdrój świetlany.
Tu gęstym snopem ku dolinie
Setnemi wciska się ramiony,
A tam w ścieśnionym kędyś klinie
Zamyka się odosobniony.
Tryskają iskry poprzez zwały,
Jak złoty piasek rozsypany....
Lecz patrz, w swéj wysokości całéj
Już rozpłonęły skalne ściany.

Mefistofel. Tak, Mamon (1) snadź iluminacją pali,
By uczcić dzień uroczystości.
Toż za górami już w oddali
Nadciągających czuję gości.

Faust. Ten uraganu wir szalony
Wykręca mną na wszystkie strony!

Mefistofel. Stań silnie, wsparty o ten głaz,
Bo wiatr cię w przepaść zepchnie wraz.

Mgła zgęszcza nocy cienie
I puszczyk mknie spłoszony;
Po lasach trzask i drżenie.
W zielonéj ich świątnicy,
Straciwszy swe korony,
Kolumny potrzaskane,
Na łaskę wichrów zdane,
Runęły bez głowicy.

---

(1) Bożek mamony.

Czy słyszysz trzask gałęzi,
Potężnych pni skrzypienie?
Czy słyszysz jak korzenie
Drżą, trzeszczą w swéj uwięzi?
Z szalonym się łomotem
Pnie walą tam pokotem,
Podskalne tworząc szatry,
A przez nie wyją wiatry.
Już świat się w czar obleka;
I zblizka i zdaleka,
Po całym skłonie góry
Diabelskie huczą chóry.

Czarownice (*chórem*).

Czarownic rój się w górę snuje,
Ściernisko żółte, plon zielony.
Tam cały tłum ich zgromadzony,
A starszy szatan prezyduje,
I choć się niebo na nas sierdzi,
Babina pędzi, kozieł śmierdzi.

Głos. Starucha Baubo (1) na maciorze
Samotnie tam powietrze porze.

Chór. Cześć jéj! Przed czarów korowodem
Niech Baubo nasza dąży przodem!
Pod wiérzchem świnia, na niéj mać,
Za wodzem takim rozkosz gnać.

Głos. Którędy wam wypadła droga?

Głos. Przez górę Ilzy. Ja tam w gniazdo
Zajrzałam sowy, aż nieboga
Ze strachem wytrzeszczyła ślépie.

Głos. Idźże do piekła
Z tą szybką jazdą!
Coś tak zaciekła?

Głos. Kiepska z tego chwała!
Mnie aż skóra szczypie,
Poranionam cała.

Czarownice (*chórem*).

Droga długa, ale gładka,
Pocóż ciżbą tłum się szłapie?
Widły kolą, miotła drapie,
Płód się dusi, stęka matka.

Czarnoksiężnicy (*półchórem*).

My łazim wolno, jak ślimaki,
A baby pędzą, niby ptaki;
Bo gdy o diable idzie sprawy,
To każdy babsztyl jest ciekawy.

---

(1) Baubo: podług mytologii greckiej uosobienie bezwstydu.

Drugi półchór. Niechaj pędzą, mniejsza o to,
Ustępujem im z ochotą.
Co baba zyska śpiesznym krokiem,
To chłop pochwyci jednym skokiem.

Głos z góry. Do nas! do nas! z pod jeziora.

Głos z dołu. Chciałoby się tam od wczora.
Myśmy strojne i dorodne,
Biéda tylko, że niepłodne.

Oba chóry. Umilka wicher, tonie gwiazda
I księżyc skrył się pośród chmur.
Tysiącem iskier nasza jazda
Diabelski wgórę wiedzie chór.

Głos z dołu. Stój! stój!

Głos z góry. Kto woła ze szczeliny?

Głos z dołu. Zabierzcie mnie! Przez trzysta lat
Daremnie pnę się na wyżyny,
A zasiąść z wami byłbym rad.

Oba chóry. Unoszą miotły, grabie, kije,
Łopaty, widły, no i kozły,
A kogo one nie powiozły,
Ten się nie wdrapie póki żyje.

Półczarownica (*na dole*).
Drepcę tutaj tyle czasu,
Nogi zbiéram raz po raz;
W domu własnym nie mam wczasu,
A tu trudno dognać was.

Chór czarownic. Czarownice krzepi maść;
Żagle nam z łachmanów zwito,
A nasz okręt, to koryto.
Kto nie wzleci, musi spaść.

Oba chóry. My wzbijemy się na szczyty,
A wy krążcie po nizinie,
Osłaniając sejm nasz skryty
W czarodziejskiéj plątaninie.

Mefistofel. Jak to się ciśnie, pcha, szamoce!
Jak syczy, piszczy i szwargoce!
Jak cuchnie, świéci, pryska, pali!
Prawdziwy tan w diabelskiéj sali.
Stój przy mnie!

Faust (*z oddalenia*). Jestem!

Mefistofel. Już cię tam porwano?
A zatém mocą mi nadaną

Polecam ci, hołoto, z drogi! precz!
Doktorze, schwyć mnie, no i jednym susem
Skoczymy z tego tłoku wstecz;
I dla mnie to zbyt wielkim już przymusem
W szalonym takim tkwić zamęcie....
Co tak ponętnym blaskiem lśni na skręcie?
Tam coś mnie ciągnie do owego krzaka;
Pójdź, jeśli wola twoja taka.

Faust. Sprzeczności duchu! Jam w twéj mocy.
Lecz to niemądrze bezwątpienia,
Że wszedłszy w gwar Walpurgi nocy,
Szukamy tu osamotnienia.

Mefistofel. Spójrz tylko, jak pełgają tam płomienie,
Wesoły klub to, wstępne zgromadzenie,
A można przecie żyć i w kółku małem.

Faust. Wolałbym jednak być na górze,
Gdzie właśnie dym i żar ujrzałem.
Z zagadek, które tkwią w naturze,
Niejedna tam zapewne się rozstrzygnie.

Mefistofel. Lecz nowe zato się zawiążą.
Niech sobie inni w wielkim świecie krążą,
Nam w tém zaciszu ledwo on się mignie,
Choć na rozrywce pewno tu nie zbędzie,
Bo jest to przecie prawda znana wszędzie,
Że wielki świat wytwarza małe światki....
Tam widzę nagie czarowniczki młode,
A stare skromnie kryją swą urodę.
No, bądź uprzejmy, bo to miłe dziatki,
Trud mały ztąd, przyjemność znakomita.
I instrumentów zdala głos nas wita;
Przeklęta kocia ta muzyka!
Lecz i do tego się przywyka.
Pójdź! pójdź! Nie może być inaczéj,
Przedstawię cię, a resztę się zobaczy.
Cóż powiész, bracie, małoż tu przestrzeni?
Zaledwo końca się dopatrzysz sali,
Sto ogni sutych w niéj się rzędem pali,
Aż wszystko wkoło blaskiem się rumieni.
Pić, warzyć, tańczyć, kochać i gawędzić,
Czyż można lepiéj czas przepędzić?

Faust. Czy waść wystąpić w czarownika roli,
Czy jako diabeł się przedstawić woli?

Mefistofel. Zazwyczaj lubię ścisłe incognito,
Lecz z czémś wystąpić trzeba w taką galę;
Choć wstęgą się podwiązki nie pochwalę,
Przynajmniéj końskie zdobi mnie kopyto.
Czy widzisz jak ten ślimak tam się skrada
I maca wkoło i rożkami bada?
Już on tu cóś przewąchał wemnie,
Więc kryć się byłoby daremnie.
Przez ognie idźmy i przez dymu kłęby,
Ty baw się w gacha, a ja w dziewosłęby.
(*Do kilku starców, siedzących przy dotléwającém zarzewiu*).
Staruszki, czemu zmarszczyliście twarze?
Wolałbym w wirze ujrzéć was biesiady,
W hulance i junackim młodych gwarze;
Toć w domu macie czas na jeremjady.

Generał. Któż może liczyć na narody,
Chociażby dla nich zrobił dużo?
U ludów, jak u kobiét, płużą
Zasługi tylko które kładzie młody.

Minister. Dziś jakoś niéma ładu w świecie,
Aż działać starym brak ochoty;
Gdy myśmy cóś znaczyli przecie,
To wtedy istny był wiek złoty.

Dorobkowicz. I my téż nie byliśmy wcale głupi,
Robiło się co trzeba i nie trzeba;
Lecz teraz wszystko się na człeku krupi,
Choć ledwo schwycił skromny kęsek chleba.

Autor. Nikt prawie dziś nie czyta z całéj nacji,
Gdy mu się w ręce mądra rzecz dostała;
A co się tyczy młodéj generacji,
To ta okropnie jest zarozumiała.

Mefistofel (*który nagle przeistoczył się w starca*).
Już widać sądny będzie dzień!
Ja w strasznym wlazłem tu wysiłku
I nogi swe przeklinam w pień.
Świat chyba musi być na schyłku.

Czarownica tandeciarka.
Nie omieszkajcie, cni panowie,
Z okazyi korzystać znakomitéj!
Wszak dobór mam towarów co się zowie
I bardzo przytém rozmaity,
A w całym mym przenośnym kramie,

Któremu równych nie zna świat,
Zaguby wszystko nosi znamię
I przyczyniło ludziom strat.
Czy sztylet, który ociekł krwią,
Czy kielich, który zatruł ciało,
Czy strój, co kosztownością swą
Niewieścich skusił serc niemało,
Czy miecz, co zerwał sto przymierzy
I w przeciwnika z tyłu mierzy....

Mefistofel. Kumeczko, nie znasz ducha czasu;
Co stało się, no to się stało.
Nowości dziś ponętą całą,
Hałasu trzeba dziś, hałasu!

Faust. Na pięknym jestem tu jarmarku!
Już nie wiem sam gdzie głowę mam na karku.

Mefistofel. Prąd cały w wyższe dąży regiony;
Posunąć chcesz, a jesteś posuniony.

Faust. A to kto?

Mefistofel. Przypatrz się, to ona,
To Lilit. (1)

Faust. Kto?

Mefistofel. Adama piérwsza żona.
O strzeż się splotu jéj warkoczy,
Co nim się przed innemi chlubi,
Bo gdy młodego gacha zoczy,
To go posiędzie, albo zgubi.

Faust. Tam siedzą dwie—przy młodéj stara,
Musiała już naskakać się ta para.

Mefistofel. Tańcują dziś bez odpoczynku.
Pójdź, stańmy z niemi do ordynku!

Faust (*tańcując z młodą.*)
Miałem sen nadzwyczaj miły:
Drzewo mi się w nim przyśniło,
Na niém dwa jabłuszka lśniły,
Zerwać je pragnąłem siłą.

Młoda. Wy i w raju, jak wiadomo,
Jabłka rwaliście kryjomo.
Bardzo jestem z tego rada,
Że mój ogród je posiada.
(*Mefistofel tańczy ze starą.*)

---

(1) Lilit: podług podania rabinistycznego piérwsza żona Adama, która poróżniwszy się z mężem, została diablicą.

Proktofantasmista (1).

Przeklęta zgrajo, niepojętna srodze!
Wszak dawno tobie już dowodzę,
Że duch na słabych stoi nogach,
A tyś się w swoich roztańczyła progach?

Młoda (*w tańcu*) A ten co robi tu na balu naszym?

Faust (*w tańcu*) My kijem nawet ztąd go nie wystraszym.
Gdzie inni tańczą, tam on zrzędzić musi;
Gdy sam o rzeczy zdania nie wykrztusi,
To krok zrobiony—jakby go nie było;
A już najbardziéj pono mu niemiło,
Gdy dążym naprzód. Drepczcie po deptaku,
Jak on, gdy kręci stare swe młynisko,
To może jeszcze będzie mu do smaku,
Szczególniéj gdy mu się skłonicie nizko.

Proktofantasmista.

Wy jeszcze tutaj? A to niesłychane!
Wszak światło nasze wszędy jest rozlane,
A to diabelstwo nawet nas nie pyta;
My mądrzy przecie, a tu czar—i kwita!
Toż choć-em czyścił zawsze to śmiecisko,
Wciąż rojno w niém. Ha! dziwne widowisko!

Młoda. Milcz już, nudziarzu, nikt cię tu nie słucha.

Proktofantasmista.

A ja wam frantom powiem prosto w oczy,
Że nienawidzę despotyzmu ducha,
Mój rozum przeciw światłu nie wykroczy.
(*Tańce trwają ciągle.*)
No, widzę szczęście dzisiaj mi nie służy,
Lecz nowéj nie wyrzekam się podróży
I tuszę że, nim spłacę dług naturze,
I diabłów i poetów precz wykurzę!

Mefistofel. On teraz pójdzie usiąść gdzie w kałuży,
Bo to wybornie zdrowiu jego płuży,
A gdy pijawki mu się rzędem przypną,
To jego duch i duchy ani zipną.
(*Do Fausta, który zaniechał tańca.*)
Lecz powiédz, gdzie dziéweczka owa mała,
Co tak milutko w tańcu ci śpiéwała?

---

(1) Pod nazwą tą Göthe przedstawia znanego wówczas księgarza i krytyka berlińskiego, Fryderyka Nicolai, wroga wszelkiéj cudowności i wszelkiego ideału.

Faust. Cóż kiedy pośród śpiewu jéj znienacka
Czerwona myszka z buzi wyskoczyła. (1).
Mefistofel. Zapewne, że to rzecz niemiła,
Lecz przecie mysz nie była szara,
A uśmiéchała się miłosna schadzka.
Faust. A potém....
Mefistofel. Co?
Faust. Obejrzyj się, Mefisto!
Czy widzisz?... Śliczna, blada mara
W oddali kryje twarz swą mglistą
I z miejsca w miejsce mknie powoli,
Jak ktoś, co u nóg pęta nosi,
A łańcuch cięży, noga boli.
To ona! to jest twarz Małgosi!
Mefistofel. Daj pokój z tém! Nie wschodzi taki siew.
To widmo złudne, ćma bezkrwista,
Nie jakaś postać rzeczywista.
Od martwych ócz martwieje ludzka krew
I w głaz się człek zamienia prawie.
Musiałeś słyszéć o Meduzy sławie. (2)
Faust. Zaprawdę, oczy to uśpionéj,
Życzliwą dłonią nie domknięte,
Ta pierś, ten ciała kształt toczony,
Jam z nich rozkosze spijał niepojęte.
Mefistofel. Zbyt łatwowiernyś. Toż w tém czaru siły,
Że każdy widzi obraz swojéj miłéj.
Faust. O, jakże straszne to cierpienie!
Wciąż widzę lube jéj spojrzenie,
A tam... wszak tę łabędzią szyję
Okala nić czerwona—jak obroża,
Nie szérsza pewnie, niźli tylec noża.
Mefistofel. I ja to widzę, jak się ona wije.
Meduza głowę dziś pod pachą niesie,
Bo ją Tezeusz raz w poswarku
Niewieście biédnéj strącił z karku.
Pójdź na to wzgórze, kędy w lesie
Do różnych zabaw wszystko rwie się;
Prawdziwy Prater. Jeśli się nie mylę,

---

(1) Według podania ludowego, czarownicom we śnie myszy z ust wyskakują.

(2) Meduza: jedna z trzech Gorgon greckich, któréj wzrok każdego, co na nią spojrzał, w głaz zamieniał. Tezeusz uciął jéj głowę.

To teatr tam gotuje się za chwilę.
Co będą grali?

Servibilis. Już niezwłocznie
Najnowsza sztuka się rozpocznie,
Ostatnia z siedmiu, bo tu jest zwyczajem,
Że siedem zawsze z rzędu dajem.
Napisał ją dyletant siaki taki
I dyletanty grają nieboraki.
Darujcie państwo, że się teraz zwinę
Po dyletancku także wznieść kortynę.

Mefistofel. Ha, na Bloksbergu działać ci przystoi,
Tam ani rusz bez reżyserji twojéj.

SEN NOCY WALPURGI,

CZYLI ZŁOTE WESELE OBERONA I TYTANII. (1)

INTERMEZZO.

Dyrektor teatru.
Dziś nareszcie odpoczniecie,
Melpomeny syny;
Stara góra, las, rupiecie
Przybór nasz jedyny.

Herold.
Aby złote mieć wesele,
Czekać trza pół wieka.
Miło, gdy się wszystko ściele
Złotém dla człowieka.

Oberon.
Duchy, dotrzymajcie słowa
W uroczystéj chwili,
Kiedy król wasz i królowa
Znów się połączyli.

Puk.
Ledwo Puk się lekkostopy
Zjawi i wykręci,
Setka innych za nim w tropy
Dzień radosny święci.

Ariel.
Ariel harmonją sieje
Śpiewy niebiańskiemi;
Wiele maszkar śpiéw nawieje,
Lecz i pięknych z niemi.

Oberon.
Stadło, gdy się z sobą godzi,
Niech z nas bierze miarę;
Najgorętszą miłość rodzi
Rozwód na lat parę.

Tytania.
Gdy mąż zrzędzi, żona łaje,
Wysłać ich dla zgody:
Jego w południowe kraje,
Ją gdzie wieczne lody.

Orkiestra (*tutti*, *fortissimo.*)
Żądło muchy, nos komara,
Krewnych szereg cały,
Żabek i koników chmara,
Chór to okazały.

---

(1) Ustęp ten ma pewne pokrewieństwo ze „Snem nocy letniéj" Szekspira, z którego nawet Göthe wziął osoby Oberona, Tytanii i Puka, ducha figlarnego, nakształt naszego chochlika.

Solo.

Kobzy ostry skrzeczy głos,
Bańka to mydlana;
Przez swój tępy dudli nos:
Dana! dana! dana!

Duch kształtujący się dopiéro.

Łeb pająka, brzuch ropuchy,
Skrzydła ma ten chwacik;
Nic nie stworzą takie zuchy,
Chyba poemacik.

Parka.

Chód drepczący, lotny skok,
Na to każdy gotów;
Wprawdzie drepczą cały rok,
Lecz nie widzę wzlotów.

Ciekawy podróżnik.

Czym w ułudy maskę odzian?
Czy mnie mylą oczy?
Oberon, ten piękny młodzian,
Znowu tu dziś kroczy?

Ortodoks.

Brak mu kopyt, brak mu rogów,
Lecz bez wątpliwości,
Tak jak w ciałach greckich bogów,
I w nim diabeł gości.

Artysta z Północy.

Dziś wistocie tylko zbiéram
Szkice i kartony;
Lecz zawczasu się wybiéram
W italijskie strony.

Purysta.

Licho mnie w te brudy wiedzie,
W orgje wyuzdane;
Ledwo dwie w tych wiedźm cze-
Są upudrowane. [redzie

Czarownica młoda.

Puder, jak i odzież zgoła,
Są dla szpetnych całkiem;
Więc na koźle siedzę goła,
Wabiąc jędrném ciałkiem.

Matrona.

Mamy tyle sensu przecie,
Że się nie dąsamy;
I wy kiedyś pognijecie,
Piękne moje damy.

Kapelmistrz.

Hej, wy muchy i komary,
Nagich się nie imać!
Żabek i koników chmary,
Proszę takt utrzymać!

Chorągiewka *(w jednę stronę.)*

W ślicznym się przeplotły wieńcu:
Tu dziéwcząt ek mrowie,
Tam młodzieniec przy młodzieńcu,
Zuchy co się zowie!

(W drugą stronę.)

Niechaj ziemia je pochłonie,
Te szatańskie zgraje!
Chyba się w piekielne tonie
Rzucić pozostaje.

Ksenie. (1)

Ostrém żądłem, jak owady,
Ludzie ciąć gotowi,
Aby służyć dla parady
Papie szatanowi.

Krytyk.

Patrzcie, jak naiwnie gwarzą,
Zbici w gęste roje;
W końcu jeszcze wierzyć każą
W dobre serca swoje.

Muzaget. (2)

Lubię biesie te łobuzy,
Gdy o sobie radzą;
Łatwiéj one niżli Muzy
Za nos wieść się dadzą.

Ex-duch wieku.

Lepsi mądrzy, niż gawrony.
Chwyć się ich zawczasu!
Szczyt Bloksbergu tak przestrony
Jak i szczyt Parnasu.

---

(1) *Ksenie*: urywki poetyckie, dwu lub kilkowiérszowe.
(2) *Muzaget*: przewódca Muz, albo orędownik sztuki.

Ciekawy podróżnik.

Czemu człek ten wyprężony
Tak tam sztywno siedzi,
Wietrząc nosem na wsze strony?
„Jezuitów śledzi.“

Żóraw.

W mętnéj wodzie huk czasami
Rybek złapać można;
Więc się kuma i z diabłami
Dusza ta pobożna.

Światowiec.

Dla pobożnych, bracia mili,
Wszystko jest sprężyną;
Toż i tu się w jednéj chwili
Schadzki ich rozwiną.

Tancerz.

Nowy już nadciąga chór,
Słyszę zdala bębny;
W trawie wyśpiéwuje wtór
Bąków rój stugębny.

Nauczyciel tańca.

Istne tu się dzieją dziwy,
Każdy pląsów żąda;
Hasa tłusty, skacze krzywy,
Nie dba jak wygląda.

Wesoły.

Swarzy się hołota biedna,
Walka wre zawzięta;
Ledwie ich tu kobziarz jedna,
Jak Orfej zwierzęta. (1)

Dogmatyk.

Nie zachwieje mnie nic w świecie,
Dużom krytyk przebył;
Diabeł czémś być musi przecie,
Boby diabłem nie był.

Idealista.

Wyobraźnia w głowie mojéj
Miary dziś nie zazna;
Gdy się tyle w mózgu roi,
Kroję coś na błazna.

Realista.

Strasznie nuży mnie ten kram,
Chyba oszaleję;
Po raz piérwszy widzę sam,
Że się w zdaniu chwieję.

Supernaturalista.

Ja znów bardzo jestem rad,
Że to lud wesoły;
Za biesami można wślad
Ujrzéć i anioły.

Sceptyk.

Skarbu pragną i jak w dym
Śledzą go ogniście.
Czart i żart—wszak dobry rym,
A to żarty iście.

Kapelmistrz.

Hej, wy muchy i komary,
Nędzne dyletanty!
Żabek i koników chmary,
Toć wy muzykanty.

Zręczni.

Niestroskanym w każdéj porze
Orszak nasz się zowie;
Gdy na nogach już nie może,
Chodzi choć na głowie.

Niezdarni.

Dawniéj kęs niejeden w garło
Poszedł z łaski nieba;
Dziś obuwie się przedarło,
Boso pląsać trzeba.

Ogniki błędne.

Myśmy z bagna przecie rodem
I wierutne franty;
Jednak tu idziemy przodem,
Jako eleganty.

Gwiazda spadła.

Śród drużyny jasnych gwiazd
Tlałam niby zorze;
Teraz spadłam tutaj w chwast,
Kto mi dopomoże?

---

(1) Podług mytologii greckiéj dźwięki lutni Orfeusza poskramiały dzikie zwierzęta.

Ociężali.

Z drogi! z drogi! Toć w tę stronę,
Na murawy zgubę,
Duchy idą, a i one
Członki mają grube.

Puk.

Cóż wy tak stąpacie wszędzie
Ciężko, jak słonięta?
Niech dziś najmniéj zgrabnym będzie
Sam Puk wiercipięta.

Ariel.

Gdy przyroda wam miłośnie
Skrzydła ducha daje,
Dążcie zamną wślad, ku wiośnie,
W róż, wawrzynów kraje.

Orkiestra (*pianissimo.*)

Pochód chmur, zasłona mgły
Wgórze się rozmierzcha.
Szelest wiatru w trzcinie drży
I widzenie pierzcha.

POCHMURNY DZIEŃ. — POLE.

FAUST. — MEFISTOFEL.

Faust. Wnędzy! W rozpaczy!... Na ziemi długo zbłąkana, a teraz uwięziona! Luba, nieszczęsna istota! Zamknięta w strasznych cierpieniach, jak zbrodniarka! Aż tak! aż tak!... Zdradliwy, bezecny duchu! i tyś to ukrył przedemną!?... Stój, o stój! przewracaj wściekle szatańskie swe oczy! Stój i urągaj mi wstrętną swą obecnością!... Uwięziona! w nędzy niepojętéj! Oddana w moc złych duchów i karzącéj, bezlitośnéj ludzkości! A ty kołyszesz mnie tymczasem w zabawach obmierzłych, kryjesz przedemną wzrastającą jéj niedolę i dajesz jéj ginąć bez ratunku!

Mefistofel. Nie ona piérwsza ginie.

Faust. Psie, ohydny potworze!... Przeistocz go, ty duchu nieskończony! przeistocz w jego postać psią, pod którą nieraz w nocy biegał przedemną, by spokojnemu wędrowcowi rzucić się pod nogi, a potém uczepić się ramion padającego! Przeistocz go znowu w jego kształt ulubiony! Niech waruje przedemną w prochu, niech zdepczę potępieńca!... Nie ona piérwsza!... Straszne to, straszne, dla duszy ludzkiéj niepojęte, że niejedna już istota w taką głębię nędzy zapadła, że piérwsza z nich nie okupiła odrazu winy wszystkich, wijąc się w trwodze śmiertelnéj przed obliczem wiecznie Przebaczającego! Mnie niedola téj jednéj nurtuje szpik i życie; ty naigrawasz się obojętnie z nędzy tysiąców!

Mefistofel. Otóż i znowu jesteśmy u granic naszego dowcipu, tam, gdzie wam ludziom klepki mieszają się we łbie. Pocóżeś wszedł we wspólność z nami, jeśli przeprowadzić jéj nie umiész? Wzlecieć chcesz, a boisz się głowy zawrotu. Czy myśmy tobie się narzucali, czy ty nam?

Faust. Nie wyszczerzaj tak na mnie zębów swych żarłocznych! Brzydzę się tobą!... Wielki, wspaniały duchu, który objawić mi się raczyłeś, który znasz moje serce, moję duszę! Czemu przykuwasz mnie do wszetecznika tego, który raduje się krzywdą wszelką, napawa zgubą?

Mefistofel. Czy już skończyłeś?

Faust. Ocal ją, lub biada tobie! Obrzucę cię klątwą najstraszniejszą na lat tysiące!

Mefistofel. Nie mogę rozkuć więzów mściciela, odemknąć jego wrzeciądzy.... Ocal ją!... A któż ją wtrącił w zgubę? Ja, czy ty?

Faust (*dzikim wzrokiem spogląda dokoła*).

Mefistofel. Czy szukasz pioruna? Dobrze że nie dano go wam, nędznym śmiertelnikom. Zdruzgotać niewinnego, to zwyczaj tyranów, gdy chcą sobie ulżyć kłopotu.

Faust. Prowadź mnie do niéj! Ona musi być wolną!

Mefistofel. A niebezpieczeństwo, na jakiebyś się naraził? Wiedz, że krwawa zbrodnia twojéj ręki cięży jeszcze nad miastem. Ponad grobem zabitego krążą duchy mściciele, czyhając na powracającego mordercę.

Faust. I to mi jeszcze przypominasz? Śmierć i przekleństwo całego świata niech spadną na ciebie, potworze! Powtarzam: zaprowadź mnie tam i uwolnij ją!

Mefistofel. Zaprowadzę, lecz co uczynić mogę, posłuchaj! Nie jestem wszechwładny w niebie i na ziemi. Omroczę zmysły stróża więziennego; ty zabierz klucze i wywiedź ją człowieczą swą ręką. Ja czuwać będę. Czarodziejskie rumaki są w pogotowiu. Uniosę was. To jest w mojéj mocy.

Faust. A więc śpieszmy!

NOC. — POLE OTWARTE.

FAUST i MEFISTOFEL pędzą na czarnych rumakach.

Faust. Co tak pod szafotem te widma się gonią?
Mefistofel. Sam nie wiem: cóś tworzą i warzą!
Faust. To wgórę się wznoszą, to nadół się kłonią.
Mefistofel. Snadź wiedźmy się snują i swarzą.
Faust. Cóś niby tam święcą i cóś usypali.
Mefistofel. To fraszka. Pędź daléj! pędź daléj!

WIĘZIENIE.

Faust (*z pękiem kluczy i lampą przed drzwiami żelaznemi*).

Dreszcz chwyta mnie oddawna już nieznany,
Ludzkości całéj tłoczy mnie cierpienie.
Tu mieszka ona, te wilgotne ściany
Niewinną kryją, bo jéj winą całą
Poczciwe było urojenie.
Lecz co się zemną stało?
Czy boję się iść do niéj?
Wszak pośpiech tylko ją ochroni.
(*Próbuje otworzyć zamek. Wewnątrz rozlega się śpiéw*).

Matka niecnota
Zabiła mnie;
Ojciec niedobry
Pochłonął mnie.

Siostrzyczka mała
Kości pochowała;
A ja skrzydła mam ptaszyny,
Wzleć, ptaszynko, na wyżyny! (1)

Faust. O biédna! Nie wié, że kochanek z proga
Brzęk kajdan jéj i szelest słomy słyszy.
(*Wchodzi*).

Małgosia (*kryjąc się na posłaniu*).
Już idą! Ratuj mnie, kto wierzy w Boga!

Faust. Przychodzę cię ocalić. Ciszéj! ciszéj!

Małgosia. Jeżeliś człowiek, odczuj mą niedolę!

Faust. Dozorców nie budź! Zaraz cię wyzwolę.
(*Odmyka kajdany*).

Małgosia (*na kolanach*).
Kto ci, kacie, nadał moc
Nademną biedną?
Przecież ciemna jeszcze noc,
Daruj mi choć mgnienie jedno.
Dosyć wcześnie jutro rano.
(*Wstaje*).
Ja tak młoda, o tak młoda!
A już umrzéć mi kazano.
Byłam także piękna, miła,
Ale właśnie ta uroda
Ach! na wieki mnie zgubiła!

---

(1) Jest-to pieśń ludowa o macosze, która zabiła dziecko swego męża i dała mu je do zjedzenia jako potrawę. Siostrzyczka pozbierała kości i pochowała je, a dusza dziecka uleciała jako ptaszek.

On był blizki, dziś daleki,
A wianuszek.... oj na wieki
Rozerwany.... Czego chcesz?
Com ci winna? Przecie wiesz,
Żem cię w życiu nie widziała.

Faust. O, czyż przeniosę męki tyle?

Małgosia. Przecieżem w twéj władzy cała;
Zostaw mi choć krótką chwilę,
Niech nakarmię moje dziecko.
Jam je nocy téj pieściła,
Bo kruszynka to tak miła!
Ach! zabrali je zdradziecko
I cóś im się przywidziało,
Żem je w stawie utopiła.
I śpiéwają o mnie pieśni,
Wiész, jak ta piosenka gminna.
Co to się tym ludziom nie śni!
Co im się stało?
Co ja im winna?

Faust (*klęka przed nią*).
Kochanek więzy twoje skruszy,
Położy koniec twéj katuszy.

Małgosia (*rzuca się ku niemu*).
Wezwijmy świętych pomocy!
Patrz, za tym progiem
Piekło wre,
Zły duch śród nocy
Miota się
W walce wściekłéj z Bogiem.

Faust. Małgosiu!

Małgosia. Toż to był głos jego!
(*Zrywa się, kajdany jéj opadają*).
Gdzie on? Słyszałam jak mnie woła.
Jam wolna! Nikt zatrzymać mnie nie zdoła;
Już mnie oprawcy tu nie strzegą.
U szyi jego chcę zawisnąć,
Do piersi własną pierś przycisnąć.
Małgosiu! wołał, stał u proga,
I choć szalała moc złowroga,
Choć wokół gwar szatańskich szyderstw rosł,
Poznałam słodki, ukochany głos.

Faust. To ja!

Małgosia. To ty? O, powtórz to raz jeszcze!
Niech ucho słowem tém upieszczę.
(*Obejmuje go*).
To ty! Gdzie teraz męki mego łona?
Gdzie trwoga śmierci, gdzie kajdany?
Tyś przyszedł do mnie, mój wybrany!
Jam ocalona!....
Już widzę znów ulicę ową,
Gdzie piérwsze z tobą zamieniłam słowo,
I miły ten ogródek mały,
Gdzie z Martą myśmy cię czekały.

Faust. Pójdź zemną, pójdź!

Małgosia. Chwileczkę choć zaczekaj!
Tak mi tu błogo z tobą! (*Przymila się*).

Faust. Nie odwlekaj!
Za czas stracony przyjdzie pokutować.

Małgosia. Więc ty nie umiész nawet już całować?
Więc po krótkiéj téj rozłące
Już ostygły czucia wrzące?
Dlaczego tak mnie trwożą twe uściski?
Toć dawniéj sercem byłeś mi tak blizki,
Z twych słów, z twych spojrzeń niebo mi spływało,
Z pieszczoty-ś nie udusił mnie omało....
Pocałuj mnie, bo ja cię pocałuję.
(*Tuli się do niego*).
O biada! Zimne są twe usta,
Milczące!
Pierś pusta!
Czuję to, czuję!...
Gdzie się podziały
Serca zapały?
Gdzie słowa gorące?
(*Odwraca się*).

Faust. Pójdź, dziecko, zanim pora minie!
Ja ci przyrzekam pieszczot krocie;
Pójdź! o to błagam cię jedynie.

Małgosia (*zwrócona ku niemu*).
A czy to ty? czy tylko ty w istocie?

Faust. Ja! ja!

Małgosia. Więc mnie uwolnisz i ukoisz,
I znów mnie weźmiesz na kolana?

Dlaczego ty się mnie nie boisz?
A wiész ty kim jest twoja ukochana?

Faust. O śpiesz się, śpiesz! Już gwiazdy gasną.

Małgosia. Ja zabiłam matkę własną,
Utopiłam nasze dziécię;
Wszak mnie i tobie winne było życie,
I tobie téż.... Tak, prawda to istotna,
To ty! O daj mi rękę!... To nie sen!
Daj rękę!... Ale jest wilgotna!
Ach! obetrz ją! bo mnie się zdaje,
Że do niéj świéża krew przystaje!...
O Boże! Cóżeś ty zrobił?
Schowaj oręż ten!
Małgosia prosi!

Faust. Nie budź, nie wskrzeszaj przeszłości obrazu,
Onby mnie dobił.

Małgosia. Nie, ty żyć musisz! Człowiek wiele znosi.
Chcę ci opisać mogiły,
Bo tak myślałam odrazu,
Że ty, mój miły,
Zajmiesz się niemi.
Matce daj najlepszy grób,
Brata obok złóż do ziemi,
A mnie daléj miejsce zrób,
Tylko niezbyt znów daleko.
Dziecko mi do piersi daj,
Niech nas jedno kryje wieko.
Nikt tam więcéj już nie legnie....

W twoje tulić się ramiona
Był to niegdyś dla mnie raj!
Czemu czas tak szybko biegnie,
Czemu szczęście migiem kona?
Dziś inaczéj jest, inaczéj!

Tyś to niby; wzrok twój patrzy
Tak poczciwie, tak przyjemnie!
Taka prośba w nim gorąca!
Jednak cóś się wzdryga wemnie,
Cóś od ciebie mnie odtrąca.

Faust. Jam Henryk twój, kochanko! Lecz się śpiesz!

Małgosia. A dokąd?

Faust. Na swobodę. Wierz mi, wierz!

Małgosia. Jeżeli tam mogiła czeka
I czyha śmierć, to niech nie zwleka.
Ztąd jedno wyjście mnie niebogiéj:
Na odpoczynek wieczny, błogi.
Ty idziesz? Czemuż z tobą iść nie mogę?

Faust. Chciéj tylko! Masz otwartą przecie drogę.

Małgosia. Niewolno mi! Już nic mnie nie osłania;
Choć zbiegnę, ślad mój znajdą w okamgnieniu,
A to tak smutno żebrać zlitowania,
Gdy wina zwłaszcza cięży na sumieniu,
Tak straszno saméj tułać się po świecie!
A zawsze wkońcu katy ujmą przecie.

Faust. Ja nie opuszczę cię i w nędzy,

Małgosia.

Prędzéj! prędzéj!
Schwyć dziecinę!
Przez drożynę
Popędź długą,
Ponad strugą,
Wprost do lasu,
Gdzie w oddali
Grobla z bali,
Nie trać czasu!

Ona tam w stawie
Tonie już prawie,
Rączką się pluszcze.
Ratuj ją, ratuj!

Faust. Zastanów się! Już cię nie puszczę!
Krok jeden zrób, a będziesz wolną.

Małgosia. Gdybym tylko była zdolną
Minąć górę tę i kamień,
Ale chyba w głaz mnie zamień!
Matka siedzi tam jak żywa,
Mruga na mnie, głową kiwa.
Długim, długim snem zasnęła!
Już się z niego nie ocknęła.
Spała, byśmy się cieszyli.
O, pamiętnam ja téj chwili!

Faust. Gdy prośby memi cię nie wzruszę,
To gwałtem ztąd cię unieść muszę.

Małgosia. Puść mnie! Nie znoszę gwałtu w niczem!
Wszak wszystkom ci czyniła po dobroci.

Faust. Kochanko, już na niebie dzień się złoci.

Małgosia. Tak, dnieje! Bladém swém obliczem
Ostatni dla mnie dzień już świta.
Miał to być mój dzień godowy.
Nie mów, nie mów ty nikomu,
Żeś był u mnie pokryjomu

Lubéj, grzésznéj nocy owéj.
Biada! Wianek nie odkwita...
Pewno wkrótce się spotkamy
Nie przy tańcu. Tam u bramy
Tłumy cisną się dokoła,
Plac pomieścić ich nie zdoła.
Jęczy dzwon, skruszona laska (1)
I na oczach już opaska,
Skrępowane ręce obie!
Ostrze stali mnie po szyi
Łechce, niby żądło żmii!
Ciemno, głucho, jakby w grobie!

Faust. O, bodaj nie żyć mi na świecie!

Mefistofel (*zjawia się.*)
Uchodźcie szybko, bo zginiecie!
Daremne targi i gawędy.
Rżą moje konie,
Świta już wszędy.

Małgosia. Co tam z pod ziemi pełza, płonie?
To on! to on! Każ mu iść precz!
To poświęconych miejsc zakała!
On pomnie przyszedł!... Wolę iść pod miecz!

Faust. Ty wyjdziesz zdrowa ztąd i cała.

Małgosia. Niebieski sędzio! Tobiem się oddała!

Mefistofel (*do Fausta.*)
Pójdź? bo zostawię was oboje.

Małgosia. Jam Twoja, Ojcze, ocal mnie!
Anioły, Boscy posłannicy!
Osłońcie duszę pokutnicy,
Co z ciemni się do światła rwie!
Henryku, ja się ciebie boję!

Mefistofel. Już potępiona!

Głos (*zgóry.*) Ocalona!

Mefistofel (*do Fausta.*) Tu do mnie! Dosyć tego krzyku!
(*Znika z Faustem.*)

Głos (*z wewnątrz.*) Henryku! Henryku!

---

(1) W wiekach średnich nad skazanymi na śmierć łamano laski.

LUDWIK BOERNE.

I. Epoka i życie.

Można rozumieć Boerne'go, nie znając jego życiorysu, lecz niepodobna go ocenić bez dokładnéj znajomości współczesnéj mu epoki. W takiéj własności ducha Boerne'go należy szukać źródła jego braków lecz i siły: żył on szerokiém życiem historyi, nie wązkiém osobistém i więcéj posiada znaczenia jako dokument historyczny, aniżeli ze względu artystycznego i naukowego.

Po straszliwym wysiłku, który rozdrobnione od niepamiętnych czasów Niemcy zjednoczył w walce przeciw Napoleonowi I, nastąpił dla nich okres wyczerpania i rozczarowań. Wysiłek podjęty został w imię idei wolności i idei narodowéj, lecz jeśli idącym na rzeź szeregom pozwalano upajać się i roznamiętniać pięknemi temi hasły, to powracających do domów zwycięzców usypiano i obezwładniano już zupełnie innemi: subordynacya, wierność, spokój. Miodopłynne usta „nianiek narodowych", w rodzaju Kamptza, Schmalza i t. p., jęły tłómaczyć zdumionym rodakom, że cała t. zw. „wojna o swobodę" była prostém wypełnieniem powinności względem monarchów, że naród odgrywał w téj walce jedynie rolę stojącego na warcie żołnierza lub śpieszącego na pożar strażaka (1), i że jako taki żadnych do wynagrodzenia pretensyi rościć nie ma prawa. Murzyn swoje zrobił, murzyn może odejść. Wytrzeźwione Niemcy zrozumiały, że kosztem krwi swéj i wielkich poświęceń uwolniły nie siebie, lecz jedynie swych stróżów więziennych. Szybkim krokiem powracały niedawne a już tak dalekie czasy patryar-

(1) Tak dosłownie Schmalz „Das europäische Völkerrecht" 1817.

chalnych rządów, harcapów (1) i pałki kapralskiéj; nie krępowano się nawet pozorami słuszności i honoru, łamiąc otwarcie uroczyste obietnice i lekceważąc namacalne gwarancye prawne (2). Tymczasem Francya, grzeszna, buntownicza a zwyciężona, w żelazną obręcz ujęta, tyle szacunku i obawy wzbudza w przeciwnikach, że ostatecznie na własnéj klęsce najwięcéj korzysta, gdyż zachowuje wywalczone swobody i odzyskuje nawet utracone. Mógł wprawdzie Ludwik XVIII tytułować się nadal królem Nawary i liczyć w chwili wstąpienia na tron dwudziesty rok swego panowania, mogły powrócić i złote lilie i przyboczne regimenty szwajcarskie i krzyż św. Ludwika, — niemniéj wszakże nowe kodeksy pozostały w swéj mocy, zapewnioną została bezkarność za spełnione podczas rewolucyi czyny polityczne, równość wszystkich przed prawem, swoboda wyznań, wolność prasy, sądy przysięgłych, udział narodu w prawodawstwie. Gorzkie rozmyślania nasuwać się musiały zwycięzkim Niemcom wobec nieuniknionego porównania; rozruszani szeregiem niesłychanych wstrząśnień, stali się oni wrażliwszymi na sprawy społeczne, a więc i przygnębienie polityczne mogło przenikać do kół najszerszych. Pomimo to wszakże, w narodzie politycznie niedojrzałym, który zwrotu rewolucyjnego samodzielnie nie przeżył, niezadowolenie przejawiało się *świadomie* w wyjątkowych tylko umysłach. Masy błądziły po omacku, wyrażając opozycyą przeciw panującemu porządkowi w sposób dziwaczny, nielogiczny często, teutomanią, zjazdem wartburskim, manią gimnastyczną, zabójstwem Kotzebue'go i t. p., co stan rzeczy pogarszało tylko, tworząc chaos pojęć nierozwikłany i większą jeszcze wywołując reakcyą.

Tymczasem ruchy rewolucyjne we Włoszech, Hiszpanii, Rosyi, walka Grecyi o swobodę, sprawy irlandzkie, utrzymują umysły w Niemczech w niepokoju i budzą wiarę w gwałtowne przewroty, w nietrwałość panujących stosunków. Rewolucya lipcowa zdawała się usprawiedliwiać wszystkie te nadzieje. Znalazła ona odgłos potężny w olbrzymim promieniu, lecz jeśli gdzieniegdzie wywołała rezultaty jaskrawsze, nigdzie nie wywarła wpływu głębiéj sięgającego niż w Niemczech. W Belgii lub Polsce stanowiła ona iskrę w prochowni, strąciła owoce dojrzałe z drzew; w Niemczech słońce lipcowe jasnym swym promieniem ginące, zamierające w pomrokach kwiaty przywróciło do życia. Zapał w Niemczech nie znał

---

(1) W Hesyi elektorskiéj literalnie por. Schlosser: Historya XVIII i XIX wieku. Tom VIII, str. 367.

(2) Np. Manifesty kaliski 1813 r. i wiedeński 1815 r. Fryderyka Wilhelma III; § 13 aktu związkowego Niemiec z dnia 8 czerwca 1815 r.

granic; nietylko inteligencya upajała się dźwiękami zmartwychwstałych haseł rewolucyjnych, lud nawet prosty chętnie uwierzył, że rozpoczyna się nowa era, że wreszcie „biedni ludzie zwyciężyli“ (1). Do Paryża, jak do Mekki nowożytnéj pociągnęły tłumy pielgrzymów ze wszystkich klas społecznych Niemiec, rzemieślnicy i poeci, artyści i kupcy, nie dla zarobku jedynie lub rozrywki, lecz by dotknąć się bruków, oddychać powietrzem, oglądać świadków świętéj walki, przejąć się jéj duchem, zrozumiéć zasady i cele. Ci co w Paryżu pozostali ślą do kraju hymny na cześć wolności i narodu francuskiego, powracający do domów roznoszą zapał dla widzianych cudów, podniecany rażącym kontrastem z warunkami swojskiemi. W najspokojniejszych, najlojalniejszych państewkach niemieckich następują wybuchy rewolucyjne (2); w Niemczech południowych, cieszących się pewną cząstką swobody, odczuwa się nadzwyczajne ożywienie ducha demokratycznego (3). Bąwarya nadreńska pod osłoną praw francuskich staje się ogniskiem ruchu już wyraźnie republikańskiego: powstają tu pisma radykalne (4), „stowarzyszenia wzajemnéj asekuracyi od cenzury“, urządzają się masowe zgromadzenia ludowe, „gdzie na ruinach Hohenstaufów odzywa się grzmiąco marsylianka z 20000 piersi“ (5). Przerażone rządy widziały już wcieloną „rewolucyą, zbliżającą się wielkiemi krokami“ (6) i Zgromadzenie Związkowe nie omieszkało przeciąć jéj drogę szeregiem postanowień, które słusznie nazwano „niemieckiemi ordynansami lipcowemi.“ Żakowski zamach frankfurcki stanowił znowu dogodny pretekst dla dalszych kroków w tymże kierunku; wobec „hydry rewolucyjnéj“ niemiecki związek państwowy nabiera charakteru państwa związkowego, ze wszystkiemi tegoż wadami a bez żadnéj zalety. Nadzieje pokładane we Francyi okazują się złudnemi najzupełniéj; spokojny francuski król-filister ani myślał o krucyacie wolności w stylu 1793 r., o jakiéj marzyły ludy europejskie. Los Polski i Włoch był smutném ostrzeżeniem dla łatwowiernych. Stopniowo zwątpienie ogarniało umysły najwytrwalsze; odsunięto w kąt ideały polityczne i z zasępioném czołem wzięto się

---

(1) Por. Heine: Listy z Helgolandu.

(2) W królestwie saskiém i hanowerskiém, w w. księstwie brunświckiém, w Hesyi Elektorskiéj.

(3) Szczególnie w królestwie wirtemberskiém i bawarskiém, oraz w. księstwie badeńskiém.

(4) Np. Der Westbote. Die deutsche Tribüne.

(5) W Weinheimie, Königsteinie, Hambachu.

(6) Przedstawiciel Austryi w Zgromadzeniu Związkowém.—Por. De l'Allemagne depuis 1830, par Louis de Carné w *Revue des deux Mondes* T. XIV, 1838, p. 143 suiv.

do budowania kolei żelaznych. W końcu czwartego dziesiątka bieżącego stulecia, Europa jakby pod ogromnym parasolem mieszczańskim ukryta, gdy na szarym horyzoncie skupiają się powoli groźne chmury, z zapowiedzią nowéj burzy, stokroć od poprzednich potężniejszéj.

W takiéj to epoce wypadło żyć i działać Ludwikowi Boernemu. Urodził się 1786 r. w wolném mieście Frankfurcie nad Menem z zamożnych rodziców żydowskich. Ponure dzieciństwo przepędził w mieście rodzinném u matki, kobiéty prostéj bez charakteru i wpływu na syna i ojca spekulanta bez zasad, który go całą swą istotą odpychał od siebie. W siedmnastym roku życia wysłany do Berlina dla studyów medycznych w znakomitych klinikach tamecznych, zaniedbuje zupełnie niesympatyczne dla siebie zajęcia, a natomiast w kołach literackich stolicy, w towarzystwie Schleglów, Humboldtów, Schleiermachera i innych kształci umysł i uwalnia go od stęchlizny domu i partykularza. Nieszczęśliwa a namiętna miłość ku żonie profesora, wysoce ukształconéj i pięknéj jeszcze (choć czterdziestoletniéj) Henryecie Hertz, niemieckiéj pani Récamier, zmusza go do opuszczenia Berlina (1). Kolejno udaje się do uniwersytetów w Halli, Heidelbergu, Giessenie, przerzuca się z medycyny, nieodpowiedniéj dla wrażliwego i słabowitego jego organizmu, do nauk społeczno-państwowych, i wreszcie uzyskawszy tytuł doktora filozofii, powraca do Frankfurtu. Tu pisuje gorące artykuły przeciw „tyranowi korsykańskiemu“, a następnie, gdy dzięki „tyranowi“ żydzi frankfurccy zyskują równouprawnienie, Boerne, ulegając praktycznemu ojcu, pełni urząd aktuaryusza w zarządzie policyjnym miasta (2). W tym charakterze ma sposobność w r. 1813 ze szpadą w ręku bronić mienia i honoru współobywateli od rozbestwionych „zbawców“ bawarskich. Na zasadzie jezuickiego wykładu postanowienia kongresu wiedeńskiego, odjęto żydom frankfurckim napowrót drogocenne (3) prawa obywatelstwa, skutkiem czego i Boerne szczęśliwie zwolnionym został ze swych niemiłych obowiązków. W r. 1818 Boerne przyjmuje luteranizm, i jako wydawca czasopisma „Waga“ szybko zyskuje rozgłos i popularność. Od tego też czasu datuje się półmiłosny, pół przyjacielski jego stosunek

---

(1) Stosunek ten długo pozostawał w tajemnicy. Dopiéro w r. 1861 ukazały się „Briefe des jungen Boerne an Henriette Hertz“, których styl ognisty tchnie wprawdzie patosem właściwym epoce, gdzie atoli przebija się już w potężném władaniu słowem przyszły znakomity pisarz.

(2) Taką ironię stosunków napotykamy kilkakrotnie w literaturze niemieckiéj, np. u Chrystyana Grabbe'go lub E. T. A. Hoffmanna.

(3) Literalnie; kosztowały 440,000 flor.

z Jeannetą Wohl, kobiétą miary średniéj pod wszystkiemi względami, lecz pełnéj poświęcenia i przywiązania dla Boerne'go, który znalazł w niéj stałą podporę na życie całe. Poświęciwszy się odtąd wyłącznie zawodowi literackiemu, Boerne swemi artykułami krytycznemi i politycznemi, pomimo nieustannéj walki z cenzurą, staje na czele publicystyki niemieckiéj; podróżuje często i po różnych stronach rozległéj, lecz na skrawki pociętéj ojczyzny, zapoznaje się wszędzie z duchowymi przywódcami narodu, dwukrotnie wreszcie udaje się do Paryża na dłuższy przeciąg czasu. Rewolucya lipcowa zastaje go schorzałego na kuracyi w Soden, uzdrawia odrazu i raz jeszcze rzuca do Paryża, gdzie umysł jego miał najpiękniéj zabłysnąć i zgasnąć. Pędzi odtąd na obczyźnie życie jednostajne, lecz nadzwyczaj czynne; w r. 1832 przyjmuje udział w uroczystości hambaskiéj i tu uczczony zostaje oznakami najżywszéj sympatyi przez całe zgromadzone wolnomyślne Niemcy. Działał zresztą nietylko słowem pisaném: zgromadzał u siebie w Paryżu młodzież niemiecką, licznie tam reprezentowaną, przemawiał na zebraniach robotników niemieckich, „prowadził krawców na kazanie na Montmartre", jak szyderczo wyrażali się jego przeciwnicy w Niemczech,—a przytém wszystkiém rozwijał porywającą, iście ludową wymowę (1). Zaprzyjaźnił się również z radykalistami francuskimi i współpracował przez pewien czas w ich organie (2); sam nawet założył na własną rękę pismo francuskie, mające zapoznać Francuzów ze stosunkami niemieckiemi, o krótkotrwałem atoli istnieniu. „Zmęczony jak pies myśliwski", zniechęcony rozwianiem najdroższych marzeń, lecz nie bez nadziei zmarł w Paryżu 1837 roku.

II. Charakter i umysł.

„Gdy pochowano Boerne'go — powiada jego przyjaciel i biograf (3) — wszystkie partye pochyliły swe sztandary i rzekły: był to charakter." Słowa te nie są zwykłym biograficznym frazesem, lecz jedynie zaznaczeniem istotnego faktu. Nie było tak zaciętego wroga dążeń politycznych Boerne'go, któryby nie uznał przedziwnéj nieugiętéj stałości, z jaką się ich trzymał: to też określenie „charakter" tak nierozerwalnie złączyło się z jego nazwiskiem w historyi literatury niemieckiéj, jak pojęcie geniuszu z nazwiskiem Goe-

---

(1) Por. Heine: Ludwig Börne III. — Za próbę takiéj wymowy, działającéj na masy, służyć może żartobliwe kazanie w Listach paryskich LXX.

(2) W wydawanym przez Raspail'a „Réformateur."

(3) Gutzkow: Börne's Leben, str. 29.

the'go. Ta stałość, zawsze rzadka, a gdy chodzi o przekonania prześladowane—wyjątkowa, naówczas była niemal jedyną. Najgłośniejsi pisarze splamili się dezercyą: Gentz, Arndt, Goerres, Stolberg z głosicieli idei demokratycznych przeistoczyli się w gorliwych obrońców reakcyi, Menzel z rycerza wolności stał się jéj denuncyantem, Heine nawet nie pozostał czystym, a całe rzesze renegatów *minorum gentium* zaludniały salony literackie Berlina i Wiednia. Pobudki, kierujące tymi odszczepieńcami był różne, od pospolitéj sprzedajności Gentz'a i podobnych mu istot „o wyschłym mózgu i przegniłém sercu" (1), aż do uczciwéj może ciasnoty umysłowéj, która przerażona logiką własnych liberalnych przekonań, przerzuca się w przeciwległy fanatyzm (Menzel). Niewiele dodawała otuchy osobna od tych odstępców grupa uczonych (2), którzy pomni na starą zasadę złotego środka stanęli na linii demarkacyjnéj wrogich obozów; nie cofali się oni wstecz jak poprzedni, lecz, gdy niezdecydowani przestępowali z nogi na nogę na obraném niewygodném stanowisku, nie mogli stanowić należytego oparcia przeciwko falom powracającéj reakcyi. Brakło charakterów stałych, energicznych a namiętnych i głęboko wierzących w ideały postępowe, brakło w opozycyi ludzi niezmordowanych, zuchwałych, zapalonych, brakło jedném słowem fanatyków rewolucyi, których można by było przeciwstawić z powodzeniem fanatykom reakcyi. Tym warunkom w zupełności odpowiadało usposobienie Boerne'go, im głównie zawdzięcza swe stanowisko.

Niemniéj szczęśliwie odpowiadał potrzebom chwili rodzaj jego umysłu. Wskutek warunków historycznych—a może i pewnego przyrodzonego usposobienia narodu—życie umysłowe w Niemczech przez czas dłuższy cechowało się lekceważeniem świata rzeczywistego, zwłaszcza współczesnego, obok szczególnego upodobania w abstrakcyach; jednocześnie posługiwano się wyłącznie niemal metodą syntetyczną, stosując ją w rozmiarach najszerszych, na sposób Prokrusta. Taki kierunek, szkodliwy dla nauk filozoficznych i literatury pięknéj, zgubnym się stawał w sferze spraw społeczno-państwowych, wymagających podówczas bardziéj niż kiedykolwiek liczenia się z życiem i wielkiemi jego przewrotami. A daléj—i w ścisłym związku z poprzedniém—świat duchowy Niemiec na wskroś był przesiąknięty arystokratyzmem *sui generis*, częstokroć wspaniałym, lecz niemniéj niesprawiedliwym jak każden inny. Tymczasem wobec duchowego rozwoju sąsiedniéj Francyi, wciąż natarczywszą stawała się konieczność przewietrzenia téj cieplarni umysłowéj Nie-

(1) Słowa Stein'a o Gentz'u. — (2) Rotteck, Welcker i inni.

miec i uprzystępnienia płodów jéj dla narodu. Do tego zaś potrzeba było umysłów analitycznych, obserwujących, popularnych, potrzeba ich było we wszystkich dziedzinach a szczególnie społeczno-państwowéj. Boerne był dla Niemiec jednym z pierwszych takich umysłów. Z upodobaniem zwraca się ku badaniu drobnych spraw życia codziennego, wiąże je z ogólniejszemi zjawiskami społecznemi, używając pierwszych jako probierza dla drugich. Bardziéj się stara poznać świat, niż książki, ludzi niż teorye, obserwuje tyleż co rozumuje. Pragnie uświadomić narodowi „wszystko to, co przynosi każden poranek, co pokrywa noc każda"; cały swój sposób myślenia streszcza w zdaniu, że „ludzkość istnieje dla ludzi." W ścisłym związku z takim nastrojem umysłu Boerne'go znajdowała się jedna jeszcze cecha duchowa, odczuwana przezeń ze świadomością zupełną (1), jego subiektywizm, który tak często z przekąsem mu wyrzucano, aczkolwiek główną jego siłę stanowił. Niewątpliwie ten subiektywizm przesadny nieraz doprowadzał Boerne'go do jednostronnych i niesprawiedliwych sądów; oceniając zjawiska, żywo go interesujące, częstokroć nie umiał zwrócić należytéj uwagi na towarzyszące im warunki i decydował bezwzględnie z punktu widzenia swojéj logiki a właściwie moralności. Lecz wypada zważyć z drugiéj strony, że właśnie na gruncie takiego subiektywizmu wyrosła owa niezachwiana wiara Boerne'go w głoszone przezeń idee, szczerość niesfałszowana uczucia, bezpośredniość i naturalność stylu—najwybitniejsze rysy jego ducha. Dzięki nim, jeśli często nie przekona umysłu czytelnika, częściéj jednak podbija serce, zapali, wzruszy, uszlachetni. Nikt téż z większą słusznością nie mógł powiedzieć o sobie, że „nie pisze jak inni atramentem i słowy, lecz krwią własnego serca, jądrem własnych nerwów" (2). „Śmiano by się," powiada w innem miejscu, „gdyby wiedziano, jak głęboko jestem wzruszony, gdy poruszam piórem, stąd kto pisma me kocha, mnie kocha" (3).

Zaznaczone dotychczas kontury fizyonomii duchowéj Boerne'go wyraziściéj występują w oświetleniu stosunku jego do dwóch najwybitniejszych może zjawisk współczesnéj mu literatury niemieckiéj—Goethe'go i Heine'go.

Twórca Fausta we własnéj ojczyźnie obok fanatycznych wielbicieli spotykał téż zażartych przeciwników, i podczas gdy stworzone przezeń postacie „Chińczyk drżącą ręką na szkle malował," jednocześnie niejeden rodak pisywał nieubłagane filipiki przeciwko

(1) Por. Ankündigung der gesammelten Schriften. — (2) Menzel der Franzosenfresser. — (3) Ankündigung.

największemu poecie Niemiec. Działały tu zazwyczaj osobiste urazy i gniewy koteryjne, lecz niejednokrotnie też sympatyczne oburzenie szlachetnych nawskroś, choć jednostronnych umysłów. Tego ostatniego właśnie rodzaju była opozycya Boerne'go, niesłabnąca ani na chwilę przez cały ciąg literackiéj jego działalności (1). Goethe i Boerne byli ziomkami najbliższymi, urodzeni obadwaj we Frankfurcie—jeden atoli w pierwszorzędnéj patrycyuszowskiéj dzielnicy, drugi w ciemnym i brudnym zaułku żydowskim. Stąd niekiedy starano się napaści Boerne'go objaśnić przez nienawiść osobistą upośledzonego paryi ku uprzywilejowanemu patrycyuszowi. Najniesłuszniéj atoli. Nie przeczę, że czynnik taki mógł w pewnéj mierze przyczynić się do spotęgowania niechęci, lecz przy charakterze Boerne'go (poniekąd też wobec zewnętrznych warunków) (2) nigdy nie mógł jéj wywołać sam przez się. Właściwe powody tkwią daleko głębiéj: szukać ich mianowicie wypada w przyrodzoném duchowém obu przeciwieństwie. Nie należy wprawdzie upatrywać treści tego przeciwieństwa w zetknięciu się dwóch stuleci (jak to czyni znany publicysta niemiecki (3), nader bowiem nieoględném byłoby odsądzenie Goethe'go od spółczesności i przeniesienie go całkowite do wieku XVIII. Natomiast obadwaj oni stanowią uosobienie dwóch typów ogólnych, współczesnych sobie często, lecz z gruntu zawsze sprzecznych. Henryk Heine z wielką siłą uwydatnił je pod nazwą „nazareńczyków", dla których świat jest zjawiskiem moralném, i „hellenów", którym przedstawia się jako estetyczne. Pierwsi, przesiąknięci subiektywizmem, chcą walczyć z niemoralnością wszędzie i zawsze, by zapewnić i przyśpieszyć zwycięstwo swego ideału moralnego—drudzy, obiektywni, widzą w przyrodzie całéj zjawiska równouprawnione, wybierają przypadające im do smaku a o pozostałe dbają niewiele, starając się tylko siebie od nich odosobnić. Z pośród typu pierwszego powstają męczennicy i rewolucyoniści, drugi daje artystów i uczonych arystokratyczno-egoistycznego zakroju. Kiedy pierwsi potrzebują Boga, jako sankcyi wymarzonego moralnego porządku wszechrzeczy, a nieśmiertelności duszy dla podtrzymania poświęcenia na ziemi—drugim wystarcza panteistyczny pogląd na świat, tłómaczący przyrodzony porządek zjawisk, oraz materyalna nieśmiertelność. Różnica zasadnicza, głęboka przejawia się w drobnych nawet rysach psychicznych. „Naza-

(1) Por. jeszcze w Nachgelassene Schriften 1844. I. S. 5,32. Także Aus meinem Tagebuche. II. V. X. XIV.—Kritiken XLI.—Listy paryskie XIV. LI.

(2) Boerne był zabezpieczonym majątkowo; nie liczyło się z tém wielu, którzy upatrywali w nim pospolitego demagoga, pragnącego zbogacić się kosztem posiadaczy.

(3) Carl Grün. Ludwik Börne.

reńczycy“ kochają się zazwyczaj w muzyce, téj najbardziéj subiektywnéj ze sztuk pięknych, najbardziéj samodzielnym wytworze wyobraźni ludzkiéj, negującéj dysonanse świata otaczającego a budującéj dla siebie własną harmonią. Naodwrót „hellenom“ sztuki plastyczne największych dostarczają rozkoszy—spokojnych, gdyż nie odbiegają daleko od piękna w przyrodzie; unikają zaś oni burzliwych, mącących równowagę ducha wrażeń muzycznych.

Przyglądając się baczniéj tak nierównym wzrostem postaciom Goethe'go i Boerne'go, nietrudno dopatrzyć się w nich wszystkich niemal rysów charakterystycznych dwóch zaznaczonych kierunków ducha ludzkiego. Chrystyan Schlosser słusznie powiedział o Goethe'm, że „nie rozumie muzyki, boi się śmierci i nie ma religii,“ a zdaniem przenikliwego Sainte-Beuve'a „Goethe zrozumiał wszystko, oprócz Leonidasa i Pascal'a.“ Nie zrozumiał również idei rewolucyjnéj, lub nie chciał jéj zrozumiéć, ani w r. 1789 ani w 1830; nie odczuwał radości i bólów własnego narodu, „pośród którego najzupełniéj jest izolowanym“ (1). Żywo natomiast odczuwa piękno plastyczne i głęboko wnika w jego istotę przy zupełnéj dojrzałości filozoficznéj. Wprost przeciwnie Boerne w sztukach plastycznych najmniejszego nie ma upodobania, kiedy w muzyce znajduje rozkoszny odpoczynek. Ubóstwia Mozarta, o którym powiada, że „stworzył by sam muzykę, gdyby jéj niebo nie stworzyło“ (2). Wierzy w Boga: „czémże jest najszczęśliwszy człowiek bez wiary religijnéj? pięknym kwiatem w szklance wody bez korzenia i *trwałości*... Lecz ja mam mego Boga“ (3). Różnice takie w dalszém swém rozwinięciu tworzą zasadniczy kontrast duchowy, który wystarczająco tłómaczy nieprzyjaźń i czyni zbytecznemi wszelkie posądzenia prywatnéj natury.

Stosunek Boerne'go do Henryka Heine'go, również wrogi, równie téż nie był wolnym od takich posądzeń. Nie były one zresztą pozbawione uzasadnienia. Dwóch wybitnych przywódców myśli rewolucyjnéj w Niemczech wszystko winno było zbliżać i łączyć: obadwaj ochrzceni żydzi, obadwaj wygnańcy w jednéj przemieszkujący stolicy, posiadający znaczny zastęp wspólnych czytelników, wspólnych przyjaciół, a przedewszystkiém wrogów, działali oni

(1) Słowa Goethe'go do pani Stein.

(2) Briefe aus Frankfurt. IV. Por. Ankünd. der Wage. Podczas dłuższego pobytu w Monachium nie może „rozgrzać się dla sztuk plastycznych“ Nchglss. Schriften II. S. 261 ff., w Paryżu nie wspomina o dworze a zachwyca się Malibran i Lablache'm i domyśla się geniuszu w Berliozie. Listy paryskie XVI i inne. Sam grał na flecie.

(3) Listy paryskie XLII por. zresztą niżéj.

w jednakowym kierunku i przy warunkach jednakich. Jeśli pomimo to, zamiast zgodnéj działalności ręka w rękę, wywiązał się między nimi antagonizm wzajemny, do nienawiści niemal dochodzący, to napozór pozostawało tylko szukać objaśnienia w rywalizacyi zazdrosnéj oraz innych pobudkach, zaczerpniętych z życia czysto prywatnego. I tutaj, jeśli w tłómaczeniu takiém znajdzie się doza prawdy pewna, może nawet znaczna (zwłaszcza ze względu na Heine'go), zawsze jednak okaże się ono niewystarczającém w zastosowaniu do ludzi téj miary duchowéj. Dla uzupełnienia i w tym wypadku zwrócić się wypada do tego, co się wypowiedziało powyżéj z powodu Goethe'go, aczkolwiek z pewnemi modyfikacyami. U Heine'go, podobnież jak u Goethe'go, odnajdujemy dominujący element „hellenizmu" i wszystkie tegoż przejawy, upoważniające do wniosków analogicznych z poprzedniemi. Wszelako „hellenizm" ów u Heine'go nie jest już czystym i konsekwentnym goethowskim, lecz zabarwiony silną, potęgującą się z postępem czasu domieszką „nazarenizmu," któréj bodaj czy nie wypadałoby w znacznéj mierze na karb pochodzenia nowożytnego Arystofanesa położyć. Obok więc lubieżnych postaci nimf i satyrów staje u Heine'go wspaniałe widzenie ekstazy religijnéj, a pośród głosów niewiary i nawoływań do raju ziemskiego odzywa się pobożna pieśń pielgrzymów. Toż samo w polityce i moralności, gdzie Heine rewolucyonista w dziwny sposób zlewa się z Heine'm epikurejczykiem—toż samo w sztuce, kiedy po pięknéj ocenie Delaroche'a lub Ary-Scheffera daje nam świetną Chopin'a i Paganiniego. Takie naturalne połączenie dwóch kierunków, czyniąc często wrażenie odszczepieństwa od jednego z nich, bardziéj jeszcze razić musiało Boerne'go, niż wrogi mu, lecz stały kierunek Goethe'go i moralnie upoważniało do najostrzejszego wystąpienia (1).

Tak więc w obydwu wypadkach, które tylekroć były powodem ciężkich przeciw Boerne'mu zarzutów, odnajdujemy jedynie logiczne przejawy konsekwentnéj organizacyi duchowéj.

III. Beletrysta i krytyk.

„Pisma zbiorowe Ludwika Boerne'go" składają się z kilku niewielkich tomików, zawierających mnogość nieprzebraną utworów

(1) Poraz pierwszy w listach paryskich CIX. CXV.—Późniéj w Réformateur, w krytyce De l'Allemagne Heine'go, dzieła drukowanego w Revue des deux mondes. Heine odpowiedział dopiero po śmierci Boerne'go w „stylistycznèm arcydziele" (Carrière) „Heinrich Heine *über* Ludwig Boerne," co Gutzkow dowcipnie przetłómaczył przez „supra". Rzecz ta niewątpliwie w wielu miejscach trąci paszkwilem; swoją drogą posiada pierw-

drobnych, formy i treści najrozmaitszéj: listy, kartki z dziennika, krytyki, mowy, aforyzmy, prospekty, powiastki, polemiki, szkice podróżne itd. Boerne sam wyznaje chętnie, że „nie był pisarzem książek, lecz kartek“. Nie są to wszakże pośpiesznie zadrukowane karty gazeciarskiéj bibuły, dziś przelotem czytane, jutro na wiatr rzucone; niejedna z nich godną jest zaszczytnego miejsca pomiędzy stronicami wielkiéj księgi literatury nowożytnéj. Dziś jeszcze, w półwiekowéj przeszło odległości, szlachetny zapał, tchnący z pism Boerne'go, rozgrzewa nas i porywa, niejedna doniosła prawda, niedoceniona jeszcze lub już lekceważona, wyłania się z przekonywającą jasnością, a piękna, często artystyczna forma zdolną jest przykuć i skupić uwagę szerszych kół czytelników. Po za literacką wartością pisma Boerne'go posiadają ważniejszą jeszcze historyczną: określono go słusznie jako „uosobienie współczesnéj mu opinii publicznéj“. Jeśli niepodobna, jak rzekliśmy, zrozumiéć Boerne'go bez historyi jego epoki, to naodwrót też przy jego pomocy staje się ona jaśniéj i głębiéj zrozumiałą. Z takiém zastrzeżeniem można, zgodnie z dowcipném określeniem Gutzkowa, rozpatrywać pisma Boerne'go jako jedno wielkie pismo peryodyczne i rozróżniać w niém trzy działy zasadnicze: beletrystyczny felieton, krytykę i polityczne artykuły wstępne. Trzymając się takiéj klasyfikacyi zapoznamy się obecnie z trzema temi działami w porządku powyższego wyliczenia, odpowiadającym mniéj więcéj chronologicznemu.

W urozmaiconym najbardziéj „felietonie“ napotykamy przedewszystkiém utwory quasi-beletrystyczne, nieliczne zresztą i niewielkie, dla których trudno znaleść miano odpowiedniejsze. Jakkolwiek niegdyś wysoko je ceniono (1), nie przedstawiają one same przez się żadnéj prawie wartości; są to niezdarne nowelistyczne traktaty o kwestyach, które późniéj roztrząsane bywały przez Boerne'go z większą bezporównania siłą w formie bardziéj dla jego talentu odpowiedniéj. Nieudolne te próby posiadają jednakże znaczenie z tego względu, że ujawnia się w nich w sposób widoczny wpływ pisarza, któremu Boerne najsilniéj może i najdłużéj podlegał. Mówię o Jean Paul'u, dziwaczném zjawisku literatury nowożytnéj, którego Heine mianuje „bredzącym polihistorem z Bayreuth'u,“ a Taine „afektowanym błaznem“, kiedy dla Carlyle'a jest on „prorokiem i olbrzymem“ a dla Boerne'go „kapłanem i gwiazdą przewo-

---

szorzędne piękności nietylko stylu, lecz i myśli, i niesłusznie przez przyjaciół poety bywa ignorowaną. Prócz tego Heine odmalował Boerne'go w „Nocach florenckich“ pod postacią „małego Simsona“, lecz w kreacyi poetycznéj jad się ulotnił.

(1) Por. Gutzkow. l. c. 151. Jeszcze nawet Carrière...

dnią.“ „Jean Paulo’wi zbywa na sztuce plastycznéj,“ powiada gruntowny estetyk niemiecki, „jestto natura muzykalna“; w związku z tém, co poprzednio powiedziałem, tłómaczy to po części rażącą sprzeczność sądów. W przesadném uwielbieniu dla Jean Paul’a, Boerne przejął się jego sentymentalizmem i zachował formę, umyślnie zawikłaną, daje się to uczuwać szczególnie we wspomnianych próbach nowelistycznych. W następstwie, przy pomocy wrodzonego zmysłu realistycznego oraz lektury francuskiéj zdołał się otrząsnąć od tych niepożądanych nabytków, a natomiast zachowując całą szczerość i siłę uczucia, nauczył się od Jean Paul’a oprawiać je w ramy humoru (1). Dowód głębokiego wniknięcia w ducha Jean Paul’a dał Boerne w swéj wspaniałéj mowie, poświęconéj pamięci zgasłego w r. 1825 poety, gdzie w jasnych a wzniosłych słowach streścił istotę jego twórczości i określił znaczenie jéj dla Niemiec. Upatruje w nim „Jeremiasza spętanego narodu“. „Humorysta w dzisiejszych czasach“—powiada w tém arcydziele stylu, myśli, a zwłaszcza uczucia—„kiedy nie wolno uderzać w święty dzwon prawdy, wypowiadają niepodejrzanym głosem dzwonków błazeńskich.“ Zrozumienie humoru zupełnie specyalne: polityczne zamiast zwykłego estetycznego. W takim właśnie duchu napisał Boerne nader popularną „Monografią niemieckiego ślimaka pocztowego“, gdzie pośród najzabawniejszych dzwonków przebija ostra nuta satyry politycznéj. Brzmi ona odtąd bez przerwy w niezliczonych drobniejszych urywkach „felietonowych“, bez względu na to, czy w nich mowa o dąsach kobiecych, czy o podwyższeniu ceny wejścia do teatru frankfurckiego. Słusznie tłómaczy się z tego: „historya pulsuje w sprawach codziennych, i lusterko groszowe odbija jéj wizerunek również wiernie, jak wspaniałe zwierciadło filarowe.“ Lusterka Boerne’go były gładkie i czyste i dokładnie odźwierciadlały brzydką rzeczywistość—więcéj o nich powiedziéć się nie daje i więcéj też sam on nie pragnął.

Pokaźniéj bez porównania przedstawia się krytyczna działalność Boerne’go. Składają się na nią recenzye teatralne, zebrane w „Kartkach dramaturgicznych“ i oceny dzieł współczesnych z zakresu literatury popularnéj, stanowiące spory zbiór „Krytyk.“ Do ostatnich zaliczyć wypada również kilka „Listów paryskich“ oraz niektóre artykuły, umieszczane w czasopismach francuskich.

Krytyki teatralne Boerne’go przenikliwością i dowcipem od pierwszéj chwili zwróciły na siebie w Niemczech powszechną uwa-

---

(1) Z tém wszystkiém komiczne niemal czyni wrażenie, gdy chcą postawić na równi ucznia i mistrza (Müllner); Boerne’mu całkowicie zbywało na poetyckiej wszechstronności Jean Paul’a, którego przewyższał rozsądkiem i trzeźwością.

gę. Nie wahano się zestawiać go z Lessingiem (1) — dając tém dowód zupełnego braku zrozumienia jednego i drugiego. Lessing miał na oku cele czysto literackie: szło mu wyłącznie o to, że Orosman mniéj wart niż Otello, że Wolter nie znał się na klasykach i nie rozumiał Arystotelesa, że Niemcy winny zdobyć się na teatr narodowy—ze względów estetycznych. Zużywa do swéj krytyki teatralnéj olbrzymią erudycyą i żywi niezłomne przekonanie, że „zasady dramaturgii są również nieomylne, prawdziwe i pewne jak twierdzenia Euklidesa.“ Dla Boerne'go tymczasem „w sztuce dramatycznéj przedewszystkiém odźwierciedla się życie, a gdy mu obraz odbity sprawia obrzydzenie, wtedy gniewny rozbija zwierciadło w kawały“ (2). Niezmiernie wrażliwy na wszelkie sprawy życia publicznego, przykłada do nich miarę, wziętą od Rousseau'a i wielkiéj rewolucyi i otrzymuje wnioski rozpaczliwie ujemne; radby oburzenie swe narodowi całemu wszczepić, a musi je w sobie zamknięte nosić. Szuka tedy dla buntowniczych myśli szaty takiéj, która, nie rażąc wzroku czuwających argusów, zwracałaby jednocześnie uwagę tłumów — i znajduje ją w krytyce teatralnéj. Przybrany w poważną suknię recenzenta, bez trudu przedostaje się za kordon; nic łatwiéjszego wtedy dla czytelnika, jak wydobyć zaszytą w jéj fałdach kontrabandę. Najlepsze recenzye teatralne Boerne'go dobitnie taktykę tę ilustrują. Weźmy np. ciekawe jego uwagi o Hamlecie szekspirowskim, rzecz godną dziś jeszcze uważnego odczytania (3). Niebawem dostrzeżemy, że mamy przed sobą nie tyle krytykę Szekspira ile Hamleta, i znowu nie tyle Hamleta sztuki, bohatera tragedyi, ile uosobionego w nim typu i kierunku odpowiadającego mu we współczesnéj krytykowi rzeczywistości. Boerne jakby zapomina, że ma do czynienia z tworem wyobraźni poetyckiéj; zwraca się bezpośrednio do Hamleta z gniewem, żalem, szyderstwem, czyni mu gorzkie wyrzuty, daje nauki. „Hamlet nie powinien skrytobójczo zabijać króla; winien światu ogłosić jego zbrodnię i stanąć na czele ludu, który łatwo daje sobą powodować i nieprzychylnie usposobionym jest dla króla, jak okazało się z przykładu Laertesa“ (4). Zastosowanie nietrudne, króla nie należy szukać aż w Danii. W postaci monologującego Hamleta oglądamy przy pomocy Boerne'go całe Niemcy, bawiące się filozofią zamiast zrobić rewolucyą; to też

(1) Wróg polityczny Gentz, inteligentna pani Varnhagen i inni. Zainteresowanie się pismami Boerne'go wyrażało się wogóle przesadnemi porównaniami. Porównywano go z Byronem (!), Swiftem (Gutzkow), Pawłem Courier (Raspail). Ostatnie zestawienie najtrafniejsze stosunkowo. — (2) Dramaturgische Blätter. Vorrede. — (3) Pracował nad nią długo i jak się sam wyraził: „musiał kopać głęboko.“ Gutzkow l. c., str. 129. — (4) Dram. Bl. LXVII. Por. téż ib. w XXXVII.

„trzeba geniuszu, aby będąc Anglikiem napisać Hamleta; Niemiec potrzebował by do tego tylko czytelnego charakteru pisma.“ W inném miejscu wprost zestawia „Sanda, przebijającego Kotzebuego, z Hamletem, gdy morduje Poloniusza.“ Ostatecznie czytelnik ze zdumieniem w krytyce teatralnéj Hamleta doprowadzonym zostaje do wniosku, nie mającego nic wspólnego ani z Szekspirem, ani z teatrem, ani z krytyką, a mianowicie, że „na tym niecnym świecie cnota winna posiadać siłę, by miała moc sprzeciwiać się zbrodniczym uroszczeniom, winna orężem choćby piekła bronić praw nieba.“ I tu zastosowanie nietrudne. W podobny zupełnie sposób, w analizie dramatu ludowego Szyllera, chłosta szwajcarskiego bohatera z XIV stulecia za wady Niemców XIX. Tell, to małomieszczanin pełen uniżoności dla szlachty, filister, „który wobec nieskończonéj nędzy ludu waży swe słowa i czyny na drachmy,“ niezdarny filozof, człowiek dobrodusznego namysłu. Śród zgromadzonych na Rütli sprzysiężonych brak Tella; chce on działać osobno, na własną rękę, nie rozumie potęgi zbiorowego oporu przeciw ciemięzcom, „wyróżnia się zbyt monarchicznie.“ Wobec utworów o treści zaczerpniętéj z niedawnéj przeszłości, Boerne znajduje sposobność jaśniéj jeszcze zaznaczyć upozorowane krytyką tendencye. Tak w surowéj ocenie pięknego poematu dramatycznego Immermanna (1) nielitościwie wyśmiewa Tyrolczyków za ich ślepe przywiązanie do dynastyi Habsburgów, którzy wzamian za tę „psią miłość“ wydali Tyrol na pastwę nieprzyjaciela. Porównywa Niemców z Hiszpanami w walce przeciw Napoleonowi; pierwsi walczą „nakręceni na dobę“ i giną po stracie wodza (Hofera), drudzy powstają z własnego popędu, trzymają się energią narodu, nie jednostek. Sens moralny i tutaj najbardziéj niespodziewany: „Niemcy myślą dobrze a źle mówią, dużo mówią a niewiele czynią, cośkolwiek czynią a niczego nie wykonywają.“ Estetyki w konkluzyi takiéj mało, lecz zawierała się w niéj trafna a zwięzła charakterystyka niedojrzałości politycznéj narodu.

Danych przykładów starczy dla postawienia we właściwém świetle krytyki teatralnéj Boerne'go. Pomimo atoli cech tak wyraźnych, prawdziwe intencye Boerne'go dla ograniczonych krótkowidzów często ginęły; doprowadzało go to do ostatniéj pasyi. „Istotnie nie jestem w stanie pojąć, jak w obecnych czasach można troszczyć się o deski teatralne, kiedy historya dnia każdego dowcipniejszą jest od Moliera i wznioślejszą niż Szekspir... Zapalcie lampy i odczytajcie ze sceny gazetę, — cóż mógłby Esslair dać lepszego?

(1) „Tragedya w Tyrolu.“ Ib. XXXVII.

A tu ci ludzie mówią zemną o Müllnerze, Grillparzerze, Ifflandzie, o starożytnéj i nowożytnéj poezyi, że niemal dyabli mnie biorą. Na Boga, czyż w istocie mój sposób pisania pozwala przypuszczać, że robię sobie cośkolwiek z teatru i podobnych bzdurstw?" (1). Nieporozumienie takie ze strony czytelników możliwém było tylko względem krytyk teatralnych; w innych Boerne miał możność odpowiednim doborem przedmiotów krytyki ułatwić znakomicie właściwe swe zadanie. Z kilkudziesięciu dzieł, które poddał ocenie, połowa przeszło jest treści politycznéj; zresztą beletrystyczna treść drugiéj połowy bynajmniéj go nie krępuje i mówi o podatkach z okazyi fantazyi astronomicznych, a o wolności z powodu romansów Cooper'a. Podobnież, gdy wspomina o Horacym, pamięta, że uciekł z pod Filippi, a z literatury klasycznéj życzy sobie widziéć rozpowszechnionego Swetoniusza. Nie należy jednak sądzić, aby taki charakter działalności krytycznéj był w związku z istotnym brakiem talentu krytycznego. Ilekroć Boerne staje przed nami jako krytyk literacki czysto, prawie zawsze wykazuje wielką przenikliwość i trafność sądu, umie w razie potrzeby głęboko wniknąć w daną kwestyą estetyczną, a przytém — co niemniéj może koniecznym winno być przymiotem krytyka — nigdy nie rezygnuje ze zdrowego rozsądku (2). W każdym razie wskutek braku należytéj wiedzy, Boerne pozostaje na tém polu zdolnym tylko dyletantem, do czego zresztą ze zwykłą otwartością sam się przyznawał (3).

IV. Pisarz polityczny.

Pierwiastek polityczny, ukryty dotychczas w pismach Boernego pod przejrzystemi obsłonkami, wzmacnia się stopniowo i występuje w formie bardziéj już określonéj w niektórych fragmentach czysto politycznych (4). Jednocześnie Boerne starał się pogłębić i lepiéj uzasadnić swe przekonania przez studya specyalne z dziedziny nauk państwowych (5). Nie zatrzymując się na każdym urywku z osobna (wykazują one zresztą zarówno w duchu jak i stylu silny wpływ Rousseau'a), przyjrzymy się bliżéj ostatecznym tylko z nich

---

(1) Nchgl. Schriften II, 45, 46. Esslair, znakomity tragik ówczesny. Por. Listy paryskie XVIII. — (2) Zasługują na uwagę w Dramat. Bl. IV, LXIII, LXIV. Także w Listach paryskich LXXXVII, LXXXIX, XCI. — (3) „Was Aristoteles, Schlegel und Andere der dramatischen Kunst befohlen oder verboten, mir war es fremd. Ich war ein Naturkritiker." Dram. Bl. Vorrede. — (4) Schüchterne Bemerkungen über Oesterreich und Preussen. Gedanken über ständische Verfassung. Die Freiheit der Presse in Baiern 1 inne. (5) Über die geometrische Gestalt des Staatsgebiets. Von dem Gelde. Über das Princip der Besteuerung. Finanzwissenschaft. Über den Ackerbau.

wnioskom. Wnioski te sprowadzają się do dwóch żądań następujących: na zewnątrz—najściślejszego zbliżenia Niemiec do Francyi; na wewnątrz — monarchii konstytucyjnéj na wzór angielskiéj lub francuskiéj.

Określiliśmy powyżéj Boerne'go jako głos opinii publicznéj. Obecnie więc staje się przedewszystkiém rzeczą godną zastanowienia, w jaki sposób opinia publiczna w Niemczech, a z nią i Boerne, po ćwierćwiekowéj śmiertelnéj walce mogła żądać zbliżenia do Francyi. Zjawisko to ciekawe tłómaczy się bez trudu po rozważeniu właściwego charakteru owéj walki, a więc właściwego stosunku Niemiec do rewolucyi francuskiéj. Owóż rewolucya 1789, wrogo przyjęta w Niemczech przez miniaturowych despotów, przywitaną została przez naród okrzykami sympatyi i entuzyazmu, o których wiemy wprawdzie niewiele, gdyż natychmiast starannie przyduszone zostały z góry. W Hamburgu uroczyście święcono 14-go lipca: dziewice w bieli i chóry otaczają Klopstocka, odczytującego dziękczynne ody okolicznościowe, grzmi muzyka tryumfalna i przy biciu z armat zgromadzone tłumy piją za powodzenie przyszłéj rewolucyi niemieckiéj. Goethe opowiada jak w tymże czasie w miejscowościach nadreńskich Niemiec widział wszędzie wystawione biusty Lafayette'a i Mirabeau. Wysyłano deputowanych do zgromadzenia narodowego w Paryżu, by wyrazić wdzięczność narodowi francuskiemu w imieniu niemieckiego, brać udział w obradach ogólnoludzkich, uczyć się postępowania na przyszłość. Szyller i Klopstock otrzymują dyplomy obywatelstwa francuskiego, a szlachetny i nieszczęśliwy Adam Lux, obywatel Moguncyi, godnie zajmuje w śmierci chlubne miejsce obok żyrondystów. Wynikało z takiego stosunku dwóch narodów, że początkowo przeciw rzeczypospolitéj i jéj „uzbrojonym misyonarzom" występowały tylko rządy niemieckie (1), prawdziwy zaś ruch narodowy mógł powstać późniéj dopiéro przeciwko Napoleonowi (2) i jego „niewolniczym żołdakom." Udało się wprawdzie fanatykom (jak Arndt, Görres i inni) ruch ten w chwili zażartości największéj skierować przeciwko wszystkiemu co francuskie, lecz nie udało się im go utrwalić. Ledwie upłynęło lat kilka od ostatecznego upadku Napoleona, a już sztucznie rozdmuchana nienawiść pod wpływem gorzkich rozczarowań, o jakich wzmiankowaliśmy, ustąpić musiała niedawnym odżywionym sympa-

---

(1) „Unter zweideutigern Wünschen war sicher nie ein preussisches Heer über die Gränze gezogen, als dasjenige, welches in der Mitte des 1792 sten Jahres sich gegen Frankreich bewegte." Nchglss. Schr. II, str. 306. — (2) Cesarzowi; na cześć pierwszego konsula jeszcze w roku 1803 pisał Beethoven „Symfonią heroiczną."

tyom. Zasługa uświadomienia sobie i narodowi konieczności takiego zwrotu ku Francyi, skąd jedynie paść mogły do Niemiec promienie idei nowych, należy się Boerne'mu przed wszystkimi innymi.

Bez trudu również wytłómaczyć się daje drugi zaznaczony punkt ówczesnego wyznania politycznego Boerne'go. Naturalnym i łatwym był entuzyazm widzów europejskich dla pierwszych aktów dramatu rewolucyjnego we Francyi, ostatnie wszakże z krwawemi swemi efektami trudniéj daleko dawały się zrozumiéć i ocenić. Epilog napoleonowski zgoła wrażenia nie polepszał. Wolał więc Boerne zatrzymać się na konstytucyi 1791 r. w przekonaniu, że przy pomocy pewnych jéj modyfikacyi (dwie izby na miejscu jednéj, pozostawienie królowi niektórych ważnych atrybucyi, utrudnienie zmian konstytucyjnych i t. p.) możliwém będzie ustrzedz się dalszych niebezpiecznych następstw. Opierał się przytém na żywym przykładzie współczesnéj mu Anglii, dzielnie broniącéj spraw wolności (1) pomimo niedogodnych warunków, oraz Francyi restaurowanéj, która zdaleka i w porównaniu ze stosunkami niemieckiemi wydawała się nader godną zazdrości. Atoli to złudzenie optyczne miało trwać niedługo: wybuch lipcowy rozwiał je w mgnieniu oka i Boerne, przerzucony do Paryża, rozpoczyna nowy okres natężonéj działalności szeregiem „Listów paryskich.“ Nad tym najtrwalszym może pomnikiem jego umysłu wypada obecnie zatrzymać się nieco dłużéj.

„Listy paryskie“ Boerne'go do pani Strauss w liczbie 115 obejmują okres niespełna trzechletni od 1830 do 33 roku. Już ze względu na stronę zewnętrzną należy postawić je wyżéj, niż wszystkie poprzednie jego pisma. Uczucia i myśli krępowane dotychczas, znajdują wreszcie ujście w prawdziwie wolném słowie; wobec gwałtownego przejścia styl odrazu nabiera energii i barwności, wymagających przy warunkach zwyczajnych długiego dopiéro namysłu i starannéj pracy. Resztki jean-paulowskiego sentymentalizmu znikają pod tchnieniem szerokiego życia „stolicy świata“; podobnież słabnie zbytnie upodobanie do porównań, obrazowości, również przejęte od Jean-Paul'a. Pod względem piękności stylowych odznacza się szczególnie ostatnia serya „Listów“, pisana z większą rozwagą niż namiętne pierwsze: harmonijne a wymowne okresy przeplata krótka i śmiała antyteza, porównania powściągliwie używane nabierają trafności i wykończenia, błysk rzetelnego humoru, zawsze w miejscu właściwém, mile okrasza całość. Już w pierwszych jednak listach Boerne umie podnieść się do wysokich uogólnień po-

(1) Znlesienie niewolnictwa, emancypacya katolików.

litycznych; przytém urozmaica je, ilustruje niejako, barwnemi obrazkami paryskiego kalejdoskopu, które wiernie i żywo oddaje, zastępując brak zmysłu plastycznego spostrzegawczym.

Odrębne stanowisko „Listów“ staje się wyraźném przy zestawieniu ich ze „Szkicami paryskiemi,“ gdzie opisuje drugi swój pobyt w stolicy Francyi. Ciekawy podróżnik z r. 1822 ustępuje w 1830 całkowicie zagorzałemu pisarzowi politycznemu; obserwacye, które były celem dla pierwszego, stają się dla drugiego jedynie drugoplanowemi akcesoryami. Paryż zawsze jest skarbcem duchowym Europy; podówczas przedstawiał w dodatku zajmujący widok nowego rozkwitu literatury i sztuki francuskiéj, podwójnie zajmujący dla ex-krytyka z powołania. Lecz Boerne, opanowany polityką, niewiele się troszczy o sprawy, nie mające z nią związku, literatura, jako taka, przestaje go zajmować. Nie poddaje nigdzie krytyce tak wybitnych zjawisk jak Balzac lub George Sand (1), bada natomiast namiętnie Chateaubriand'a i zachwyca się Béranger'em. Pomija milczeniem Delacroix i Vernet'a, lecz podziwia panoramy scen rewolucyjnych. Nawet muzyce, którą kocha i rozumie, nie poświęca zbyt czasu i uwagi. Uczęszcza wprawdzie do teatru, lecz tłómaczy się z tego: „teatr tu, w Paryżu, to szkoła dla cudzoziemców, gdzie poznać mogą historyą starożytną i nowożytną, miejscowości, statystykę, zwyczaje i obyczaje Paryża“ (2). „Nie jestem cukiernikiem, jestem aptekarzem“ (3) odpowiadał na zarzuty jednostronności i miał słuszność, gdyż dla Niemiec potrzebniejsze były wówczas leki niż słodycze; bez względu téż na gorzki smak „Listów“ pochłaniano je chciwie.

Wspomnieliśmy już o przygnębiającém rozczarowaniu, jakie nastąpiło w Niemczech po rewolucyi lipcowéj. Przenikliwy Boerne odczuł je jeden z pierwszych i zbadawszy grunt w Paryżu, niezwłocznie znalazł wytłómaczenie. Rewolucya ujawniła braki arystokratycznéj monarchii konstytucyjnéj, niedostrzeżone przezeń zdaleka; obecnie na miejscu naocznie przekonał się o organicznych wadach burżuazyjnéj. Uogólniając bez długiego namysłu, Boerne rzuca swój dotychczasowy ideał konstytucyjno-monarchiczny wraz ze wszystkiemi dopełnieniami, by zastąpić go wprost republikańskim. Już pod datą 3 listopada 1830 r. pisze: „położenie staje się nie do zniesienia; zostaję republikaninem, od czego dotychczas byłem tak daleki,“ a 9-tego przewiduje konieczność nowéj rewolucyi (4). Waha się jednak jeszcze, gdyż nie wié, czy forma republikańska rządu „bę-

(1) Jednak znał obydwóch i wogóle czytał dużo. Listy paryskie LXXX. LXXXII LXXXV. — (2) Ib. XLV. Por. także XLI. — (3) Ib. LIX. -- (4) Ib. XII. XIII.

dzie zdrową dla naszéj wyniszczonéj części świata.“ Atoli sprawy europejskie i zachowanie się względem nich rządu francuskiego nie dopuszczały długiego wahania. Gorączkową tę epokę Boerne gorączkowo przeżył, przyjmując duchowo najżywszy udział we wszystkich walkach, łudząc się wszystkiemi nadziejami, odczuwając wszystkie rozpacze. „Żaden minister w Europie“ powiada o sobie, żartobliwie, lecz niemniéj słusznie, „nie ma tyle kłopotów, co ja; nie wiem, w którą stronę świata pierwéj się zwrócić“ (1). Najboleśniéj dotknęły go sprawy polskie, za któremi z natężoną uwagą śledzi i którym najpiękniejsze stronice listów swych poświęca; czytając te słowa, pisane drżącą od wzruszenia ręką, przeżywa się w kilku chwilach „najważniejszy akt tragedyi nowoczesnéj“ (2). Nic bardziéj wzruszającego, jak dwa listy z 5 i 6 marca 1831 r. (3): po zwątpieniu zupełném tryumf krótkotrwały (4). Interesującém jest, co z bólem mówi o Niemcach w Polsce zamieszkałych: „w jednéj Warszawie znajduje się 10000 Niemców, którzy jedyni tylko nie życzą sobie ani ojczyzny ani wolności, przybywają tysiącami do Polski, chlebem jéj się karmią i opuszczają ją zbogaceni“ (5). Rzecz prosta, że winę upadku zarówno Polski jak i Włoch w całości zwala na Ludwika Filipa; odtąd téż wziął rozbrat stanowczy z „judaszowym“ systemem monarchii konstytucyjnéj.

Patrząc na świat z Paryża, skąd szeroki rozciągał się przed nim widnokrąg a oko swobodnie wszędzie przenikać mogło, Boerne ogarniał wzrokiem wszystkie niemal ludy europejskie w walce z ich rządami, dającéj się pomimo różnych form, w jakich się przejawiała, sprowadzić do wspólnego mianownika dążenia ku wolności. Belgijczycy, Hiszpanie, Niemcy, Włosi, Francuzi, Polacy, Anglicy, wszyscy do jednorodnych w zasadzie dążyli celów, acz drogami różnemi. Zbyt jednostronnie pojmując owe cele, nie właściwie je zbliżając, Boerne z takiéj wspólności powszechnéj interesów wyprowadza, jako dający się urzeczywistnić ideał, połączenie ścisłe wszystkich narodów, które umożebni każdemu osiągnięcie wolności idealnéj. Rządy, przewidując taki skutek zbliżenia się narodów, usiłują przeciwdziałać mu przez podsycanie uczuć patryotycznych a więc i niena-

---

(1) Ib. XVIII. — (2) Ib. XIX. Nazywa rewolucyą „zorzą wieczorną wolności“ LV, „welinową stronicą historyi“ XXXI. Por. list XVII, gdzie przy pierwszéj wiadomości wyraża obawy; również XVIII i XX. W XXI już żywi nadzieje, w XXXI znowu wątpi: „Wer jetzt einen Gott hat, der bete, und wer beten kann, der bete nur für die Polen.“ (3) XXXIX i XL. — (4). Listy te pisane były pod wrażeniem zmiennych wiadomości o walkach lutowych, zakończonych bitwą pod Grochowem. — (5) Ib. XLIII. O sprawach polskich por. jeszcze XXII. XXIV. XXXIII. XL. XLIV. LVI. LVIII. LXIX. LXXIII. XC.

wiści międzynarodowych. W ten sposób Boerne, pod wpływem pobytu w Paryżu, gdy z jednéj strony z konstytucyonalisty staje się republikaninem, z drugiéj dawniejszą swą myśl zbliżenia Niemiec i Francyi rozszerza do rozmiarów kosmopolitycznych. Obiedwie te idee, republikanizmu i kosmopolityzmu, powstałe u niego na gruncie rozumowań czysto politycznych, miał dopełnić wkrótce ze źródeł zupełnie innych.

Zasadniczym artykułem wiary politycznéj Boerne'go była wolność nieograniczona jednostki. „Człowiek urodzony jest dla wolności" powtarza za Rousseau'em (1), lecz, skrajniejszy jeszcze od niego, inaczéj zapatruje się na ograniczenie jéj w państwie. Zamiast dobrowolnéj umowy fikcyjnéj, która jednocześnie wszystko odbiera i pozostawia, Boerne już w pierwszym zawiązku społecznym widzi ograniczenia rzeczywiste, uciążliwe i przypisuje powstanie ich instynktowi, „naturze," „opatrzności." Lecz jeśli ograniczenia te były konieczne w stanie pierwotnym, to obecnie dążyć należy do zupełnego ich zniesienia. „Państwo jest tylko kolebką ludzkości", a „prawa winny być tego rodzaju, by mogły z czasem stać się zbytecznemi"—przez wpojenie obywatelom idei „prawności" (Gesetzlichkeit), która jedyna może je zastąpić bez uszczerbku dla wolności jednostek. Tą drogą Boerne dochodzi do zasady Montesquieu'go „*il ne faut pas trop régner*" i stawia ją jako fundamentalną, „rozwiązującą wszystkie zagadnienia spółczesne, zawierającą w sobie całą nędzę i ratunek, całą zgubę i zbawienie" (2). Wszelki rząd jest tyranią jednostek lub praw; „prawdziwa wolność powstać może jedynie z anarchii," republika zaś jest środkiem do osiągnięcia tego ostatecznego celu. Jednak na takim szczycie jednostronności politycznéj długo pozostawać było niepodobieństwem bez optymizmu nieograniczonego lub zupełnéj ślepoty na zjawiska otaczającego życia. Boerne'mu wkrótce nasuwać się poczęły poważne wątpliwości: czyż wolność absolutna w rzeczy saméj jednakową będzie dla głodnych i sytych? Lyońskie rozruchy robotnicze stawiały to pytanie w sposób straszliwie namacalny. Powoli Boerne dostrzega zjawiska niezmiernéj wagi, które ignorował dotychczas. Na panoramach, wyobrażających wypadki rewolucyjne widzi tylko walczących nędzarzy, a odnaleść ich nie może w izbie deputowanych. Okazuje się, że „prawo wyborcze oparte jest na posiadaniu," że „bogacze robią prawa i rozkładają podatki," wskutek czego „z dwudziestofrankowéj butelki wina państwo pobiera tyleż co z ośmiosusowéj"; że „zapomocą loteryi państwo kradnie corocznie 30 milio-

---

(1) Fragmente 241. — (2) Kritiken V. Jedno z najciekawszych pism Boerne'go.

nów franków z kieszeni wyrobników", że „cholera dotyka nędzarzy, unikając zabezpieczonych bogaczów", że „rozpoczyna się straszliwa wojna biednych przeciw bogatym", że wreszcie „biedacy nigdy nie byli wolni" (1). Wobec spostrzeżeń takich idea wolności, jako uniwersalna i wystarczająca sama przez się, ostać się nie mogła i Boerne dopełnia ją przez zasadę saint-simonistów: „urządzenia społeczne winny być skierowane ku polepszeniu stanu moralnego, fizycznego i umysłowego klas najliczniejszych i najbiedniejszych" (2). Trudność polegała jedynie na połączeniu takiego „kierunku urządzeń społecznych" z wolnością jednostki każdéj, z zasadą „najmniejszego rządzenia"; trudność ta nieprzezwyciężona powstrzymała téż Boerne'go zaraz na wstępie. W tém r. 1834 pojawiają się ogniste „słowa wierzącego", gdzie Lamennais, z apostoła zostawszy trybunem, przychodzi sprawie ludu z niespodzianą a potężną pomocą. Podczas gdy filozofowie wieku oświecenia uważali kościół za przedmurze wszelkiéj tyranii, które zwalić należy, by oczyścić drogę dla rewolucyi, Lamennais pragnął przywrócić chrześciaństwu demokratyczne jego posłannictwo z pierwszych wieków. Śmiały zamach wywarł wrażenie niesłychane; dla Boerne'go przy ówczesnym jego stanie umysłu był on istném objawieniem. Wydaje się Boerne'mu, że w poemacie Lammennais'go — tytuł może najwłaściwszy — znalazł wreszcie szukane przez się rozwiązanie; że na religii da się oprzéć owa „prawność" wymarzona, mająca zastąpić ustawy, które w najlepszym już wypadku są wyrazem siły większości (3). „Ostatni ojciec kościoła (jak Leon XII nazywał Lamennais'go) wyrasta w oczach Boerne'go do rozmiarów najpotężniejszego geniusza rewolucyjnego (4). Idee rewolucyjne, poparte religijnemi, złączone, utożsamione z niemi, muszą zyskać potęgę nieprzepartą, która skruszy odrazu starą budowę świata. Z drugiéj strony na gruzach religia pomoże zbudować moralność, która, nie naruszając wolności, będzie dla niéj przeciwwagą. Złudzenia takie ułatwiało wrodzone uczucie religijne

---

(1) Listy paryskie LX. — (2) Ib. LXV. — (3) W Bretanii, skąd był rodem Lamennais, wyrazy „religia" i „prawo" są identyczne w dyalekcie ludowym: „Les paysans y confondent le mot *loi* et celui de *religion* à un tel point, que lorsque les fonctionnaires publics leur parlent des lois de la République et des décrets de la Convention, ils s'écrient dans leur langage vulgaire: est ce qu'on veut nous faire sans cesse changer de réligion?" (Rapport fait par Barrère sur les moyens de propager la langue française 8 pluv. an. II). — (4) Wydał natychmiast własne (świetne) tłómaczenie „Paroles d'un croyant" i rozsyłał je bezinteresownie rzemieślnikom niemieckim. Gutzkow l. c. str. 231 i n. Zastanawiającém jest, że poprzednio entuzyazmował się dla Schleiermachera, „protestanckiego Lamennais'go" (Brandes) i Goerresa, „niemieckiego Lamennais'go" (Honegger), i z obydwoma był nader zaprzyjaźniony.

Boerne'go, o którém już wspominaliśmy, a bezstronność, nie krępowana formalnością chrztu protestanckiego, pozwoliła Boerne'mu przenieść w znaczeniu powyższém katolicyzm po nad inne formy wiary religijnéj. Powstaje przeciw reformacyi, „która przyniosła zysk panom i uczonym, a nie powiększyła w niczém dobrobytu ludu; oddała rządom potęgę kościoła i zastąpiła czyściec przez kodeks karny skarbu, a dobrowolne pobożne ofiary przez podatki państwowe.“ — Katolicyzm ze swemi formami, działającemi na zmysły, łatwo trafia do przekonania ludu; reformacya od pierwszéj chwili trzymała w osobie Lutra z partyą panującą i przeciw ludowi, na który działać nie mogły gołe ściany zreformowanych kościołów, nowe blade piekło, ani szare nieponętne niebo. Te prądy reformacyjne, które rzeczywiście do głębin ludowych przeniknęły, zachowały metodę katolicyzmu. Gdy więc protestantyzm, łącząc się i poddając władzy świeckiéj, wzmacnia ją i służy dla niéj za oręż, katolicyzm, niezależny od téj władzy a ugruntowany w masach, chętnie staje z nią do walki (1). Dlatego téż „jedynym narodem północy, który od trzech wieków nie przestał na chwilę walczyć za wolność, jest polski, który pozostał katolickim“ (2). Twierdzenia te obalić nietrudno przy pierwszém lepszém ich zastosowaniu (np. Norwegia, Hiszpania), lecz pomimo to zawierają one zdrowe ziarno prawdy historycznéj o reformacyi, i politycznéj — o religii wogóle. Bądź-co-bądź najniesłuszniéj w Niemczech doszukiwano się odtąd u Boerne'go zwrotu ku klerykalizmowi i podejrzywano go nawet o zamiar przyjęcia katolicyzmu. W rzeczywistości pozostał on dawnym deistą, znalazł tylko nowe narzędzie rewolucyjne.

Idee religijne i ekonomiczne, jakiemi Boerne przejął się pod wpływem Lamennais'go, mogły tylko sprzyjać jego idei kosmopolitycznéj, otrzymanéj ze stanowiska politycznego. Ostatnie téż większe swe pismo poświęcił apoteozie téj idei. Za nagłówek do swego „Menzla Francuzożercy“ wybrał zdanie Fénelon'a: „Kocham bardziéj rodzinę swą niż siebie, ojczyznę niż rodzinę, świat niż ojczyznę.“ W patryotyzmie uznaje cnotę, lecz wówczas tylko, gdy pozostaje w zgodzie z miłością ludzkości, ze sprawiedliwością wszechludzką—inaczéj staje się występkiem. Optymista z natury, Boerne nie widział niezliczonych kolizyi pomiędzy patryotyzmem a czystym humanizmem, jakie życie w każdéj chwili nam nasuwa; moralista z zasady, nie był w stanie pojąć znaczenia czynnika samozachowawczego, który może stać się obowiązkiem najwyższym. Zwy-

---

(1) Fragments politiques et littéralres I.
(2) Ib. II, por. ib. VIII.

czajem marzycieli szlachetnych wpadł w krańcowość jedną — nie przypuszczał, że naród własny wpadnie w krańcowość drugą, wprost przeciwległą, o tyle realną, o ile pierwsza była idealną, o tyle brutalną, o ile tamta była szlachetną.

„Czy Boerne—zapytuje Carrière—powitałby radośnie odrodzenie swéj ojczyzny takie, jakiém się ono dokonało?“ Niemiec mógł jedynie postawić pytanie, lecz bezstronna na nie odpowiedź niewątpliwie winna wypaść przecząco. Nie tylko nie radowałby się Boerne, lecz wprost nie poznałby nowéj swéj ojczyzny, osłupiałby przerażony na jéj widok potworny. W rzeczy saméj nigdy wielki naród w tak krótkim czasie gwałtowniejszéj nie uległ zmianie wewnętrznéj, psychicznéj—jeśli tak wolno powiedziéć— jak niemiecki w ciągu ostatniéj ćwierci wieku. Ilekroć zdarza się, jak nam obecnie, do niedawnéj jeszcze przeszłości Niemiec powrócić, gdy następnie znowu staje przed okiem niezaprzeczona teraźniejszość, mimowoli jaskrawy kontrast zmusza do rozmyślań. Gdzież podziała się, pytamy ze zdumieniem, owa poetyczność niemiecka, przysłowiowe marzycielstwo i niepraktyczność, sławiony zmysł abstrakcyjny—tradycyjne niegdyś cechy ducha niemieckiego? Gdzież młodzież pojedynkująca się o obszar kategorycznego imperatywu, o pojęcie duszy u Jean Paul'a, o sylogizmy Fichte'go lub wiersze Heinego? Gdzież poeci opłakujący natchnionemi słowy niedolę obcych gnębionych ludów, gdzież myśliciele, których wzniosłe uogólnienia do humanitarnych w praktyce doprowadzały wniosków, filozoficzni marzyciele wiecznego pokoju i harmonii powszechnéj? Zastąpiły ich duchy skrajnie przeciwne, również jak poetyczną Gretchen przy kądzieli zastąpiła politykująca pani Buchholtz, jak muzykę wszechludzką Mozarta i Beethovena zastąpiła germańska Wagnera.

Boerne, gdyby dziś ożył, wstydziłby się własnéj ojczyzny; naodwrót też sam dla niéj jest nader niewygodnym zabytkiem. Każdy wiersz pism jego, zestawiony z chwilą dzisiejszą, staje się krwawą ironią. Ze wszech stron też starają się w Niemczech obecnie przydusić ten przykry odgłos przeszłości. Von Treitschke nie waha się odsądzać Boerne'go od czci i wiary jako człowieka i pisarza zarówno (1); Gutzkow, niegdyś entuzyastyczny biograf, dziś, po latach trzydziestu, z lekceważącym tonem berlińczyka, który widział Sedan, w pismach Boerne'go znajduje tylko zabawne cacka zdolnego humorysty (2); stuletni jubileusz urodzin Boerne'go, przypadły

(1) Heinrich von Treitschke. Deutsche Geschichte. 1886, III.

(2) Gutzkow. Rückblicke auf mein Leben. 1875, str. 47.

w roku 1886, pominięto w Niemczech wymownėm milczeniem (1). Lecz właśnie te pobudki, jakie każą współczesnemu Niemcowi rzucić zasłonę na najsympatyczniejszego swego pisarza politycznego, winny skłonić stojącego na uboczu obserwatora do podniesienia jéj i przyjrzenia się ukrytéj za nią szlachetnéj postaci.

Szymon Askenazy.

---

(1) Gorszém jeszcze, niż milczenie, było uczczenie pamięci Boerne'go przez „studyum biograficzno-literackie“ Konrada Alberti („Ludwig Börne. Eine biographisch-literarische Studie zur Feier seines hundertjährigen Geburtstags. von Conrad Alberti. Leipzig 1886“). „Studyum“ składa się z ustępów, przepisanych ze wspomnianego przez nas kilkakrotnie dzieła Gutzkowa, przeplatanych uwagami „autora“, za które niechybnie dostałyby mu się niezgorsze cięgi od biednego Boerne'go, gdyby mógł ożyć i apoteozę swą odczytać. Na str. 95, 143, 144 autor obrabia Polaków, stara się tłómaczyć ostatnie edykty pruskie; na str. 121 i 156 dowodzi przywiązania Boerne'go do Prus i twierdzi, że namiętny ton jego pism był tylko wyrazem rozpaczy z powodu niedocenienia Prus w ówczesnych Niemczech (*sic*). (Por. z tém co w rzeczywistości Boerne mówi o Prusach w „Menzlu“ i „Listach.“ Także Nchglss. Schr. II, 309 i n.). Na str. 153 powiada dosłownie: „Börne hasste im Grunde die Franzosen“ i t. d. i t. d. Skromny autor przy tém wszystkiém wyraża w słowie wstępném nadzieję, że studyum jego przyjęte zostanie jednogłośném uznaniem ze strony publiczności i krytyki.“

TOWARZYSTWA NAUKOWE I LITERACKIE

W POLSCE WIEKU XVIII.

O towarzystwach uczonych w Polsce wieku XVIII krótką wiadomość podał najprzód Bentkowski (*His. lit. pol.* I, 133), po nim rektor uniwersytetu krakowskiego Walenty Litwiński („Rozprawa o towarzystwach uczonych“ w *Roczniku Tow. naukowego z uniw. krak. połączonego.* 1817, I, str. 1—29). W roku 1840 kilka nowych szczegółów dorzucił Jocher (*Obraz bibl.* I, str. LXXV, 231, 324, 431), a w 1869 Karol Estreicher (*Jan Daniel Andrzej Janocki.* Kraków, str. 11) i Władysław Wisłocki („Krótka wiadomość o Towarzystwie Literatów w wieku XVIII“ w *Dodatku do Szkoły.* Lwów, str. 121—137). W artykułach: Estreichera „O towarzystwie literatów wyjaśnienie“ (*Dodatek do Szkoły* z r. 1869, str. 199) i Wisłockiego „Rozjaśnienie Wyjaśnienia w sprawie Towarzystwa Literatów“ (tamże, str. 206—216, 235—242) wzięła górę zaciekłość polemiczna nad zgruntowaniem przedmiotu. Dr. Józef Majer w odczycie: „Uwagi nad zadaniem akademii w powszechności tudzież historyczny przegląd towarzystw naukowych w Polsce“ (*Dwa pierwsze publiczne posiedzenia Ak. um. w Krakowie.* Kraków, 1873) wiadomości poprzedników zsumował, lecz nowych szczegółów dorzucił niewiele. B-n w artykule: „Towarzystwa uczone w Polsce w XVIII w.“ (*Przewodnik naukowy i literacki* z r. 1878, str. 1122—1135) również przysporzył mało. Podejmując sprawę nanowo, usiłowaliśmy uzupełnić przedmiot, nieobojętny dla historyi oświaty naszéj w XVIII stuleciu.

I.

Zabiegi uczonych gdańskich: *Gesellschafft der Naturforscher* z r. 1743. Załuskiego projekt asocyacyi uczonych 1744 i *Academia Mariana* w Warszawie r. 1753. Mitzlera projekt *Collegii medici* 1752 i *Institutum literarium* z r. 1756.

Dla skutecznego przeciwdziałania scholastycyzmowi klasztorów i wywalczenia obywatelstwa poglądom, czerpanym z literatury

klasycznéj, humaniści XV stulecia wiązali się w towarzystwa, w granicach, zakreślonych przez ustawę, działające zbiorowo. Kolebką tego rodzaju towarzystw, zwanych akademiami, były Włochy—siedlisko humanizmu, główny jego w Europie rozsadnik. Założona w r. 1433 przez Beccadellę, a przekształcona przez Pontana *Academia Pontaniana* w Palermo; ufundowana przez Wawrzyńca Medyceusza dla studyów filozoficznych i językowych *Academia Platonica*, a przez Grazzini'ego *Academia della Crusca* we Florencyi stanowiły modłę, według któréj wzorowały się inne w różnych miastach, a nawet wsiach włoskich powstające w XVI, XVII i XVIII stuleciu. Wielość towarzystw wzrosła z czasem we Włoszech olbrzymio: miasta ważniejsze, jak Rzym, Bononia, Neapol, Wenecya, Florencya liczyły ich po kilkanaście i kilkadziesiąt pod różnemi nazwami. Przezywali się akademicy symbolicznie: *Intronati, Humoristae, Lincei, Fantastici, Otiosi, Abdormentati, Ricovrati, Orditi, Olympici, Innominati, Nascosti, Ardenti, Inuaghiti, Affidati, Caliginosi, Insensati, Ostinati, Infammati, Concordi, Gelati, Accesi, Sizienti* i wrogie często formowali obozy. Występowali na posiedzeniach w wieńcach laurowych i rezonowali górnie, dalecy przecież byli od zadośćuczynienia zadaniu. Większość akademii zeszła na zebrania towarzyskie przyjaciół, okadzających się dymem czczych pochwał.

W miarę rozpowszechniania się studyów humanistycznych, na podobieństwo włoskich zjawiały się akademie i w krajach innych. We Francyi oprócz towarzystw stołecznych powstawały pod nazwą: *Académie des sciences, belles-lettres et arts* w Bordeaux, Tuluzie, Lyonie, Montpellier, Angers, Orleanie, Marsylii, Rouen, Nancy, Dijon, Metz. Pełno téż było tego rodzaju towarzystw w Anglii i krajach niemieckich dla badań językowych i historycznych, dla uprawy nauk ścisłych, wykrywania błędów ludzi uczonych itp. Pod dziwacznemi podobnie jak włoskie występowały nazwami, różnych używały emblematów i godeł. Założone w r. 1617 w Wejmarze przez Kacpra von Teutlebena *Die fruchtbringende Gesellschafft* miało za emblemat drzewo palmowe z dewizą: *Alles zu Nutzen;* późniejsze z r. 1656 *Der Elbschwanenorden* używało znaku łabędzia. Członkowie towarzystw otrzymywali przezwiska, mające charakteryzować wydatniejsze właściwości ich ducha. Brali na seryo i poczytywali za splendor takie przydomki, jak: soczysty, miękki, kwaskowaty, mączysty, pachnący itp.

W epoce absolutyzmu Burbonów pozyskiwały akademie francuskie opiekę rządu i przybierały charakter instytucyi państwowych. Z towarzystwa prywatnego powstał staraniem Richelieu'go zakład naukowy pod nazwą *Académie française*; zabiegami Colberta

zakwitła *Académie Royale des Inscriptions et des Medailles.* Że za protekcyę, nagrody i pensye wysługiwali się akademicy dworowi i niemałego dodawali mu blasku,—poszli za przykładem królów francuskich inni panujący i fundowali w stolicach instytucye na wzór istniejących w Paryżu. Powstały w Londynie, Madrycie, Lizbonie, Amsterdamie, Sztokholmie, Kopenhadze, w Turynie, Medyolanie, Berlinie, Erfurcie, Petersburgu i innych. W różnym stopniu zależnie od zmiennych warunków czasu służyły nauce, chociaż wogóle wpływ dworów oddziaływał na nie szkodliwie. Poświęcali akademicy służby swoje królom i wybitniejszym ministrom, zapominając często o godności osobistéj i prawdzie.

W dobie wielkiego przełomu umysłowego dla krzewienia nauk humanistycznych powstało pod nazwą *Sodalitas literaria Vistulana* towarzystwo uczonych i w Polsce (1488—90). Siedliskiem jego był Kraków, założycielami cudzoziemcy: Konrad Celtes i Kalimach; członkami: Andrzej Pegaz, Fusilius (Gossinger), Salemnius Delius, Statilius Simonides, Terinus, Ursinus, Eckius, Rudolf Agricola młodszy, Aesticampianus (Somerfeld), Corvinus (Raba), Brutus (Brudzewski)—ukryci pod pseudonimami zwolennicy nowych kierunków. Rozprawiając o języku hebrajskim, łacińskim i greckim, o naukach przyrodzonych, prawie kanonicznem i rzymskiém, starali się podkopać kredyt powag scholastycznych i świeży we wszechnicę krakowską tchnąć powiew. Miała *Sodalitas Vistulana* taki stanowić etap humanizmu na wschodzie, jak współczesna wiedeńska (*S. Danubiana,* 1498) w naddunajskich, a wormacyeńska (*S. Celtica*, 1490) w krajach nadreńskich. Nie zdołała się przecież dla krótkości egzystencyi rozwinąć; po jéj upadku, wiążącym się z odjazdem Celtesa, zorganizowanych towarzystw naukowych nie posiadała Polska przez dwa stulecia. W epoce reformacyi ekspensowały się rozumy na spory wyznaniowe i kwestyę naprawy Rzeczypospolitéj; w dobie reakcyi katolickiéj na praktyki nabożne, tępienie herezyi i ważenie skomplikowanych zagadnień polityki bieżącéj. Sekty w XVI, a bractwa religijne w XVII stuleciu zużywały dla celów wyznaniowych najlepsze siły umysłowe i najpodnioślejsze uczucia, wielką nauce zrządzając szkodę. Zawiązało się wprawdzie na ziemiach Rzeczypospolitéj, towarzystwo uczonych w Gdańsku; z samych jednakże złożone Niemców, na umysłowość polską oddziaływać skutecznie nie mogło. Myśl założenia towarzystwa rzucił w r. 1670 lekarz gdański Israel Conradt, przedsięwzięcia przecież do skutku nie przywiódł. Staraniem uczonych miejscowych, głównie Breyne'a i Kleina powstało w r. 1720, lecz po siedmiu latach egzystencyi upadło. Szczęśliwiéj zabiegał nanowo w r. 1742 uczony kwatermistrz, a póź-

niéj burmistrz gdański Daniel Gralath: pod nazwą *Gesellschafft der Naturforscher* powstało towarzystwo, zaopatrzone w piękny zbiór narzędzi fizycznych i w środki, zabezpieczające mu przyszłość. Otwarte zostało 2 stycznia r. 1743, posiedzenia odbywało co tydzień, przetrwało zaś upadek Rzeczypospolitéj. W r. 1747 ogłosiło piętnaście z dziedziny matematyki, fizyki, nauk przyrodniczych i lekarskich dysertacyi, stanowiących tom pierwszy wydawnictwa p. t. *Versuche und Abhandlungen der Naturforschenden Gesellschafft in Dantzig*. Choć mało produkcyjne, na dalszy bowiem ciąg wydawnictwa zdobyło się dopiéro w r. 1778, potrafiło jednak zjednać sobie zaufanie i respekt. Zmarły w r. 1784 założyciel obserwatoryum astronomicznego w Gdańsku dr. Wolf powierzył mu zarząd funduszu i zapisał swe zbiory; Stanisław August przesłał w r. 1786 towarzystwu kosztowny pierścień, który prezydujący podczas uroczystych posiedzeń wkładał na palec.

W stolicy Rzeczypospolitéj zawiązało się towarzystwo naukowe w r. 1698, rychło jednak bez śladów działalności upadło (1). Przyjaźniejsze dla zabiegów w tym kierunku warunki znaleźli uczeni za panowania Augusta III-go, na które przypada ruch naukowy żywszy, rozległe nawet i różnorodne ogarniający widoki. Zupełna niemal abdykacya Rzeczypospolitéj w sferze interesów politycznych budziła w społeczeństwie refleksyą, zmuszała je do poszukiwania nowych dróg pracy. Na nieuprawiane dotychczas strony zwracała lepsze jednostki zarówno niemożliwość zużytkowania zasobów umysłowo-moralnych w życiu publiczném, dotkniętém martwotą, jak przeświadczenie o konieczności ratowania sprawy narodowéj przez pobudzanie i wyrabianie zaniedbanych pierwiastków siły. Przeświadczenie owo było plonem głębszego wnikania w stosunki i kwiatem sumień ludzi, dbałych o przyszłość. Jeżeli pobudki do podejmowania zadań różnorodnych a nowych płynęły ze źródeł rodzimych, to wzorów dostarczał zachód. Niemało usług zawdzięczamy cudzoziemcom, zwłaszcza Niemcom, którzy, tłumnie napływając do Polski za Sasów, przynosili z sobą inicyatywę lub wyrobioną w różnych gałęziach działalności rutynę. Wszystko, począwszy od wysokich zagadnień filozoficznych Kartezyusza i Wolffa, wielkich pomysłów Kopernika i Newtona, historyozoficznych poglądów Woltera, skończywszy na reformie szkolnictwa, publikowaniu źródeł dziejowych i dzieł bibliograficznych, ożywieniu wydawnictw peryodycznych i gromadzeniu pomocy naukowych znajduje w społeczeń-

(1) Bernoulli. *Reisen.... in den Jahren 1777 und 1778* (Liske. *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 235).

stwie polskiém za Augusta III-go uprawę i gorliwych adeptów. Do objawów sprzęgania się Rzeczypospolitéj z ruchem umysłowym Europy należą i próby pracy zbiorowéj nad nauką w formie uorganizowanych towarzystw.

Pierwsze usiłowania nie ogarniały zadań rozległych, podejmowały bowiem jedynie sprawę zbiorowego nabywania wydawnictw peryodycznych i książek. Głośny biblioman, referendarz koronny ks. Józef Załuski ogłosił pod datą 2 stycznia 1744 roku *Projekt assocyacyi Kilkunastu lub Kilkudziesiąt Uczonych lub w czytaniu nowo-wychodzących w Cudzych Krajach ciekawych Lukubracyi kochających się Osób* (1), mający właśnie na celu sprowadzanie z zagranicy dzieł kosztownych i prenumerowanie czasopism. „Jest ten zwyczaj w miastach niemieckich, jakom się w swoich peregrynacyach napatrzył,— pisał Załuski—że *viri litterati* i ciekawi nowalii (że tak rzekę) uczonych czytelnicy, chcąc dogodzić gustowi swemu w czytaniu nowowychodzących za granicą, jako to: we Włoszech, we Francyi, Holandyi, Anglii uczonych lukubracyi, a z drugiéj strony unikając kosztu znacznego w sprowadzaniu tych nowych edycyi przez spieszne okazye, a czasem i pocztą.... zwykli zawierać między sobą *societatem litterariam* i, zebrawszy się w kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt osób, *mutuis sumptibus* nowo-wychodzące ciekawe książeczki z zagranicy sprowadzać zwykli kwartałami czyli cztery razy do roku; które jeden drugiemu odsyła i komunikuje, mogąc każdą książkę zatrzymać tydzień jeden, a nie więcéj; ktoby zaś dłużéj przytrzymał, stroff dać powinien; a to dla łatwiejszéj cyrkulacyi i żeby się wszyscy prędzéj obeśli każdą nową książką, póki ma wdzięk nowalii *gratiam novitatis*." Proponował ksiądz referendarz uformowanie towarzystwa bez ograniczenia liczby członków, złożonego jednak najmniéj z osób dziesięciu, z wkładem do kasy zbiorowéj (*ad aerarium societatis*) w styczniu każdego roku na ręce JMci Pana Gibbesa, sekretarza poczty warszawskiéj, po cztery czerwone złote. Nie wykluczał z asocyacyi i biegłych we francuszczyźnie niewiast, którym obiecywał „sprowadzać ze wszystkich krajów Europy co najciekawsze nowo-wychodzące książki, tym językiem wydane." Corocznie 19 marca, t. j. w dzień imienin Załuskiego, o godzinie trzeciéj po południu zgromadzą się asocyaci w mieszkaniu projektodawcy dla ułożenia listy, według któréj udzielane być mają nabyte czasopisma i księgi. Koléj, w jakiéj wyjdą z kapelusza ciągnione przez najmłodszego asocyata kartki z nazwiskami członków, rozstrzygnie

(1) Druk po francusku i po polsku. 4-o, kart nlb. 4. Egzemplarz znajduje się śród rękopisów bibl. jagiellońskiéj w kodeksie N. 115. Odpis zawdzięczamy dr. Wisłockiemu.

o następstwie w korzystaniu z lektury. Pierwszeństwo jednak w rejestrze służy mieszkańcom Warszawy, po nich dopiéro następuje uszeregowanie asocyatów z prowincyi. Wprowadzał Załuski do projektu pomysł losowego uformowania listy dlatego, „żeby nikomu krzywdy nie czynić w upośledzeniu rangi i nie narazić się w ułożeniu precedencyi, która tu niema miejsca, kiedy wszyscy zarówno składają się“ na zebranie funduszu. Na karteczce, przylepionéj na czele „lukubracyi“, asocyat oznaczy datę odesłania książki osobie, na którą przypada koléj, a to dla kontroli, żeby nie trzymała jéj dłużéj nad termin. Za przetrzymanie grozi kara jednego tynfa do kasy towarzystwa za każdy tydzień. W pomieszczonym na końcu projektu spisie rekomendowanych przez Załuskiego nowości figurują *Memoires, Acta, Analecta, Memorabilia, Miscelannea* i t. p. w językach: francuskim, łacińskim, niemieckim i włoskim wydawnictwa znakomitszych w Europie akademii i towarzystw, gazety tygodniowe uczonych ludzi w Lipsku, Ratysbonie, Hamburgu, Greifswaldzie, Dreźnie, Berlinie i rozmaite dzienniki. „Za pracę moją i staranie w korespondencyi, zapisowaniu i sprowadzaniu tych z całéj Europy nowalii uczonych spodziewam się,— kończy autor projektu — że ta asocyacya nie odmówi mi téj łaski, żeby te książki, obszedłszy już wszystkich a wszystkich do ostatniego asocyatów, dostawały się mojéj bibliotece. Na co tém chętniéj każdy asocyat zezwoli, kiedy ta biblioteka, mając być wkrótce publiczną i każdemu otwartą, wolno będzie każdemu kiedyżkolwiek i w dalsze czasy, jako i inne wszystkie księgi, tak i te świeżo wyszłe czytać i do woli używać.“ Zrealizowanie projektu nie mogło dużych napotkać przeszkód: znalazł już Załuski uczestników sześciu, zapowiadał zaś dojście asocyacyi, choćby ich było tylko dziesięciu. „Bo do proporcyi osób i importancyi *ad aerarium societatis* będzie się miarkowała expensa.“

Nie ograniczając się na asocyacyi dla sprowadzania książek, zamierzył Załuski w kilka lat późniéj zgromadzić kółko uczonych w widokach innych. Był ksiądz referendarz „zdawna—jak sam pisze w r. 1749 (*)—akademikiem asocyacyi literatów rzymskiéj“, był téż członkiem akademii: berlińskiéj, bonońskiéj, petersburskiéj i różnych towarzystw naukowych niemieckich; zapragnął zaś uszczęśliwić ojczyznę instytucyą na podobieństwo zachodnich. Usposobieniu Polaka najbardziéj odpowiadała pompatyczność, frazeologia i hałaśliwość towarzystw włoskich, sięgnął przeto wrażliwy i jaskrawe dekoracye lubiący Załuski po wzór za Alpy. Plan nowego przedsięwzięcia dojrzał w jesieni r. 1753; *Kurjer polski* z 31-go paź-

(*) W dedykacyi królewiczowi *Kolendy poetycznéj*.

dziernika zawiadomił o niém publiczność. „Podaje się do wiadomości wszystkim literatom warszawskim, donosił, że dnia 7 grudnia w wigilję Nayśw. Panny Niepokalanie Poczętey o 3 z południa z okazyi imienin y dnia narodzenia Królowey Jey Mości odprawi się na sali biblioteki publiczney tuteyszey trybem włoskim akademika czyli akt publiczny krasomówstwa y rymopistwa, na którym wolno będzie każdemu literatowi czy Polakowi, czy cudzoziemcowi, prozą czy wierszem y jakimkolwiek tylko językiem czytać publicznie swoje lukubracye, to jest: czy oracyjkę, czy dissertacyę, czy odę, czy elegię, czy idyliki, czy epigramma *etc. etc.* Argument tey akademiki będzie o chwale nieskończoney Nayświętszey Bogarodzicy Maryi Panny. Tygodniem przed tym, to jest w dzień św. Jędrzeja o teyże godzinie tamże się zejść raczą ci Ichmć, którzy sobie życzą *loqui variis linguis Magnalia Dei — parae*, a to na próbę. Wszelkie zaś osoby na ten akt są zaproszone do mówienia jakiegożkolwiek stanu i kondycyi. Jeżeliby zaś podobnym sposobem życzyli sobie Ichmć Panowie Konwiktorowie trzech warszawskich *Nobilium* kollegiów y inni Ichmć studia traktujący popisywać się na drugiey akademice, tedy się to inszego dnia odprawić może, jako to 1 lutego. Ichmć spektatorowie obojej płci będą wpuszczeni za kartkami, które trzema dniami przed aktem uprosić sobie mają w stancyi Jmci X. Referendarza koronnego y które mieć będą takie wypisane hasło:

Qui elucidant me, vitam aeternam habebunt.

J.	Z.
S.	M.

“

W *Kurjerze* z 21 listopada „Jmć X. Referendarz Koronny zaprasza na próbę do swojey stancyi w dzień św. Jędrzeja o drugiey po południu tych Ichmćw literatów, którzy, na ochotnika uproszeni y zachęceni, chcą wysławiać Nayświętszą Bogarodzicę Maryę Pannę w dzień wigilii Niepokalanego Poczęcia Jey 7 Decembra.“ Zawiadamia jednocześnie, że „akt akademiki włoskim trybem, nie już w bibliotece (dla zimney aeryi), ale na sali pałacu xiążęcia Imci biskupa krakowskiego przy kapucynach o trzeciey z południa odprawi się“; na interesującą zaś, bo niepraktykowaną przedtém w Polsce ucztę duchową „wszystkich Ichmćw pobożnie ciekawych zaprasza *Mariano Literarius Coetus.*“

Zarówno adoratorów Najśw. Panny, jak i amatorów publicznego popisu nie brakło. Dość miała Polska mężów pobożnych, bez liku zapalonych retorów, którzy już z ławy szkolnéj sięgali po listki wawrzynu, w różnych zaś życia publicznego okazyach pretendowali do wieńców. Tyle więc ksiądz referendarz przez ogłoszenia swoje

z Warszawy i z prowincyi otrzymał ofert, że program pierwotny musiał rozszerzyć. „Donosi się Ichmćm Panom literatom, tu się znajdującym, — pisał w *Kurjerze* z 5 grudnia — iż *academia literaria, more Italo* tu się odprawiać mająca w pałacu xiążęcia Imci biskupa krakowskiego 7 grudnia o 2 po południu, będzie się kontynuowała y 9 dnia, to jest w niedzielę o teyże godzinie, gdyż nadspodziewanie rachuje się oratorów y lukubracyi.“

Po zagajeniu posiedzenia przez ks. referendarza, mowę inauguracyjną wygłosił w języku łacińskim profesor filozofii i matematyki w kolegium pijarskiém, Antoni Wiśniewski. Powinszowawszy sobie, obecnym i ojczyźnie doprowadzenia do skutku tak świetnego zebrania, nie umiał dostatecznie wyrazić zdziwienia swego i radości, że się znajduje w najwyśmienitszém gronie uczonych, że zyskuje sposobność słyszenia ich rozpraw i korzystania z ich nauki. Zdaje mi się, — mówił, zwracając się do obecnych na posiedzeniu cudzoziemców, że jeszcze Włochy, Francyą, Niemcy, Belgią, Anglią oglądam, że się w najzacniejszych państwach Europy znajduję i widzę, największą przepełniony rozkoszą, jak one przez was usiłują śród innych narodów krzewić sztuki i wiedzę. Dziękował mówca wszystkim, którzy w przedsięwzięciu tak ważném wzięli udział; specyalnie wielbił inicyatora-prezesa towarzystwa, poczém opowiedział w krótkości dzieje akademii, szczególniejszą zwacając uwagę na istniejące w Paryżu, Londynie, Berlinie, Petersburgu i Getyndze. Przyznawał akademiom zasługę budzenia emulacyi naukowéj i z zainaugurowanego towarzystwa warszawskiego korzyści rokował wielkie. Nie zaraz i nie we wszystkiém, prawił, ucywilizowanym sprostamy narodom; wątpić jednak nie można, że akademia nasza, na dobrych opierając się wzorach, może z czasem w mądrości i sławie dorównać innym. Pokładał w niéj nadzieję i wyrażał życzenie, iżby nowe towarzystwo światłem swojém przewodniczyło polityce, podniosło matematykę i filozofią, teologią uwolniło od zadań bez wagi, krytykę ujęło w rozumne reguły, język zaś polski, który z mlekiem nabywamy matczynym, do starodawnéj przywróciło czystości (1). Proponował w końcu mówca, żeby członkowie akademiki warszawskiéj przezwali się *Devoti* lub *Mariani*, działalność ich bowiem o tyle się okaże skuteczną, o ile przewodniczyć jéj będzie pobożność (2).

---

(1) *Fiet, inquam, ut haec nostra Societas Politicem illustret, Mathesin et Philosophiam stabiliat, a Theologia supervacaneas amputet quaestiones, Criticen legibus justis circumscribat, ipsam quoque, quam cum lacte materno fuximus, Polonam linguam suae restituat puritari....*

(2) *Oratio de utilitate ex varsaviensi bonarum artium et scientiarum academia in Poloniam redundatura ad novos academicos in ipsis academiae auspiciis A. D. VII Decembr-*

Jeżeli Wiśniewski „więcéj umiejętnościom, niż chwale Matki Boskiéj“ w mowie swojéj poświęcił (1), to za to inni od tematu nie odstąpili. Ksiądz referendarz mówił po polsku o epitetach, nadawanych Najśw. Pannie przez pisarzy chrześciańskich dawnych i nowych; brat jego Marcin (biskup drezneński, sufragan i proboszcz katedralny płocki) dowodził w dysertacyi łacińskiéj niepokalanego Matki Boskiéj poczęcia. Czytano następnie prozę i rymy po polsku, po łacinie, po grecku, po francusku, po niemiecku, hiszpańsku, angielsku i holendersku. Sekretarz marszałka w. kor. Bielińskiego, Adam Kempski i Józef Epifani Minasowicz deklamowali po polsku; profesor wymowy w kolegium jezuickiém Fr. Bohomolec i teatyn Józef Marya Torri po łacinie; bibliotekarz Załuskich Jan Daniel Janocki i adjunkt jego Franciszek Ryszard Goetze po grecku; profesor filozofii w kolegium teatyńskiem Jan Babtysta Rotingo po włosku. Z jezuitów czynni byli oprócz Bohomolca: kaznodzieja kanoniczek Konstanty Awedyk, teolog księdza referendarza Michał Rihowei Wojciech Mokronowski, Jędrzej Bromirski, Kazimierz Sadowski. Z pijarów oprócz Wiśniewskiego: Tadeusz Nowaczyński (czytał odę łacińską), Prosper Smoczyński i Benedykt Grodzicki. Z księży świeckich oprócz kanonika Janockiego: Jaśkiewicz, seminarzyści u św. Krzyża: Klonowski i syn kasztelana czechowskiego Paweł Lubieniecki, oraz Francuzi: Solignac i doktór teologii Tellot. Z mężów świeckich oprócz Kempskiego, Minasowicza i Goetze'go czytał rozprawę Mitzler de Kolof, neapolitańczyk zaś, doktór filozofii i medycyny Antoni Nava zamknął posiedzenie łacińską elegią. Odczytano następnie, prawdopodobnie na drugiém posiedzeniu, które również zagaił Załuski, utwory, nadesłane z prowincyi: proboszcza generalnego miechowitów Jakóba Pawła Radlińskiego, kustosza tegoż zgromadzenia Floryana Buydeckiego, oraz różnych z Poznania, Wilna i Grodna. Pośród słuchaczów świecili obecnością magnaci i dygnitarze, jak marszałek w. kor. Bieliński i biskup inflancki Ostrowski; uczestniczyły i damy, z pomiędzy których zwracała uwagę znana z zamiłowania do nauk księżna Radziwiłłowa, chorążyna w. litewska (2).

Z odczytanych na akademice warszawskiéj utworów wyróżniali współcześni dysertacyę Marcina Załuskiego, którą *Kurjer pol-*

A. C. CIƆIƆCCLIII dicta a P. Antonio Wiśniewski e clericis regularibus scholarum Piarum in varsaviensi nobilium Collegio philosophiae et matheseos professore. 4⁰, stron XV. Bez m. i r. wydania.

(1) Zauważył to o mowie Wiśniewskiego Janocki (*Lexicon derer itztlebenden Gelehrten in Pohlen.* Wrocław, 1755. II, 45).

(2) Kurjer polski z 12 grudnia r. 1753. Janocki *l. c.* II, 45, 46. Jocher *l. c.* I, 431.

ski nazwał „wyśmienitém i najpierwszém między wszystkiemi wypracowaniem;“ chwalili Wiśniewskiego, Radlińskiego i Kempskiego. „Między nieprzytomnymi i nieczytającymi swoje lukubracye *obtinuit palmam*“ Radliński; Kempski, któremu do podniosłych myśli i pięknych wyrażeń brakło tylko poważniejszéj ciała postawy, poklask zyskał powszechny. Mowa Wiśniewskiego nie kompromituje przyrodnika i krzewiciela filozoficznych pomysłów Wolffa; Kempski, sądząc z ogłoszonego w r. 1756 poematu: *Myśli o Bogu i człowieku w mowie człowieka i ducha wyrażone*, wygłosił niewątpliwie, przynajmniéj pod względem formy, rzecz piękną. O wartości rymów innych uczestników akademiki daje wyobrażenie mozolne wypracowanie Lubienieckiego, którego zaszczycali uznaniem swoim Minasowicz i referendarz Załuski.

Ode X. Karola de la Rue S. J. o Niepokalanym Poczęciu N. P. M. z łacińskiey przełożona przez W. J. Mci X. Pawła Lubienieckiego kanonika łuckiego na Akademikę publiczną od JW. JMci X. Józefa Andrzeja Załuskiego Referendarza W. K. Opata Wąchockiego etc. w sali pałacowey xiążęcia JMci biskupa krakowskiego wyznaczoną na dzień 7 grudnia 1753 (1).

1. Cóż czas bezbronni w Kościołach *Ombitae*
Trawicie? czyliż śluby pospolite
Wasz potrzebuje, i setne ołtarze
Przy kadzidłowéj Krokodyl ofiarze?
2. Walecznéj teraz ręki, na podanie
Posiłku żąda: do broni Mieszczanie!
Zdejmcie z Bram miecze, tarcze, pod niebiosy
Niech się brzękadeł rozlegają głosy.
3. Nie ciągnie kupa *Tentyrytów* sroga,
Czołgającego żeby poszczwać Boga,
Ani zuchwałym hamulcem nań godzi,
Gdy bystre *Nilu* przebywa powodzi.
4. Większego mniejszy nieprzyjaciel trzasku
Narobi. Oto zasuszony w piasku
I w kale, bitny *Ichneumon*; jakoby
Zgubić go, chytre przemyśla sposoby.

---

(1) Wydrukowana w dodatku do części IV (str. 47—55) *Zbioru rytmów* Minasowicza. Pomieszczony w części III tegoż *Zbioru* przekład Minasowicza wiersza Alberta Ines p. t. *Inscriptiones septem Virgini Dei Matri, absque macula originali Conceptae etc.*, sądząc z daty 25 sierpnia 1753 r. prawdopodobnie był również przygotowany dla odczytania na akademice. Dla zrozumienia ody Lubienieckiego podajemy umieszczony na czele *Argument*. „*Ichneumon*, albo wydra Egipska, według niektórych szczur Faraona, pogromiciel Krokodyla. Ten, nieprzyjaciela śpiącego na brzegu Nilowym upatrzywszy, w kale się kilkakroć tarza y w piasku osusza; za tym tak uzbrojony, w paszczę się potwory owey żarłoczną wsuwa, przez którą przemknąwszy się bez obrazy y wyżarłszy jelita, kaldunem nazad zwycięsca wypada. *Tentyris* y *Ombi* sąsiedzkie w Egipcie miasta. *Ombitae* czczą Krokodyla, prześladują go *Tentyritae*, y wtenczas nawet gdy płynie zarzuconym go hamulcem uśmierzają.“

5. I czczy chwalebne zaostrza łaknienie;
Bronić przystępu mu, dajcie baczenie;
Dowierzające sny przerwijcie smoka.
Śmierci jest znakiem, snu mara głęboka.
6. Ot! jak już żeru krwawego resztami,
I ociekłemi z żył juchą kościami
Pogardza syty; leżąc rozciągniony,
Głód ukoiwszy, łupem uzlajony.
7. Zasypia na wznak, gdy go sen uglaszcze,
O któż się w wściekłą bez obrazy paszczę
Zapuści? kto wzdy w rozdziawionym pysku
Poszuka miejsca swemu stanowisku?
8. Jużci się stało, szermierz rozpędzony
We wszystkim biegu, nic nieobrażony
Pomiędzy kły się wyszczerzone wsunie,
I zacznie w smoczym rabunek kałdunie.
9. Już ostrym kęsem wnętrzności rwie ciemne,
Jak zgrzyta straszna bestya! w daremne
Jak gniewy wpada! jak przeciągle wyje!
Gdy wewnątrz zębem nieprzyjaciel ryje.
10. I tysiąc śmierci zadaje wrzepiony,
A że krwią z mordu chwalebnie zbroczony,
Dzień ujrzy znowu; stłumiwszy bestyą
Zwycięzca. Nimfy dajcie wieńce Io!
11. Io! po trzykroć lochowate skały
Ogromnym rykiem na applauz zagrzmiały,
Trzykroć wód szumem zahuczał, przez trzciny
Nil świegotliwe, głosząc te nowiny.

ALLUZYA.

W zmazaną Przodków śmiercią gdyś wstąpiła
Drogę, Tyś sama pierwsza zwyciężyła
Fatalne monstrum, w Poczęciu nietknięta
O Panno swoim, Panno nader święta!

Jeżeli akademice warszawskiéj *Kurjer polski* z 12 grudnia r. 1753 poświęcił sprawozdanie niedokładne i krótkie; Janocki szczegółowsze, lecz we dwa lata po fakcie; to za to baczniejszą zwróciły na nią uwagę pisma uczone niemieckie. Mowę Wiśniewskiego przedrukowano w *Neue Zeitung von Gelehrten Sachen* i w *Nouvelle Bibliothéque Germanique*; wspomniała o akademice gazeta halska, obszerną o niéj pomieszczono wiadomość w *Kritische Nachrichten von Greifswald*. Redaktor tego pisma Jan Karol Dähnert uorganizowanie towarzystwa uczonego w Warszawie poczytuje za chlubę i zaszczyt Polski i wielkie z niego dla rozwoju nauk przewiduje korzyści. Łudzili się cudzoziemcy, czerpiąc wiadomości o towarzystwie z mowy Wiśniewskiego, który literacką zabawę Załuskiego przezwał pompatycznie *Varsaviensis Bonarum Artium et Scientiarum Academia* i do rozległych powoływał ją zadań. We właściwszych grani-

cach zapał dla dokonanego faktu utrzymywali świadomi stanu rzeczy krajowcy. Założona przez Załuskiego, pisał Janocki (II, 45), ku czci Matki Boskiéj *Academia Mariana* ma na celu zgromadzanie w dni uroczyste uczonych wszelkiego stanu i stopnia dla odczytania wierszy lub mów na pochwałę Najśw. Panny. Rozwiewał złudzenia uczonych zagranicznych i Mitzler de Kolof. Sądzą, pisał, literaci obcokrajowi, że i w Warszawie istnieje towarzystwo uczone, które wkrótce ubiegać się zacznie z innémi o lepsze; możemy ich z całą stanowczością zapewnić, że mniemanie swoje opierają na wieściach fałszywych. Zgromadził referendarz Załuski literatów warszawskich dla odczytania w różnych językach poematów i rozpraw; ani jednak zebranie owo było akademią, ani inicyator jego myślał o organizowaniu towarzystwa uczonych (1). Daleką więc była akademika warszawska od tych widoków, jakie w mowie swojéj roztaczał Wiśniewski: nie wyszła po za zakres kultu Najśw. Panny, a zresztą po pierwszéj próbie upadła. W roku następnym wznowienia jéj ksiądz referendarz zaniechał; w latach: 1755, 56 i 57 zagranicą przebywał; znacznie późniéj, bo za panowania Stanisława Augusta, akademikę do życia przywołał, lecz w postaci skromniejszéj. „Za powodem Imci X. biskupa kijowskiego—donosiły *Wiadomości warszawskie* z 6 i 10 grudnia r. 1766—w trzecią niedzielę adwentową po południu o czwartéj odprawi się na sali biblioteki publiczney *Academia Mariana* trybem włoskim od Ichmciów konwiktorów trzech tutecznych kolegiów, którzy chwałę Matki Boskiéj różnymi językami prozą i wierszem będą wysławiać.“

Jakož posiedzenie odbyło się; z utworów popisowych cztery: 1) *Arca Noe, apodosis allegorica de Sacratissima V. M., recitata in aedibus Załuscianis*; 2) *Epigramma de B. V. M.,* 3) Do Najjaśnieyszego Króla Imci P. N. Miłościwego gdy w senacie osłabiał, 4) Feierwerk życia ludzkiego—wyszły z druku bezimiennie p. t. *Wiersze podczas akademii Załuskich mówione w Warszawie Roku 1766* (Bez m. 4°, kart nlb. 4). „Feierwerk“ pióra ówczesnego profesora kolegium jezuickiego, Adama Naruszewicza (2) zalet ma dużo; dwa inne niezdarne są i nudne, *Epigramma* zaś tyle zawiera humoru, że dla charakterystyki akademii zasługuje na przytoczenie w całości.

Gdyby był człowiek w pierwiastkowym stanie
Czułym na swego Twórcy przykazanie,
Coby tam było z dziećmi Jego potym,
Teologowie dysputują o tym.

---

(1) *Acta litteraria* z r. 1755. I, 36.

(2) Ob. Piotra Chmielowskiego artykuł na czele wyboru poezyi Naruszewicza, wyd. warsz. z r. 1882, str. IX.

Ja wiem, że za grzech pierwszego Adama
Przyszły na ten świat nędze i śmierć sama,
Ale te nędze, ale ta śmierć sroga
Dały nam z Panny czystéj zbawcę Boga.
A kto wie, gdyby człowiek nie ubliżył
Bogu, czyby on tak się był uniżył
I chciał nas swoim pokrewieństwem cieszyć?
Ej, widzę, lepiéj było ludziom zgrzeszyć!

Za wpływem Załuskiego „akademiki“ stały się modne, nie różniły się jednak w istocie od popisów dorocznych lub dysput, urządzanych przez jezuitów, pijarów i teatynów dla zamanifestowania wiedzy swych uczniów. W końcu czerwca r. 1757 odprawiła się „akademika“ w kolegium pijarskiém w Warszawie na temat: „Na czym dobro i szczęście Rzeczypospolitéj zaległo“; w maju r. 1766 u jezuitów gdańskich w obecności wielkich pań i dygnitarzy (wojewodzin: bracławskiéj Jabłonowskiéj i mińskiéj Hilzenowéj, hetmana pol. w. x. lit. Sapiehy i innych) była „akademika geograficzna przez pytania, z powszechnego ziemiopistwa szlachetnéj młodzieży ziem pruskich szkoły krasomówskiéj do rozwiązania podane“ (1).

Nie przeceniając doniosłości asocyacyi z 1744, ani zebrania uczonych z r. 1753, przyznać należy Załuskiemu zasługę, że pierwszy w XVIII wieku usiłował skupiać ludzi, interesujących się literaturą i budził pośród pisarzy ruch pewien. Towarzystwa naukowego nie stworzył, przygotowywał jednak do niego grunt przez przyuczanie literatów do roboty w gromadzie. W czasach późniejszych rozwinął na tém polu działalność szerszą, gdy znalazł pomocnika w wykształconym, ruchliwym i pełnym zapału cudzoziemcu, Mitzlerze de Kolof.

Studyował Mitzler na uniwersytetach w Lipsku i Wittenberdze teologię, filozofię, medycynę i prawo, poświęcał się téż gorliwie muzyce. Miewał w Niemczech w różnych przedmiotach wykłady publiczne i ogłaszał drukiem rozprawy. W r. 1738 z hr. Jakóbem Lucchesini'm i kapelmistrzem Baemlerem założył w Lipsku towarzystwo dla badania teoryi muzyki i jako jego sekretarz wydawał czasopismo (*Musikalische Bibliothek*), w którém zaciętą z różnemi znakomitościami w materyach sztuki toczył polemikę. W r. 1743 przybył trzydziesto-dwu-letni Mitzler do Polski na pedagoga synów podkanclerzego Małachowskiego i osiadł w Końskich. Obznajmiając najstarszego z podkanclerzyców z różnémi umiejętnościami i zaszczepiając w nim pomysły filozoficzne Wolffa, jednocześnie zajmował się praktyką lekarską, wynalazł nawet cudowny balsam uniwer-

(1) Kurjer polski z r. 1757, N. 26. Wiadomości warszawskie z 17 maja r. 1766.

salny na rany i na podstawie napisanéj o nim dysertacyi pozyskał w Erfurcie dypłom doktorski. Studyował téż literaturę polską, analizował ołów podolski, ze znalezionéj zaś w dobrach Małachowskiego rudy wyrabiał farbę. Osiadłszy w r. 1749 w Warszawie, niesłychaną na różnych polach rozwinął czynność. Fabrykował ów balsam, cudowne własnego również pomysłu pigułki i proszek, pisał rozprawy naukowe i leczył; założył drukarnię, redagował czasopisma i ogłaszał materyały do dziejów. Wielką wagę przywiązywał do towarzystw naukowych, poczytywał je za główny wiedzy rozsadnik. Nic bardziéj, pisał, nie podnosi i nie rozkrzewia umiejętności, jak towarzystwa uczonych, wspólnemi pracujących siłami, a jednoczących się ku usłudze ludzkości. Najwyżéj cenił nauki przyrodnicze, więc i gdańskie *Gesellschafft der Naturforscher* stawiał Polakom za przykład. Rozumiał przecież, że towarzystwo naukowe powstać może w Warszawie nie prędzéj, aż najjaśniejszy król i Rzeczpospolita odpowiedni na cel ten a stały wyznaczą fundusz (1). Jakoż w lat parę po osiedleniu się w stolicy przedsięwziął starania około założenia towarzystwa pod opieką państwową, do czego pobudkę zaczerpnął w rozpaczliwym za Augusta III stanie sztuki lekarskiéj.

Przepełnioną była Warszawa handlarzami balsamów, olejków i proszków; szarlatanami, oddającymi się praktyce lekarskiéj bez żadnéj znikąd kontroli. Rezydent francuski w Warszawie Duperron de Castera przez jednego z samozwańców takich, chirurga przybyłego z Paryża, znaczną dozą niewłaściwego lekarstwa został otruty, co skonstatowali zebrani na rozkaz marszałka wielkiego kor. lekarze. Dla zwalczenia szarlatanizmu ogłosił Mitzler w r. 1752 *Consultatio de necessitate collegii medici auctoritate regia Varsaviae erigendi* (4°, ark.), następnie ułożył projekt statutu towarzystwa dla dozorowania medyków i podniesienia w kraju sztuki lekarskiéj. Projektowane *Collegium medicum* składać się miało ze wszystkich praktykujących w Warszawie doktorów, z trzech mających głos w sprawach swojego fachu chirurgów i tyluż farmaceutów. Kolejno pełnią członkowie przez rok jeden funkcyę prezesa; ci, którzyby, opuściwszy towarzystwo, ponownie do niego wrócili, przewodniczyć mogą dopiero po upływie lat czterech. Do obowiązków prezesa należy zwoływanie członków na posiedzenia, czuwanie nad spełnianiem zadań towarzystwa, udzielaniem żądanych przez publiczność porad itp. O porządku pomiędzy członkami rozstrzyga wiek ich; doktorom jednak nadwornym służy przed innymi pierwszeństwo. Przy-

(1) *Acta litteraria*, z r. 1755 str. 35 i 36.

były skądinąd, choćby był wiekiem starszy, miejsce zajmie ostatnie. Majątek towarzystwa składa się z wpisowego (4 czerw. zł.) i z dwóch czerw. złotych od każdego honoraryum, jakie *Collegium* pobierze za konsultacyę. Z niego prezes opłaca służbę, zakupuje książki i różne opędza wydatki. Zbierają się członkowie towarzystwa co miesiąc dla kolejnego czytania z teoryi i praktyki lekarskiéj rozpraw, które w jednym zbiorze drukowane będą corocznie; dla naradzania się w sprawach zdrowotności publicznéj itp. Medycy, chcący praktykować w Warszawie, oraz chirurgowie, zajmujący się leczeniem wewnętrznéм, obowiązani są złożyć przed *Collegium* egzamin. Nieposłusznych *Collegium* po trzykrotném wezwaniu przy pomocy służby marszałkowskiéj, urzędu starościńskiego lub prezydenta Warszawy przymusowo sprowadzi i w pierwszéj instancyi osądzi. Apelacya służy do sądów marszałkowskich, lub asesorskich kanclerza. Lekarze prowincyonalni powinni również zaopatrzyć się w świadectwo *Collegium*. Oprócz tego czuwa towarzystwo nad rzetelnością wyrobu lekarstw, rewiduje dwa razy do roku apteki i preparaty złe lub zastarzałe usuwa.

Poparł Mitzlera dawny chlebodawca jego, obecnie kanclerz wielki kor. Małachowski i August III 5 grudnia 1752 r. statut zatwierdził (1). Jednakże dla niedochodzących sejmów niemożliwém było pozyskanie sankcyi Rzeczypospolitéj i *Collegium medicum* w życie nie weszło.

Niezrażony niepowodzeniem, nie przestaje Mitzler krzątać się około organizowania towarzystw prywatnych i ogłasza w trzy lata późniéj *Leges Instituti Literarii Varsaviensis, coepti anno MDCCLVI, mense Januario* (4°, kart 2), przypominające Załuskiego *Projekt assocyacyi Kilkunastu lub Kilkudziesiąt Uczonych*. Zadaniem *Instituti literarii*, do którego oprócz starosty bobrownickiego Podoskiego i zaaklimatyzowanych w Polsce: Mitzlera i Janockiego, należeli cudzoziemcy: Böttiger, baron le Fort, M. Sontag, Kuur, Gürtler, Wilke, Vollhardt, Essen i Goetze,—było sprowadzanie pism zagranicznych i ku odczytywaniu rozpraw odbywanie raz na miesiąc posiedzeń (2). Pod datą 31 marca 1763 r. wychodzi znowu z pod prasy francuskie ogłoszenie (*Avis*) Mitzlera, zachęcające do sprowadzania z zagranicy za pośrednictwem księgarni jego dzieł i czasopism (3). Jeżeli *Institutum literarium* mogło miéć pewną doniosłość dla kolonii cudzoziemskiéj w Warszawie, to *Avis* z 31 marca 1763 r. nie przekraczało chyba granic spekulacyi księgarskiéj.

---

(1) Podaje go w całości *Warschauer Bibliothek* z r. 1754. I, str. 81—84 i Gąsiorowski w *Zbiorze wiadomości do hist. sztuki lek. w Polsce*. II, 109. — (2) Jocher *l. c.* I, 23. (3) Tenże *l. c.* I, 231.

II.

Towarzystwo literatów w Polszcze ustanowione (1765—1770) i jego wydawnictwa. Warszawskie towarzystwo fizyczno-chymiczne (1767 — 69). *Societas Jablonoviana* (1770).

Institutum Societatis Literariae ad edendos optimos et Poloniae utilissimos libros przybiera charakter ogólniejszy i do rezultatów prowadzi większych. Każdy, opiewa statut z r. 1765 (1), śledząc za odrodzeniem nauk w Polsce zauważyć może brak ksiąg dobrych, mianowicie pisanych w języku ojczystym. Pracowali w przeciągu ostatnich lat trzydziestu nad rozwojem umiejętności liczni mecenasi—panowie; popiera je królujący szczęśliwie wiedzy miłośnik Stanisław August; obecnie zaś przez utworzenie z magnatów i zwolenników literatury (*ex proceribus et literarum amatoribus*) towarzystwa do współdziałania na tém polu otwiera się sposobność wszystkim, dobrze życzącym ojczyźnie. Każdy, składając w styczniu do kasy towarzystwa od 20 do 50 czerw. złotych, otrzymywać będzie przez pierwsze dwa lata odsetki (po 8%) w książkach po cenie lipskiéj; w trzecim roku odbierze w tejże formie połowę, w czwartym resztę wkładu z procentem. Wybór książek pozostawia się członkom. Założyciele towarzystwa zobowiązują się ogłosić po upływie roku katalog najlepszych wydawnictw francuskich, łacińskich, niemieckich i polskich. W taki sposób, dodaje statut, miłośnicy i mecenasi nauk w Polsce (*literarum in Polonia amatores, promotoresque*) nietylko zyskują możność najtańszego zaopatrzenia się w książki, lecz i okazyę do służenia krajowi. Niedość bowiem, że napływ ksiąg dobrych przyczyni się do większego rozkwitu nauk, lecz i pieniądze, które poprzednio bezpowrotnie wychodziły zagranicę, pozostaną w królestwie. Nie masz potrzeby przepłacania książek zagranicznych gotówką, skoro ich taniéj może dostarczyć Mitzler przez zamianę na własne wydawnictwa łacińskie.

Program, wyłożony w statucie, niezupełnie się zgadzał z zapowiedzią nazwy towarzystwa: *ad edendos optimos et Poloniae utilissimos libros* i nie bardzo się wiązał ze wzmianką o braku książek, pisanych w języku ojczystym. Pośredniczenie w nabywaniu wydawnictw

---

(1) *Institutum Societatis Literariae ad edendos optimos et Poloniae utilissimos libros. coeptae a.* 1765 *mense Januario. Promotore Illustrissimo atque Excellentissimo Domino J. A. Zaluscio Episcopo Kioviensi etc., Executore Laurentio Mitzlero de Kolof. R. Pol. Hist. et Med. D. Cum approbatione superiorum. Varsaviae, mense Januario* 1765. 4⁰. kart 2. Tekst statutu podał w całości Wisłocki (*Krótka wiadomość o Towarzystwie Literatów w w XVIII.* Odbitka ze *Szkoły*. Lwów, 1869, str. 8).

zagranicznych, opromienione nawet tendencyą niewywożenia z kraju gotówki, nie przekraczałoby znowu zakresu spekulacyi, gdyby towarzystwo nie przedsięwzięło działalności w duchu swéj nazwy i uwagi o potrzebie pomnażania dzieł polskich. Na pierwszéj książce francuskiéj figuruje jako *l'Institut de la Société littéraire en Pologne*, na polskich pisze się: *Towarzystwo Litteratów w Polszcze ustanowione*, na łacińskich *Societas literaria polona*. Nakładem jego następujące z drukarni Mitzlerowskiéj ukazały się dzieła:

1) *l'Art de bien prononcer en Francois, à l'usage de la Noblesse Polonoise, dediée à Son Excellence Msgr. le Comte J. A. Załuski Evêque de Kiovie par le R. P. Jean Jac. de la Borde de la Comp. de Jesus, à Varsovie 1765, imprimé par l'Institut de la Societe litteraire en Pologne dans l'Imprimerie Mitzlerienne.* 8-a, stron 192.

Wyszła pod koniec lipca, kosztowała 4 szóstaki (1).

2) *Decyusza Ausoniusza Burdygalczyka konsula rzymskiego y Gracyana Cesarza niegdyś nauczyciela epigrammata, nagrobki y edyllia wybrane przekładania J. E. Minasowicza K. K. J. K. M. S. w Warszawie w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego 1765.* Godło: *Qui sua non edit carmina, nostra legat.* Auson. Epigr. XXXII. 8-a, kart nlb. 3 i stron 136.

Wylicza Minasowicz na końcu (str. 130—136) polskich tłómaczy poetów klasycznych. Dedykował pracę swoją królowi i zaraz po wydrukowaniu, pod koniec października do rąk najjaśniejszego ją złożył. W początkach listopada donosiły o tém zdarzeniu gazety (2).

3) *Historia nauk wyzwolonych przez IMć Juvenel de Carlancas francuskim językim* (sic) *pisana, na polski przełożona ad usum Korpusu Kadetów J. K. Mci, w Warszawie. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego, w Drukarni Mitzlerowskiey. 1766.* 8-a, kart nlb. 6 i stron 540.

Początek, obejmujący gramatykę i języki, wyszedł w marcu, kosztował dwa złote; ciąg dalszy, zawierający rymotwórstwo — w sierpniu w cenie trzech złotych nowéj monety. W rok po wyjściu zeszytu pierwszego sprzedawano całość na papierze klejowym za sześć, na wodnym, ordynaryjnym za zł. pięć. Wychwalały książkę gazety, że zawiera „krytykę autorów, o historyi polskiéj piszących“ (3). Pomnożył istotnie tłómacz dzieło wiadomościami o literaturze polskiéj, mianowicie o historykach i mówcach, lecz zgrzeszył nadmierną zwięzłością. Przypiski, trafnie zauważył Bentkowski (I, 51), „są po większéj części w tak ogólnych wyrazach wyrzeczone, że

---

(1) Wiadomości warszawskie z 27 lipca r. 1765. — (2) Też z 2 listopada r. 1765. (3) Też z 19 marca i 16 sierpnia 1766 i z 18 marca r. 1767.

czytelnik bardzo często w niepewności zostaje, czyli nazwany ów mówca pisał po polsku lub po łacinie, tudzież czyli pisma te wyszły z druku lub nie.“ Chwali pisma Minasowicza, „który w tym roku przełożeniem Ausoniusza epigrammatów, nadgrobków, edyllów polską mowę wzbogacił.“ W przedmowie, zwróconéj do kadetów, prawi bezimienny tłómacz (1) podniośle: „Wy tę w najopłakańszym (który tylko być może wymyślony) stanie zostającą ojczyznę waszą powinniście zaludnić obywatelami gorliwymi o jéj sławę, o uwiększenie jéj mocy wewnętrznéj i poważania postronnego, o poprawę rządów jéj w gatunku swym najgorszych. Niech was prowadzi ta zacna ambicya, żebyście otuczeni wiadomościami sposobiącemi do tego końca (jak wam przyjdzie pożegnawszy tę zaciszę ćwiczenia waszego do hucznych zabierać się powołania waszego działań), żebyście, rzekę, wy, płód nowy odmienili starą postać kraju swojego i roznosząc każdy po swojém województwie, ziemi, powiecie światła, z pilnością tutaj zebrane, oswobodzili ojczyznę od jarzma tych strasznych tyranów: *Niewiadomości i Prewencyi;* żebyście swoim uczynili przykładem pożytecznego obywatelstwa powinności i miłowonną palili ofiarę dobru publicznemu z tych uprzedzeń i błędów pieszczonych, które nierozsądek postanowił, przeciąg czasu poświęcił, potomek od przodka bez roztrząśnienia przyjął....“

4) *Przyjaciel Białychgłów z francuskiego, edycya druga. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. 1766.* 8-ka, stron 187.

Pierwszy przekład popularnéj książeczki Boudier de Villermet: *l'Ami des femmes, ou la Morale du sexe,* ogłoszonéj w 1758, powtórnie w 1766, wydał Mitzler w r. 1760 (8-a, stron 143). Do drugiéj edycyi polskiéj (będącéj właściwie powtórném odmiennem tłómaczeniem) dodano wyjątek z książki francuskiéj: *La morale universelle etc. par le Sr. des Coustures,* oraz wierszowaną pochwałę dobréj i naganę złéj niewiasty, wybraną z ksiąg Pisma św. Wyszła książeczka w drugiéj połowie lipca, kosztowała dwa złote (2). Tłómacz, Minasowicz, ujawnił swoje nazwisko dopiéro w wydaniu późniejszém.

5) *Marka Valeryusza Marcyalisa xięga widoków rzymskich Domicyana Cesarza tudzież epigramata wybrane z xiąg jego XII. Przekładania Józefa Epifaniusza Minasowicza K. K. J. K. M. S. w Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. 1766.* 8-a, kart nlb. 3 i stron 175.

---

(1) Książę Adam Czartoryski. Jocher (I, N. 2141) myli się, przypisując przekład jezuicie Górskiemu. — (2) Wiadomości warszawskie z 23 lipca r. 1766.

W dedykacyi, poświęconéj Adamowi Czartoryskiemu, Minasowicz, wywdzięczając się za wzmiankę pochwalną, odsłonił tajemnicę, że tłómaczem *Historyi nauk wyzwolonych* Carlancasa był książę. O wyjściu donoszą *Wiadomości Warszawskie* z 19 listopada r. 1766.

6) *Stanislai Jaworski è Societate Jesu Sacerdotis Specimina literaria laborum in Reipublicae Orthodoxae atque Ecclesiae obsequia susceptorum. Sub auspiciis Illustrissimi, Excellentissimi, Reverendissimi Domini Josephi Andreae Załuski Kijoviensium Antistitis publici juris facta anno verbi abbreviati 1767. Superiorum Permissu, Varsaviae, Impensis Societatis literariae Polonae, in Typographia Mitzleriana.* 8-a, kart nlb. 7 i stron 271.

W części pierwszéj po panegirykach dla niepok. poczętéj P. Maryi, św. Ignacego Lojoli, Alojzego i St. Kostki idą: 1) *Oratio de regis Poloniarum majestate,* 2) *Salutatio panegyrica* z roku 1758 z okazyi ingresu na arcykatedrę gnieźnieńską Władysława Łubieńskiego, 3) Pochwała (z r. 1753) Antoniego Lubomirskiego wojewody lubelskiego, 4) *Judicium deputatorum ad celsissimum tribunal Regni salutatio.* Część druga zawiera *Orationes Scholasticae:* 1) Przeciw Kartezyuszowi za Arystotelesem, 2) Na czém zależy doskonała wymowa, 3) Aby umiéć naśladować Cycerona potrzeba koniecznie znać doskonale gramatykę Alwara, 4) Prawdziwa wymowa zasadza się na ozdobie wyrazów i obfitości myśli, 5) Nieochoczy do nauki wymowy młodzieniec musi się stać niecnotliwym (*Desidem in Eloquentiae studio adolescentem improbum fieri est necesse*), 6) Przeciwko krytycznéj Steinvehra rozprawie o godności królów polskich (1). Ujęte w zbiór jeden mowy wygłaszał Jaworski różnymi czasy przed młodzieżą szkolną we Lwowie. *Specimina*, dedykowane J. Andrz. Załuskiemu, wyszły przy końcu stycznia, kosztowały cztery złote (2).

7) *Tigranes tragedya we trzech aktach* z *włoskiego przekładania J. E. M. K. K. J. K. M. S. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1767,* 8-a, stron 48.

Pisana wierszem, dedykowana Ign. Krasickiemu. Wyszła w marcu, kosztowała złotówkę (3).

8) *Małżeństwo Samnitów. Rzecz* z *Powieści Moralnych Jmci P. Marmontel Wybrana* z *Francuskiego na Polskie tłumaczona. w Warszawie w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. 1767.* 16-a, stron 44.

Edycya ozdobna, ukazała się w czerwcu. Egzemplarz kosztował złotówkę (4).

---

(1) Wolff Balcer Adolf de Steinwehr wydał w r. 1758 *Regiae in Polonia dignitatis origines commentatione hist. critica requisitae.*— (2) Wiadomości warszawskie z 31 stycznia 1767 r. — (3) Też z 7 marca r. 1767. — (4) Też z 10 czerwca r. 1767.

9) *Filozof indyjski albo sposób uszczęśliwienia życia ludzkiego w społeczności. Zawarty w krótkiey liczbie nauk czystych obyczajowych, zebranych y ułożonych przez jednego starożytnego Bramina. Z chińskiego języka na angielski, z angielskiego na francuski, a teraz świeżo z francuskiego na polski dla pożytku Rodaków przełożony. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey. 1767.* 8-a, kart nlb. 4, str. 76 i „zbiór rzeczy."

Zawartość książeczki stanowi szereg artykułów: o skromności, pracy, emulacyi, roztropności, stałości, wstrzemięźliwości, nadziei i bojaźni, o wesołości i smutku, o gniewie, politowaniu, żądzy i miłości *etc. etc.* Na końcu: „Przydatek edytora, albo powieść moralna wybrana z księgi Mikołaja Reja z Nagłowic." Wyszła we wrześniu, egzemplarz introligowany kosztował zł. 1 gr. 15 (*). Tłómacza (Minasowicza) odsłoniła edycya druga.

10) *Pantheum mithicum* (sic) *albo bajeczna bogów historya. W tey zebranych wiadomości starożytnych xiążce krótko i iaśnie zawarta. Z Łacińskiego na Polski Język przez X. Piusa Woynę Soc. Jesu na rozkaz Xcia Jmci Adama Czartoryskiego dla Korpusu Kadetów J. K. Mci przełożona. Z przedmową Wawrzyńca Mitzlera de Kolof Filozofii i Medycyny Doktora, Dziejopisa Królestwa Polskiego, J. K. Mći Konsyliarza i różnych cudzoziemskich Akademii Towarzysza. w Warszawie. Nakladem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1768.* 8-a, kart nlb. 7, str. 368 i regestr.

Ozdobiony 28 pięknymi kopersztychami przekład *Pantheum* Franciszka Pomey'a należy do najwytworniejszych wydawnictw polskich z XVIII stulecia. Egzekutor pilnych względem poprawnego wydania téj książki dokładał starań. „Styl w niey — zapewniał w datowanéj 17 stycznia r. 1768 przedmowie — Polski iest, iako sam obaczysz, iasny, gładki, i iako teraźnieyszych czasów zaczynamy, czysty i żywemi niby kolorami rzecz wyrażający. W. zaś Jmć X. J. E. Minasowicz Kan. Kathedr. Kiow. nietylko błędy Drukarskie z pilnością poprawił, ale też niektóre wiersze łacińskie na Polski ięzyk wybornie przełożył. Co się mnie tycze, iam nic nie opuścił, czego potrzeba było, aby ta Edycya Polska iak nayzupełniey bez żadnych omyłek i błędów na świat wyszła, dla czegom zawsze Exemplarz Łaciński z Polskim tłumaczeniem pilnie znosił, co Greckiego było wydrukować należycie starałem się, ani żadnego kosztu na papier, druk dobry, pilne wybicie, na 28 blach miedzianych zagranicą sztychowanych nie żałowałem. Co ieżeli tak iest, żem Tobie łaskawy Czytelniku Polaku xiążkę i użyteczną i tak wyborną, iaka się ieszcze naszych czasów w Polszcze nie pokazała, ofiarował, ciesz

(*) Wiadomości warszawskie z 16 września r. 1767.

się, a moim usiłowaniom co do pomnożenia w Polszcze nauk i umiejętności sztuk wyzwolonych łaskawie sprzyiay. Który nic więcey nie żądam, abym ieno, póki mi nieba życia pozwolą, Polszcze, za Oyczyznę odemnie obraney, iak tylko bydź może był zawsze pożytecznym.“ Zaraz po wyjściu, w niedzielę 31 stycznia „przy zgromadzonych na pokoje zamkowe panach Jmć Pan Mitzler de Kolof, doktor i konsyliarz miał honor oddać J. K. Mci P. N. M. Mitologię albo bajeczną bogów historyę, przełożoną na polski język, pięknością stylu i kopersztychami ozdobną, którą Król Imć łaskawie raczył przyjąć.“ Egzemplarz bez oprawy kosztował złotych 10, introligowany *a la rustica* zł. 10, groszy srebrnych trzy (1).

11) *Początki krajopisarstwa ku pożytkowi akademii rycerskiey Korpusu Kadeckiego. W Warszawie. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego, w drukarni Mitzlerowskiey Korpusu Kadeckiego. R. P. 1768.* 8-a, kart nlb. 3 i stron 234.

W dedykacyi królowi „nayniższy, naypokorniejszy y naywiernieyszy poddany d'Edling Professor“ przyznaje się do nieudolności w polszczyźnie. Wykład katechizmowy, podział materyału na mapy: pierwsza o całym okręgu ziemi, druga o Europie, trzecia o królestwie polskiém, czwarta o Prusach, piąta o cesarstwie rosyjskiém i Tataryi małéj *etc.* Uwzględniono w wykładzie organizacyę wewnętrzną państw, na końcu zaś podano wiadomości astronomiczne i zadania na temat obchodzenia się z globusem. Wyszły *Początki krajopisarstwa* pod koniec kwietnia, egzemplarz kosztował trzy złote (2).

12) *Obraz nędzy ludzkiey. Tragikomedya w pięciu aktach. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. 1768.* 8-a, stron 108.

Tragikomedya pisana prozą, na końcu wierszowane „Przypiski edytora pod niebytność authora.“ Wyszła w maju, sprzedawano ją po zł. 1 gr. 15 (3). Na drugiém wydaniu z r. 1795, p. t. *Ludzkość litująca się czyli obraz nędzy ludzkiey*, figuruje jako autor Józef Załuski, a pod przypiskami owymi nazwisko swoje Minasowicz położył. „Przypiski edytora pod niebytność authora“ wywołał wyjazd biskupa kijowskiego w połowie października r. 1767 do Rosyi.

13) *Nouvelle Methode pour apprendre aisément la langue latine Dediée au corps roial et militaire de Messieurs les Cadets de Pologne. Nowy sposób uczenia łatwego języka łacińskiego ofiarowany rycerskiey szkole Ichmciów panów Kadetów J. K. Mci y Rzeczypltey. W Warszawie, w Drukarni J. K. Mci y Rzeczypospolitey Korpusu*

(1) Wiad. war. z 3 lutego 1768.—(2) Też z 4 maja 1768.—(3) Też z 28 maja 1768.

Kadetów Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1768. 8-a, kart nlb. 6, stron 227 i *Tablette des calendes, des nones et des ides.*

Podręcznik w języku francuskim i polskim. Pod przedmową podpisał się François Fookowitz. Wyszedł we wrześniu, cena egzemplarza zł. cztery. Sprzedawał i sam autor, Mr. l'Abbé Fookowitz w mieszkaniu swojém na Długiéj w pałacu Ciecierskich (1). Mitzler wyjednał u króla podpisany 29 lipca r. 1768 przywiléj na lat 50, zabraniający przedruku pod karą 1000 czerw. złotych w połowie na rzecz wydawcy, w drugiéj na korzyść skarbu. Znać za pozwoleniem Mitzlera ukazała się w r. 1773 edycya Grelowska.

14) *Józef Starozakonny. Tragico-komedya w pięciu aktach wierszem nierythmowym przez X. Józefa Minasowicza Kanonika Kathedr. Kijowskiego z innemi drobnieyszemi na końcu przydatkami z łacińskiego przełożona. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey Korpusu Kadetów. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1768.* 8-a, stron 84.

Rymowane przydatki składają: 1) Józef starozakonny syn Jakóba patryarchy, wielkorządca Egiptu z Emmanuela Thesaura, 2) Józef albo ucieczka od okazyi grzechowych, 3) Tróyca znakomitych Józefów w piśmie św. Niektóre z nich były przedrukiem; trzeci wzięto z części III (str. 350) *Zbioru rytmów* Minasowicza. Wyszedł *Józef starozakonny* w październiku w cenie złotówki (2).

15) *Filozof indyjski etc. przełożony przez J. E. M. K. K. J. K. Mci Sekr. Edycya druga. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey. 1769.* 8-a, kart. nlb. 3, stron 78 i „zbiór rzeczy."

Z wyjątkiem opuszczonéj kartki „Wprowadzenia do rzeczy", edycya bez zmiany. Wyszła w lutym, egzemplarz introligowany *a la rustica* kosztował zł. 1 gr. 15 (3).

16) *Wyobrażenie poczciwego człowieka JMści X. Goussaulta, Licencyata Akademii Sorbońskiey y Konsyliarza Parlamentowego po francusku określone a przez Józefa Epifaniusza Minasowicza K. K. J. K. M. Sekr. oyczystym piórem wyrażone. Edycya druga. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. R. P. 1769.* 8-a, kart nlb. 8, stron 157 i regestr.

Przekład popularnéj książeczki: *le Portrait d'un honnête homme,* która w r. 1700 w trzeciém wyszła wydaniu, a w 1762 ukazała się u nas po polsku. Dodatki do drugiéj edycyi składają: 1) Mowa Isokratesa krasomówcy atheńskiego do Demonika z tłomaczenia francuskiego

---

(1) Wiad. war. z 10 września r. 1768. — (2) Też z 19 października r. 1768. — (3) Też z 18 lutego r. 1769.

Regniera; 2) *Extrait du livre: Essai sur les moeurs, imprimé a Paris 1756*,—tekst francuski z przekładem; 3) Mądrość ludzka albo wyobrażenie poczciwego człowieka przez JMci X. Franciszka de Solignac de la Mothe Fenelona, arcybiskupa xiążęcia Kameraceńskiego, wierszem francuskim określona, przez J. E. M. rytmem oyczystym przełożona,—z tekstem oryginalnym; 4) Uwagi niektóre y Maxymy moralne Graffa Szwedzkiego Jana Oxensztyrna z franc. W dedykacyi podskarbiemu wiel. kor. Teodorowi Wesslowi wykłada Minasowicz historyę rodu tego pana, zaznaczając z naciskiem, że matka jego, kasztelanka rawska Teresa Załuska, była stryjeczną siostrą biskupa kijowskiego. Opuściła prasę książeczka we wrześniu, kosztowała zł. 2 gr. 15 (1).

17) *Sielanki polskie z różnych autorów zebrane a teraz świeżo dla pożytku i zabawy Czytelników przedrukowane. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey Korpusu Kadetów. 1770*. 8-a, kart nlb. 7 i str. 424.
Po umieszczonym na czele wyjątku z *Historyi nauk wyzwolonych* Carlancasa „O wierszu Pasterki rzeczonym albo bukoliki" idą: 1) Simona Simonidesa sielanki według wydania Marcina Łęskiego z roku 1614; 2) Sielanki nowe ruskie różnym stanom dla zabawy teraz świeżo wydane przez Simeona Zimorowicza Lwowianina r. 1663; 3) Roxolanki to jest: Ruskie panny na wesele B. Z. z K. D., według wydania z roku 1654; 4) Sielanki Jana Gawińskiego z wyd. r. 1668; 5) Sielanka i różne nagrobki z przydatkiem innych authorów przez Gawińskiego z wyd. r. 1650; 6) Bucolica albo pasterki P. Wirgiliusza Marona, przekład Nagurczewskiego; 7) Minasowicza sielanki: Polifem, Ulysseus, Orfeusz ze zbioru rytmów jego polskich wybrane; 8) Biona Smyrneńczyka lament Wenery nad Adonisem, — tekst łaciński z przekładem. Każda część ma oddzielną kartę tytułową: na pierwszéj i drugiéj zaznaczono: „przedrukowane w drukarni Mitzlerowskiey R. P. 1769"; na dalszych i na naczelnéj wyrażony rok 1770. Pod dedykacyą Adamowi Czartoryskiemu podpisany *N*.... W przedmowie, datowanéj 26 kwietnia r. 1770 Mitzler zaznacza, że dopomógł mu Minasowicz przez dostarczenie z własnéj biblioteki Roxolanek Zimorowicza i zapowiada wydanie wszystkich ód Horacyusza w przekładzie. Ukazały się *Sielanki* w maju, egzemplarz introligowany *a la rustica* kosztował zł. 6 gr. 15 (2).

Z wydawnictw towarzystwa nie wszystkie wagi są równéj. Na *Specimina* Jaworskiego szkoda było zachodu i kosztu; *Obraz nędzy* Załuskiego, jeden z tych utworów, które biskup dla rozrywki zwykł

(1) Wiadomości warszawskie z 6 września r. 1769. — (2) Też z 9 maja r. 177.

był układać w podróży, — mógł bez krzywdy dla literatury w rękopiśmie pozostać. Nie bez wartości są przekłady prozą i wierszem Minasowicza, który do najzawołańszych literatów należał; rzetelny zaś zaszczyt przynoszą towarzystwu książki pedagogiczne: Carlancasa, Fookowitza, d'Edlinga, Pomey'a, zwłaszcza, że pisane po polsku. Znać, że towarzystwo żywo potrzebę książek szkolnych brało do serca, skoro, nie ograniczając się na przekładach rzeczy tak dobrych, jak *Historya nauk wyzwolonych* i *Pantheum*, nie zaniedbało i do układania dzieł oryginalnych autorów nakłaniać. Namówiło Fookowitza i profesora d'Edlinga, przedsięwzięło też starania około wydania gramatyki polskiéj. *Grammatyka powszechne wszystkim językom i własne polskiemu prawidła w sobie zamykająca, dla doskonalszego w oyczystey mowie połowu, a tym prędszego i łatwieyszego od oboiey płci młodzieży obcych języków pojęcia*, z *dyspozycyi Prześwietnego Towarzystwa Literatów przez M. Walentego Szylarskiego w przesławney Akademii Krakowskiey nauk wyzwolonych i filozofii doktora i professora do Collegium wezwanego ułożona R. 1767* była już zupełnie gotową; jedynie obszerność dzieła powstrzymała towarzystwo od ogłoszenia jéj drukiem (1). Przez dostarczanie podręczników i pomysł opracowania gramatyki polskiéj wyprzedzała *Societas literaria* działalność Towarzystwa do ksiąg elementarnych i najlepszych w Komisyi edukacyjnéj głów naszych w sprawie przekształcenia szkolnictwa.

Niewątpliwie, że ruchliwy *Promotor* w pracach towarzystwa rolę grał ważną; zalecone jednak przez niego dziełka: J. J. de la Borde i Jaworskiego nie zdradzają w kierowniku poglądów wyższych. Na wyjeździe z kraju wielbiciela francusczyzny i scholastycyzmu towarzystwo nie cierpi; sądząc z jakości i liczby wydanych książek, krząta się skuteczniéj, niż przedtém. Donioślejszy był za to wpływ Czartoryskiego, który dla zaopatrzenia korpusu kadetów w dobre książki podręczne, nietylko wyszukiwał autorów, lecz i sam, tłómacząc *Historyę* Carlancasa, pracy nie skąpił. Niezmordowany Minasowicz dostarczał własnego przekładu utworów poetycznych i książeczek treści moralnéj, czuwał też nad stroną literacką wydawnictw. *Executor* przez ozdobność, a nawet wykwintność druków na dobre jako typograf zasłużył imię. Tłoczył i sprzedawał je najprzód na ulicy Dunaju; w roku 1768, zostawszy drukarzem korpusu kadetów, przeniósł kaszty do koszar kazimierowskich, z księgarnią zaś ulokował się w kamienicy adwokata konsystorskiego Niegardowskiego na Piwnéj (2).

---

(1) Wisłocki. Krótka wiadomość o Towarzystwie literatów, str. 11.

(2) Wiadomości warszawskie z 23 lipca r. 1768.

Po największém natężeniu w r. 1768 ruchliwość towarzystwa słabnie. W r. 1769 zdobywa się na dwa tylko drobne przedruki; szczęśliwym pomysłem wydania *Sielanek* grono „niemniéj rodowitością, jako téż mądrością“ (według wyrażenia Szylarskiego) zaszczyconych mężów pięcioletnią działalność zamyka (1). Pozostałe na składzie w księgarni Mitzlera wydawnictwa towarzystwa literatów były egzekutor od czasu do czasu w ogłoszeniach publiczności zalecał. Po śmierci Mitzlera (1778) zbywano je na Wielopolu za żelazną bramą, we dworku Imć Pana Zacharkiewicza razem z nakładami nieboszczyka „za cenę mierną.“ Nabył resztki księgarz Poser i po znižonéj sprzedawał cenie (2).

Podczas najruchliwszéj działalności literatów, w jesieni r. 1767 zawiązało się Warszawskie towarzystwo fizyczno-chymiczne. Przyjmowało na członków zarówno cudzoziemców, jak i krajowców, uformowało się zaś dla badania zjawisk fizycznych, rekomendowania obywatelom skutecznych lekarstw, przedewszystkiém zaś dla udzielania wskazówek praktycznych ku podniesieniu w kraju przemysłu rolnego i fabryk. Podejmowało się na własny koszt analizy nadesłanych minerałów i ciał płynnych; przyrzekało nie ujawniać rezultatów badania, dopóki doświadczenie ich zastosowania praktycznego nie stwierdzi. Przedmioty i listy w języku łacińskim, niemieckim i francuskim odbierało przez Grela; na wszelkie zapytania zobowiązywało się odpowiadać w przeciągu miesiąca. W kwietniu r. 1768 wypuściło towarzystwo pierwszy zeszyt wydawnictwa p. t. *Vermischte Abhandlungen der Physisch-Chymischen Warschauer Gesellschaft zur Befoerderung der praktischen Kenntnisse in der Naturkunde, Oeconomie, Manufakturen und Fabryken, besonders in Absicht auf Polen;* w grudniu tegoż roku wyszedł nakładem Michała Grela Kommisarza Nadw. y Bibliopoli J. K. Mci przekład X. P. Twardego: *Różne uwagi fizyczno-chymicznego warszawskiego Towarzystwa na rozszerzenie praktyczney umiejętności w fizyce, ekonomii, manufakturach y fabrykach, osobliwie względem Polskiey.* Zeszyt oryginału kosztował *in crudo* zł. 1, *a la rustica* zł. 1¼; tłómaczenia (8-a, stron 93 z kopertszychem), które się opóźniło dla zamieszek krajowych, zł. 1½ (3). Zeszyt drugi oryginału i tłómaczenia (8-a, stron 91) niewiadomego pisarza wyszedł w maju w roku następnym (4). Po wstępie,

---

(1) Źródła funduszów towarzystwa nie znamy. Czyżby obracało projektowanymi w statucie z r. 1765 wkładami członków po 20—50 czerw. złotych? Z wiadomością Załuskiego, że *Specimina* Jaworskiego swoim kosztem wydał (*Biblioteka historyków etc.* str. 50), nie zgadza się napis na karcie tytułowéj: *Impensis Societatis*.

(2) Gazeta warszawska z 14 października i 16 grudnia 1778, z 24 lutego r. 1779.

(3) Wiadomości warszawskie z 13 kwietnia i 24 grudnia r. 1768.

(4) Też z 24 maja r. 1769.

datowanym 1 października r. 1767, zaznaczającym niewyzyskane bogactwa Polski i potrzebę pracy około podniesienia przemysłu rolnego i fabryk, pomieściła część pierwsza rozprawki: o chemii, jéj zakresie i celu; o kamforze z ziół krajowych; uwagi nad różnicą pomiędzy wodą twardą i miękką; o chemiczno-ekonomiczném przygotowaniu ołowiu; opis niektórych fabryk i manufaktur, któreby z wielką korzyścią w Polsce założone być mogły; o różnorodności gór, udoskonaleniu nauki lekarskiéj, białym proszku mineralnym „z saydszycu“, o chorobach bydlęcych i ich leczeniu. W części drugiéj podano: o robieniu cegły, pożytku chowu kóz, o kilku gatunkach ziemi z pod Krakowa, o piasku złotym, fabrykacyi potażu, o piecach, potrzebie laboratoryum chemicznego itp. Mały towarzystwo budziło w kraju interes; z czterech odezw: jednéj z prośbą o analizę piasku złotego, drugiéj, potrącającéj potrzebę fabrykacyi porcelany,—dwie komunikowały mu niezadowolnienie i monita. Pierwszy bezimienny, zarzucając wydawnictwu niedostępność w traktowaniu przedmiotów, żądał wykładu elementarnych nauki początków; drugi uznawał towarzystwo za niepotrzebne, pismo jego za pozbawione dowcipu. Poprzestało też towarzystwo na ogłoszeniu dwóch zeszytów wydawnictwa i w r. 1769 upadło.

Ówczesne warunki polityczne pozbawiały towarzystwa naukowe prywatne poparcia ogółu; państwo, trapione zamieszkami i wojną, ani im opieki udzielić, ani się samo na dźwignięcie odpowiedniéj instytucyi zdobyć nie mogło. Funkcyonowały przeto towarzystwa opieszale i krótko; wiele dobrych pomysłów marniało w chwili poczęcia tak samo, jak uchwalona konstytucyą z r. 1768 akademia lekarska, która w życie nie weszła nigdy. Nie przyczyniały się do trwałości towarzystw i usposobienia mecenasów ówczesnych, najlepszemi często ożywionych chęciami, lecz nieuzdolnionych do pracy w gromadzie. Książę Józef Aleksander Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, zabiegał około ułożenia dokładnéj mapy Rzeczypospolitéj; fundował w Gdańsku *Acta literaria* tj. bibliotekę kontynuatorów Kromera i wszelkich nowych na obszarze Polski wydawnictw; w listopadzie r. 1760 przedstawił uczonym warszawskim projekt czterech medali za rozprawy z geometryi, mechaniki i hidrauliki, z fizyki i dziejów polskich (1);—zamiary te przecież, jako przechodzące siły jednostki, albo spełzły na niczém, albo wydały

(1) Biblioteka warszawska z r. 1842, t. II, str. 319. Tego rodzaju konkurs nie był nowością; Załuski, biskup krakowski, z okazyi inauguracyi biblioteki wzywał w r. 1746 literatów do upamiętnienia faktu wierszami lub prozą. „Destynował medaliony szczerozłote *pro proemio* tym, których lukubracye będą za najdoskonalsze osądzone“ (*Kurjer polski* z 27 lipca r. 1746).

rezultaty ułomne. Mapę wydał w r. 1772 Rizzi Zannoni, lecz z licznymi błędami; biblioteka nie odznaczała się chyba zosobnością, skoro pamięć o niéj zanikła; premia do skutku doszły (1), stały się nawet zawiązkiem towarzystwa naukowego, które jednak wpływu na umysłowość polską nie wywarło zgoła żadnego. W r. 1765 przesłał Jabłonowski towarzystwu gdańskiemu 90 czerw. złotych dla wypłacenia autorom najlepszych rozpraw na następujące tematy: 1) „Przyjście Lecha do Polskiey koło r. 550 jeśli może być dowiedzione lepiey, niż dotąd świadectwami authorów tegoż albo nieco późnieyszego wieku, czy téż cale ma być odrzucone“. 2) „Rozmierzyć i podzielić jak naylepiey las albo błocka niedostępne i nieprzeyrzane i pokazać, jak daleko rozciągają się, oraz czy po uczynionym rachunku jak należy można się pomylić, zażywszy albo niezażywszy do tego instrumentów“. 3) „Jakim sposobem nowym można ubezpieczyć brzegi przeciwko pędowi wód i lodu, skupionego w rzekach bystrych, ażeby jak naymnieyszym kosztem zabiedz biegowi wód kry zgromadzonéy“. Rozprawy, pisane po łacinie, po francusku lub po niemiecku należało nadsyłać na ręce sekretarza towarzystwa gdańskiego, doktora medycyny Schefflera przed 1 lutego r. 1766; ubiegające się o nagrodę nie powinny więcéj czasu nad godzinę zająć w czytaniu. Na sędziów wyznaczył Jabłonowski członków towarzystwa; rozdanie nagród miało nastąpić na publicznem posiedzeniu w dzień imienin księcia, 19 marca r. 1766. Jakoż w terminie oznaczonym „numizma złote, ważące czerw. zł. 30“ przyznano: za zadanie geometryczne wychowańcowi akademii wileńskiéj, komornikowi kowieńskiemu Awerowi; za fizyczne (temat trzeci) sekretarzowi toruńskiemu Hubemu; premium zaś „rozwiązaniu historycznéj trudności służące“, z powodu małéj liczby nadesłanych rozpraw odroczone do 19 sierpnia, otrzymał August Ludwik Schloetzer (2). Rychło atrybucye towarzystwa gdańskiego przeniósł książę mecenas na profesorów uniwersytetu lipskiego. Osiadłszy w r. 1770 w Saksonii, ufundował w Lipsku przeważnie z profesorów miejscowych pod nazwą *Societas Jablonoviana (Jablonowskische Societät der Wissenschaften)* towarzystwo dla wyznaczania tematów i nagradzania premiami (24—30 duk.) lub medalami złotymi autorów najlepszych rozpraw z historyi, umiejętności fizyko-matematycznych i ekonomii. Na

(1) Chwalił za nie księcia J. D. Hoffmann w broszurze: *Ad Josephum Alexandrum e ducibus Prussiis principem Jablonovium, fundatorem proemiorum, quibus operas doctissimorum virorum quotannis condecorari decrevit, fausta acclamatio.* 1761. 8-a.

(2) Wiadomości warszawskie z 6 listopada 1765, z 17 maja i 4 czerwca r. 1766. Na medalach były napisy: za historyę — *Monumentum auro carius aere perennius;* za fizykę — *Recedant vetera, nova sunt omnia;* za trygometryę i matematykę — *Post tenebras spero lucem.*

rok 1772 następujące ogłaszano w gazetach tematy: 1) „Jakie były dawne mieszkania Wenedów i Antów? co to był za lud Wenedów, mieszkający na brzegach morza Adryatyckiego, który podług Strabona, Polibiusza i Liwiusza nie umiał ani greckiego, ani łacińskiego, ani Gaulów języka; jaki tych narodów mógł być związek lub społeczność z Czechem i Lechem?“ 2) „Pokazać dowody z jak największéj autorów liczby, jeśli od rzeki Elby i z innych krajów niemieckich Wilzesowie, Serbowie albo Sorabowie przybyli do Kroacyi i Dalmacyi, albo jeśli z Illyryku przyszli do Niemiec“; 3) „Znaleść odległość jednego miejsca przystępnego albo nieprzystępnego z instrumentami albo bez instrumentów, jak czynią Francuzi, a to różnymi sposobami; tożsamo ma się rozumiéć o zmierzeniu wysokości i głębokości“. Rozprawy w języku łacińskim przed 1 maja r. 1772 należało nadsyłać na ręce profesora krasomówstwa, IPana Ernesti (1). Rozpoczęło też w r. 1771 towarzystwo wydawać: *Acta Societatis Jablonovianae,* zarówno jednak dla składu swego, jak i z powodu odległości, wpływu na Polskę wywrzéć nie mogło. Słusznie o Jabłonowskim napisał Kołłątaj, że więcéj w fundacyi lipskiéj własnéj szukał sławy, niż oświecenia obywatelów ojczyzny (2). Znać za przykładem Jabłonowskiego wystąpił w r. 1770 z premiami i biskup wileński Massalski. Przeświadczony, „że rozum, prawdziwie objaśniony równie pomaga do poprawienia obyczajów, jako téż do utwierdzenia nas w świętéj wierze naszéj“, wyznaczał medale wagi 30, 20 i 10 czerw. złotych „za ułatwienie trzech kwestyi i w ogólności innym i w szczególności Litwie pożytecznych“: 1) „Które wiadomości i które cnoty potrzebne są dobremu Plebanowi, ażeby chwalebnie zadość czynić swoim powinnościom jako obywatel i jako Pasterz? oraz jakich należy użyć środków do tego tak wielkiego zamysłu wykonania“ (3). 2) „Jakaby powinna bydź edukacya młodzi szlacheckiey, których urodzeniu mniey sprzyja dostatkami fortuna, ażeby ich uczynić prawdziwie pożytecznymi Oyczyźnie?“ 3) „Jakie nauki należałoby dawać kmiotkom, tey tak szacowney cząstce społeczeństwa ludzkiego, a tak u nas upodloney?“ Wolno było pisać po łacinie, po francusku, po niemiecku lub téż po polsku; rozdanie nagród nastąpić miało w r. 1770 we wrześniu (4). W r. 1774 za najlepsze rozwiązanie kwestyi pedagogicznéj („Co bardziéj zachęca

---

(1) Wiadomości warszawskie z 23 listopada r. 1771.

(2) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce. Poznań, 1841. II, 56.

(3) Prawdopodobnie z tematu tego ks. J. Kossakowski wziął pochop do napisania dziełka p. t. *Xiądz Pleban.* Część I. Za przywilejem, Warszawa, 1786, u Grela. Z godłem: *In aedificationem et non in destructionem.*

(4) Wiadomości warszawskie z 17 stycznia r. 1770.

młódź do nauk: czy nagrody i pochwały, w szkołach jéj dawane, czyli téż urzędy krajowe ludziom, przez edukacyę i ćwiczenie się w naukach do usług publicznych uformowanym i zdolnym, otwarte?") ofiarował profesorowi szkół mińskich, Michałowi Dudzińskiemu medal wartości 15 czerw. zł. pisarz w. lit. ksiądz Paweł Brzostowski; mecenasował podkomorzy mozyrski Gedeon Jeleński, którego kosztem Bohomolec wydał dzieła Kochanowskiego, przysłowia Fredry i *Stateczność umysłu* Jędrzeja Kryszpina; nie żałował na druk książek wojewoda witebski Sołłohub; żaden jednak z dobrodziejów skupienia sił naukowych i ujęcia ich w karby organizacyi przeprowadzić nie umiał (1). Dużo inicyatywy i zapału posiadał Załuski, lecz dla przygód życiowych poza kres wielkich projektów i pięknych aspiracyi nie wyszedł. Dla zyskania możności utworzenia akademii nauk i sztuk starał się o przyłączenie do swéj biblioteki jakiéj królewszczyzny i stosowny w téj sprawie złożył Stanisławowi Augustowi memoryał (2); przez wyjazd jednak do Rosyi zrealizowania zabiegów musiał zaniechać. Podczas pobytu w Kałudze podziwiał Francyę, że kilkanaście po różnych prowincyach posiada towarzystw „a przez to następuje większy polor w naukach i większa w posiedzeniach literackich emulacya"; układał powzięty jeszcze przed wyjazdem do Rosyi projekt ufundowania nagród za prace z teologii, historyi, krasomówstwa i rymopistwa (3); po powrocie zaś w r. 1773 do kraju myśl założenia akademii podjął nanowo. Grunt dla zamiarów swoich znalazł teraz pewniejszy, podczas bowiem kilkoletniéj nieobecności biskupa ruch umysłowy w kraju pomimo najfatalniejszych warunków politycznych wzrósł nieco; budziła się téż świadomość potrzeby zorganizowanéj nad nauką pracy, do czego niemało się przyczynił Stanisław August.

III.

Obiady czwartkowe: kółko do uprawy umiejętności politycznych i projekt zgromadzenia prawnych ludzi z r. 1772. Projekty akademii umiejętności podczas sejmu delegacyjnego i *Musaeum polonicum*. Dubois i założone przez niego towarzystwo fizyczne (1777 — 79). Towarzystwo krytyczne z r. 1789.

Kiedy mecenasi albo omijali sprawę ogniskowania sił naukowych, albo w jéj uprawie chybiali,—w poszukiwaniu pewniejszéj dla

---

(1) Około r. 1773 założył podobno akademię w Rydzynie książę August Sułkowski „lecz wąski okrąg tego miasta nie pozwolił się rozwinąć tak wielkiemu zamiarowi, który z uszczupleniem dostatków xiążęcia zupełnie upaść musiał" (Litwiński *l. c.* str. 25).

(2) Biblioteka warszawska z r. 1848, t. II, str. 574.

(3) Biblioteka historyków *etc.*, str. 174.

towarzystw podstawy zwracali niektórzy mężowie oczy na króla. „Spodziewamy się,—pisał w r. 1766 Czartoryski—że pod mądrym króla, a rodaka naszego panowaniem, który jako swój naród, tak i język kocha, zaniedbana polszczyzna pocznie się wydoskonalać; że się jakie zjawi Towarzystwo ludzi uczonych, które, zachęcone łaską i pańskimi względy, wsparte zaś stałą hojnością, ułoży nam doskonałe gramatyki, napisze słowniki wszystkich kunsztów, nauk i rzemiosł, wskrzesi stare słowa i one odnowi, wynajdzie nowe, wyznaczy ich używanie, nachylanie, wagę, wymawianie; odrzuci i zakaże pod grzechem szkolnym i karą cenzury Apollina wszystkich makaronizmów i inne pożyteczne w języku rozporządzenia uczyni" (1). Na początku r. 1768 rozeszła się po Warszawie i „ucieszyła niezmiernie wszystkich naukę kochających pogłoska," że akademia dla uprawy języka polskiego „wkrótce" dojdzie do skutku. Założycielowi jéj zapewniał redaktor *Monitora* sławę nieśmiertelną; usilnie zaś zalecając „najpierwsze staranie" o ułożenie słownika języka polskiego, wskazywał na bogate materyały w Knapskim i w pisarzach wieku złotego. Największą przewidywał trudność w tworzeniu nowych wyrazów, „które dla uczynienia większéj języka naszego obfitości wielce są potrzebne"; radził téż żartobliwie przyszłym autorom słownika korzystać w tym względzie z pomysłowości niewiast (2). Jako twórca akademii figurował niewątpliwie w pogłosce owéj Stanisław August, który nie w takim zakresie i w odmiennym kierunku, odpowiedział przecież oczekiwaniom przez otwarcie obiadów czwartkowych.

Zapraszał Poniatowski na obiady do zamku zarówno ludzi talentu, jak wiedzy. Albertrandy, Bacciarelli, Bielawski, Bogusławski, Bohomolec Fr., Chreptowicz Joachim, Czaplic Celestyn, Czartoryski Adam, Gawroński Andrzéj, Jakubowski Wojciech, Karpiński, Konarski, Krasicki, Kublicki Stanisław, Lachowski Sebastyan, Lesser miniaturzysta, Łojko, Merlini, Mniszech Michał, Mokronowski Andrzéj, Nagurczewski Ignacy, Naruszewicz, Ogiński Tadeusz, Ogrodzki Jacek, Piramowicz, Piwnicki Waleryan, Poniatowski Stanisław, Portalupi, Potocki Ignacy, Smuglewicz, Strzelecki Wojciech, Szembek Krzysztof Hilary, Śliwicki Piotr Jacek, Trembecki, Vogel, Wyrwicz Karol, Zabłocki (3),—a więc uczeni, poeci, artyści, mówcy, statyści i pedagodzy równego doznawali zaszczytu. Zaproszenie na

(1) W dodatkach do przekładu *Historyi nauk wyzw.* Carlancasa, str. 79.

(2) Monitor z 16 kwietnia r. 1768. Artykuł Bohomolca, o czém świadczy dopisek Minasowicza na egzemplarzu w bibl. ord. Krasińskich.

(3) Wojcicki. Archiwum domowe. Warszawa, 1856, str. 21. Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich. Lipsk, 1868, str. 35.

obiad czwartkowy było niejako pasowaniem na mistrzowstwo w nauce, poezyi lub sztukach pięknych; objawem uznania dla talentu i wiedzy, nagrodą położonych już zasług publicznych. Portretami tych znakomitości pędzla Marteau obwiesił Stanisław August ściany komnaty zamkowéj, poprzedzającéj pokój marmurowy królów; kazał też Naruszewiczowi biografie ich skreślić (1). Odbywały się obiady z pewną obrzędową uroczystością, miały charakter posiedzeń akademickich. Nie potrzebowano się krępować w wymianie zdań, ani wędzidła nakładać na humor; obecność jednak gospodarza trzymała wszystkich w karbach przyzwoitéj powagi. Król, przewodnicząc posiedzeniu, dawał inicyatywę i do dyskursu pobudzał (2); współbiesiadnicy czerpali pochop do rozpraw w chęci zwrócenia na się uwagi szafarza zaszczytów i łask. Kto się nowém dziełem dobrze zasłużył muzom, znajdował, siadając do obiadu, zawinięty w serwecie medal złoty lub srebrny, z jednéj strony mający popiersie króla, z drugiéj napis: *Merentibus* i trzy wieńce: dębowy, oliwny i laurowy. Budziło to emulacyę i ochotę do pracy. Młody Franciszek Zabłocki, otrzymawszy medal za pierwszą komedyę oryginalną *Sarmatyzm*, przyniósł na następny obiad czwartkowy napisanego w przeciągu tygodnia *Fircyka w zalotach* (3). Po obiedzie gawędzono o książkach i sztuce, czytali też autorowie nowe pióra swego utwory. Jakubowski deklamował tłómaczenia bajek Lafontaine'a, Naruszewicz ód i satyr Horacego, Nagurczewski bukolik Wirgila, Krasicki ustępy z *Myszejdy* (4). Organem uczestników obiadów czwartkowych były oprócz *Monitora* (5) założone w r. 1770 *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, redagowane najrzód przez Naruszewicza, późniéj przez Albertrandego. Wychodziły arkuszami co wtorek, zasilane zaś były przez takie w różnych rodzajach literatury powagi, jak Bielawski, Bohomolec, Czaplic, Czyż, wojewoda Jabłonowski, Jakubowski, Kniaźnin, Korytyński, Krasicki, Minasowicz, Mniszech Michał, Nagurczewski, Oraczewski, Piramowicz, Adam Rzewuski, Wincenty Skrzetuski, Szymanowski, Trembecki, Węgierski, Zabłocki, Józef Załuski. Niektó-

(1) Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII w. I, 63.

(2) Wziął z tego Węgierski asumpt do złośliwego o obiadach czwartkowych wierszyka.

„Król na nich musi wszystkie zastąpić expensa:
I wina i dowcipu, rozumu i mięsa".

(3) Przyjaciel ludu z r. 1837, t. II, N. 27 i 28. Do wydania *Fircyka w zalotach* z roku 1781 dodaną jest na czele oda do króla przy podaniu téj komedyi na posiedzenie czwartkowe.

(4) Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, str. 35.

(5) O autorach jego patrz dopisek na końcu rozprawy.

rzy, jak Szymanowski i Węgierski, rozpoczęli w tém piśmie zarabiać na sławę; wielu—Chołoniewscy, Czarnek, Gawdzicki, Kończa, Kralewski, Leśniewski, Michniewski, Piasecki, Sosiński, Urbanowski itp. poprzestało na pomieszczeniu w niém prób literackich i rozgłosu nie dobiło się nigdy. Drukowali autorowie w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* czytane na obiadach czwartkowych rozprawki i rymy; pomieszczali też mnóstwo ku uczczeniu Stanisława Augusta i krewniaków jego wierszy pochwalnych. Nadawało to pismu barwę dworactwa, którém przy stole królewskim znakomitości ówczesne przesiąkły mocno. W r. 1771 w charakterze obiadów czwartkowych ważny zachodzi przełom: uczestnicy, nie ograniczając się na czytaniu utworów, dyskusyi i zasilaniu swych organów, poczynają myśléć o wiązaniu się w sekcye. Utworzona dla uprawy i popularyzowania teoryi politycznych rozpoczęła działać najwcześniéj.

„Pewne Towarzystwo ludzi, dobro publiczne i nauki kochających", ogłaszało w *Wiadomościach warszawskich* z 20 marca r. 1771, jako przedsięwzięło wydawnictwo pisma tygodniowego, mającego przedstawić „stan polityczny, cywilny i zakonny państw starożytnych"; jednocześnie dołączyło do gazet „projekt... który obszernie wyraża cel, kształt i rozporządzenie onego"... Ów projekt, a raczéj prospekt wychwala pisma: *Monitora, Zabawy przyjemne i pożyteczne, Zbiór różnego rodzaju wiadomości* i *Wybór ekonomicznych wiadomości;* zarzuca im jednak, że „o różnych rzeczach traktują, żadnego z sobą związku niemających, a częstokroć sobie przeciwnych"; że jako zbiorowa praca osób nieznających się „nie mogą miéć doskonałości, którą byłyby obdarzone, gdyby albo jeden oświecony człowiek one wydawał, albo wiele ludzi, ku publicznéj przysłudze stowarzyszywszy się, rzecz do pełnienia przedsięwzięli, materyą krajowi pożyteczną a z siebie saméj miłą obrali, na części główniejsze podzielili, kształt pismu a polor i gładkość wyrazom dali"... Z takich to względów „towarzystwo przyjaciół kilku" zamierzylo wydawać tygodnik, a raczéj ogłaszać arkuszami dzieło o organizacyi wewnętrznéj państw starożytnych. Postanowiło najprzód przedstawić zwierzchność krajową w Egipcie, Grecyi i Rzymie, następnie opisać układ społeczny, a w końcu stosunki religijne. „Mamy ufność,—pisało—że będziesz miał przezacny narodzie w pracy przedsięwziętéj zbiór takowych wiadomości, które ci sprawy dawnych wieków i państw odmianę na uwagę namykając, nauczyć mogą, czego się w rządzie politycznym wystrzegać, o co należy się starać i ubiegać. Przyczyny upadku lub powstania i wzrostu mocy politycznéj same z uważnego czytania jaśnie dadzą się poznać i dopomódz mogą do pomnożenia dobra pospolitego i wolnego rządu ocalenia." Prenumerata roczna wy-

dawnictwa, zapowiedzianego na kwiecień, wynosiła dukata. W każdą sobotę miał być jeden arkusz dołączany do gazet.

„Towarzystwo przyjaciół kilku“ składało sześciu uczestników obiadów czwartkowych. Podzieliwszy pomiędzy siebie materyał, roztrząsali wspólnie opracowania pod względem treści i formy, czytali je następnie na obiadach czwartkowych i oddawali pod prasę. Pierwszy arkusz wyszedł z druku 18 kwietnia 1771, ostatni w końcu marca r. 1772 (1). Powstał w ten sposób tom pierwszy całości p. t. *Historya polityczna państw starożytnych od pewnego towarzystwa napisana* (Za pozwoleniem zwierzchności. W Warszawie, w Drukarni J. K. Mci i Rzeczypospolitéj *in Coll. Soc. Jesu*, MDCCLXXII, 4-a, kart nlb. 7, stron 399), zaopatrzona w godło: *Pulchrior è variis*, dedykowana królowi (2). Po dedykacyi i przedmowie idzie „Wstęp do pisma tygodniowego o stanach politycznym, cywilnym i duchownym państw starożytnych, t, j. o zwierzchności krajowéj w powszechności“ (str. 1 — 144), podznaczony literami *K. W.* Księga pierwsza, traktująca o zwierzchności krajowéj w szczególności, dzieli się na pięć rozdziałów: 1. Egipt (str. 145—274) opracował *W. P.*, 2. Grecyę pod Amfiktyonami (str. 275—304) *W. S.*, 3. Sycyon, Argolidę, Myceny, Arkadyę (str. 305—315) *M. S.*, 4. Ateny (str. 316—380) *J. S.*, 5. Teby (str. 381—399) *A. N.* Odgadujemy, chociaż nie z jednakową wszystkich pewnością, współautorów *Historyi:* rektora kolegium jezuickiego Karola Wyrwicza, miecznika ziem pruskich Waleryana Piwnickiego, profesora kolegium pijarskiego Wincentego Skrzetuskiego, pijara Michała Stadnickiego, kasztelanica rawskiego Józefa Szymanowskiego i profesora kolegium jezuickiego Adama Naruszewicza. Przynajmniéj Wyrwicz, Skrzetuski, Szymanowski i Naruszewicz wątpliwości nie budzą.

---

(1) Wiadomości warszawskie z 19 kwietnia 1771 i z 28 marca r. 1772.

(2) Genezę téj książki wyjaśnia broszura: *Do Prześwietnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk* (Warszawa. 1801, 8-a, stron 61), napisana, według Jochera (I, N. 1160), przez Hebdowskiego. „Zachęcił Stanisław August—powiada autor (str. 47)—wybrane przez siebie Towarzystwo uczonych, zgromadzające się co czwartek w jego Zamku, do... pisma tygodniowego, którego ułomki, zebrane w jedną księgę, znane są uczonym pod imieniem: *Historya państw starożytnych* z dewizą: *Pulchrior è variis.*“ Opowieść Hebdowskiego dopełnia zamieszczona na czele *Historyi* dedykacya. „Nayuniżeńsi słudzy i wierni poddani, pracujący około tego dzieła“ piszą w niéj: „Daleś W. K. M. pochop zgromadzeniu naszemu, które tym pewnieysze współziomkom swoim obiecować może pożytki, że związane wzajemnéj przyjaźni nierozerwanym węzłem, pod jedną, a sobie w życiu nayukochańszą głową, taką materyą przedsięwzięło, którą każdemu stanowi, wiekowi i płci obywatelom potrzebną, miłą i pożyteczną być rozumie. Nauczeni słuchaniem mądrych zdań W. K. M., zachęceni jego wysokim przykładem, zaszczyceni łaskawą przytomnością, niesiemy zysk spólney pracy naylepszemu z królów.“ Resztę szczegółów czerpiemy z przedmowy.

Wstęp Wyrwicza wojuje z teoryami rewolucyjnémi o pochodzeniu państwa i władzy. „Byli przedtém—powiada autor—i są teraz politycy i filozofowie, bardziéj pospólstwu, niż prawdzie przypodobać się starający, którzy ustanowienie władzy udzielnéj po krajach i w narodach za niesłuszne, nieprawne i nieprzyzwoite poczytali... Jedni ustawą rządów rodzaj ludzkości shańbiony, z przyrodzonéj wolności wyzuty i jarzmem poddaństwa obarczony opłakują; drudzy wszystkich królestw początki niesprawiedliwego oręża mocy albo chytrym dumnego dowcipu obrotom przypisują; inni porządek, od wieków i rodzaju ludzkiego pierwiastków w życiu obywatelskiém ustanowiony, z gruntu chcą wywrócić, świętokradzkiém piórem ołtarze razem i trony obalić usiłują..." Nie zgadzając się z widzeniami nowych polityków, źródło pochodzenia państwa i władzy znajduje w rozporządzeniach mądrości przedwiecznéj, która dla uszczęśliwienia człowieka utworzyła narody i nadała im zwierzchność. „Dajmy to,—powiada—że chciwość panowania, gwałtem lub fortelem uzbrojona, nad równość, każdemu człowiekowi prawem przyrodzoném daną, wygórowawszy, rząd sobie udzielny i władzę najwyższą przywłaszczyła; nie stało się to jednak bez Opatrzności Boskiéj, która, w zamysłach swych niedościgła, często samych używa namiętności do osiągnienia końca od siebie założonego... Zwierzchność najwyższa, bez któréj żadną miarą towarzyskie nie mogą się utrzymać związki, nietylko ze sprawiedliwych wypływa przyczyn, ale z koniecznéj wypada potrzeby." Za niemożliwą uważa Wyrwicz wolność naturalną, dla zakorzenionego bowiem w ludziach przez upadek pierwszego człowieka pochopu do występków koniecznym stał się hamulec ustaw, sądu i prawnego przymusu. Za niemożliwą ma również równość bezwzględną, sama bowiem różnica w natężeniu pracy osobników wytwarza klasę bogatych i biednych, panów i sług. „Wszystkie nierówności, z ustanowienia ludzkiéj społeczności wypadłe ze sprawiedliwych przyczyn i towarzyskiego ludzi związku koniecznie wypłynąć musiały; a jako ze swéj istoty i zamieszczenia są słuszne i sprawiedliwe, tak, rozlewając się na pewne tylko w narodzie każdym osoby, nie ustępowałyby od sprawiedliwości, gdyby się tylko dostawały zdatności i znakomitym osobistym zasługom." Nie lubi autor demokracyi, arystokracyi i jedynowładztwa, proteguje zaś „rząd umiarkowany" czyli mieszany. Dla zapewnienia obywatelom wolności politycznéj żąda rozdziału władz rządowych, z których wykonawczą zaleca powierzyć monarsze.

Pomimo zbiorowego roztrząsania opracowań na sesyach, rozdziały specyalne, traktujące o Egipcie, Grecyi i Tebach, zarówno

pod względem formy, jak i myśli przewodniéj, od zabarwionego teologią, a rozwlekłego wstępu Wyrwicza niesłychanie się różnią. Apoteozują rząd silny i pełno zastosowanych do ówczesnego stanu Rzeczypospolitéj mieszczą aluzyi. „Z ciałem moralném, jakiém jest naród każdy—pisał *W. P.*—to samo się dzieje, co i z ciałem fizyczném: póki związek pewny, który części jego pospołu klei, trwa, póty i ciało w swojéj czerstwości zostaje; jak prędko związek ten słabieje, tak i cialo słabieć, a nakoniec i rozsypać się musi. Związkiem tym narodowym jest rząd, którego treść i istota jest, aby jeden (lub więcéj, jednę przecież wolę i umysł mający) starał się o dobro powszechne, a drudzy posłuszni byli temu jednemu lub więcéj w wykonywaniu wszystkiego, co dla dobra powszechnego czynić rozkaże... W Egipcie od ugruntowania narodu był rząd jedynowładny. Starali się jedynowładcy o dobro całego narodu... Z drugiéj strony oddawał cały naród winne monarchom swoim posłuszeństwo... Oddawał ten naród królom swoim więcéj, jak powinne uszanowanie, bo im ołtarze i kościoły wystawiał i cześć boską wyrządzał. Niech to będą błędne uszanowania, ale są żywe narodu ku dobrym królom wdzięczności dowody. To tedy wzajemne między rządcą a poddanymi obowiązków dopełnienie było prawdziwą wzrostu i doskonałości państwa egipskiego przyczyną... Zaniedbanie dobra publicznego, które na wykonaniu ścisłéj, bez względu na kondycyę, sprawiedliwości polega z jednéj, a uchybienie ścisłego posłuszeństwa z drugiéj strony były przyczyną upadku... Nigdy moc obca nie obali narodu, kiedy mu wewnętrzny nierząd sił nie odejmie. Zadana ciału czerstwemu najgłębsza rana ból wprawdzie sprawi, ale się prędko uleczy; wewnętrznie zbolałemu jedno zadarcie szpilką raz śmiertelny przynosi.“ „Prawda jest nieomylna, — pisał Szymanowski — że upadek wolnych narodów jest niechybnym skutkiem niepostrzeżonéj w początkach ustanowionego rządu wady, która zczasem coraz jest widoczniejszą i coraz smutniejsze ciągnie za sobą konsekwencye. Początkowy defekt w ciele ludzkiém zdaje się być niczém, ale potém tak wzrasta i tak się zmacnia, że pierwszą śmierci chorego jest przyczyną. Na tém tedy zależy biegłość rządowéj zwierzchności, na tym punkcie zasadzać się powinna gorliwość obywatelska, żeby dociec i wykorzenić to szkodliwe nasiono, którego upadek kraju fatalnym bywa płodem. Kto dobrze własnéj życzy ojczyźnie, niech się nad tą zastanowi myślą, niech się stara odkryć to początkowe źródło, z którego ostatnie na nią, tak jak na Ateny, wypłynąć może nieszczęście. *Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.*“

Celem wydawnictwa było wyrabianie w narodzie przeświadczenia o potrzebie zaprowadzenia silnego rządu dla wydobycia Rze-

czypospolitéj z wewnętrznego chaosu i osłonięcia jéj od niebezpieczeństw na zewnątrz. Służyło towarzystwo idei monarchicznéj, dla któréj zarówno wypadki polityczne, jak i wpływ osobisty Stanisława Augusta co raz szerszą wyrabiały podstawę. Zamierzało kontynuować tom drugi, mający objąć zwierzchność krajową Macedonii, Kartaginy, Celtów, Etrusków, Sparty i Rzymu; ogłosiło nawet przedpłatę (1), lecz dla niewystarczającéj liczby prenumeratorów musiało wydawnictwo zawiesić.

Jednocześnie z publikowaniem *Historyi politycznéj państw starożytnych* dojrzewał w gronie uczestników obiadów czwartkowych zamiar założenia towarzystwa prawników. Czytano w téj materyi na obiedzie 11 czerwca r. 1772 rozprawkę *O ustanowieniu porządku w nauce prawa cywilnego y o założeniu zgromadzenia prawnych ludzi*, wydrukowaną niebawem w *Zabawach* (2). Dowodził autor potrzeby kodyfikacyi prawa cywilnego polskiego i dla dokonania téj pracy radził uorganizować towarzystwo fachowców. „Gdy raz nasze prawa generalnie i partykularnie rozdzielą się bądź to na rozdziały, bądź to na tytuły, każdy z zgromadzenia wybierze losem swój tytuł y w czas trzechmiesięczny, cokolwiek do niego należeć będzie, z prawa polskiego spisze. Należyte przyłoży staranie, aby nietylko słowo prawa, lecz y myśl stanowiącego prawo była przywiedziona, co się łatwo wyda, jeżeli piszący zechce dać sobie pracę y w dziejopisach wyszuka, w którym czasie, w jakiéj okoliczności, od jakich osób stanowione były prawa.... Dysertacye w czasie swoim oddane, w jednym roku od 26 osób, w dwóch od 13 mogłyby przysposobić to, co będzie potrzebnego do układu instytucyi. Krótki ich bowiem zbiór, będąc treścią tych dysertacyi, zleci się jednemu z zgromadzenia, aby w całém dziele jeden styl, jeden sposób pisania był zachowany.“ Uporządkowawszy prawo cywilne, dla uwolnienia kraju od niepewnéj sprawiedliwości roztrząsnąć by mogło towarzystwo *praejudicata*, a następnie ułożyć projekt do kodeksu karnego. Proponował téż, żeby zgromadzenie udzielało Rzeczypospolitéj rad i uwag w przedmiotach ustawodawstwa, zastrzegał jednak, jako „nigdy sobie prawodawstwa nie przypiszą prawni, każde ich pismo podane będzie sądowi Rzeczypospolitéj.“

---

(1) Wiadomości warszawskie z 28 marca i 28 kwietnia r. 1772.

(2) W tomie V z r. 1772 (str. 411—428) z godłem: *Juris civilis summo semper in honore fuit cognitio. Cic. lib. 2, de offic.* Wyszła téż oddzielnie p. t. *Pamiętnik I* (Bezm. 1772, 16-a, kart nlb. 12). Na odwrotnéj stronie karty tytułowéj następujące umieszczono objaśnienie: „Ten pamiętnik czytany był w przytomności króla Jmci dnia 11 czerwca podczas zgromadzenia, na które w Zamku co czwartek wyznaczeni od króla Jmci schodzą się.“ Na pierwszéj stronie tekstu położono tytuł właściwy: *Pamiętnik o ustanowieniu etc.*

Tenże sam autor — z monogramu *J. P.* nie umiemy nazwiska jego odgadnąć — wydrukował wkrótce w *Zabawach* z r. 1772 (t. VI, str. 221—236) *Pamiętnik II o prawach politycznych y o prawach fundamentalnych*, niewątpliwie również na obiadach czwartkowych czytany, w ścisłym z poprzednią rozprawką będący związku. Rozklasyfikowawszy prawo w pierwszéj pracy na polityczne, cywilne i kryminalne, zamierzył zastanowić się nad każdém z osobna i publicznemu właśnie poświęcił *Pamiętnik II.* Źródło praw politycznych, których fundamentem są magistratury rządowe, podatki i wojsko— znajduje się w potrzebie zabezpieczenia własności. Nie decydując się, jaka forma rządu najlepsza, za miarę doskonałości praw fundamentalnych bierze ich skutek. Celem organizacyi społecznéj jest zapewnienie obywatelom pomyślności i szczęścia, — „rozmnożenie ich znaczne przy obfitości majątku.“ Taka przeto forma rządu będzie najlepsza, przy któréj pochop obywateli do rozmnażania się znajdzie podnietę w obfitości bogactwa.

Takie pod względem formalnym „Zgromadzenie prawnych ludzi“, jakie proponował autor rozprawek, do skutku nie doszło; jednakże idea jego z konstytucyą z r. 1776, powierzającą Andrzejowi Zamojskiemu ułożenie *codicem juridicum* i upoważniającą go do wezwania na pomocników „nayoświeceńszych y naycnotliwszych obywatelów oboyga narodów“ w pokrewieństwie jest bliskiém. Zamojski w towarzystwie Chreptowicza, Szembeka, Węgrzeckiego, Rogalskiego i Wybickiego wykonał część znaczną tego właśnie programu, który obmyślono i przedyskutowano na obiadach czwartkowych (1).

Budziły obiady czwartkowe ruch umysłowy i dawały inicyatywę do poważnych przedsięwzięć praktycznych; roztrząsano na nich niewątpliwie i sprawę założenia akademii umiejętności. Siedmdziesięcioletni Załuski radził wraz z niektórymi panami na krótko przed śmiercią (um. 7 stycznia r. 1774) obrócić dobra pojezuickie na ufundowanie akademii, w którejby prowadzone były wykłady różnych nauk, pomiędzy innemi języka polskiego, historyi i archeologii; oświadczał gotowość zapisania jéj biblioteki swojéj na własność. „Królowi,— pisze Bernoulli (2)—tak gorliwemu w popieraniu nauk i pragnącemu prześcignąć pod tym względem Zygmunta Augusta i Stefana, bardzo był przyjemny ten projekt, zaręczał téż prałatowi, że użyje wszystkich środków, aby przeprowadzić tak zba-

(1) Przez porównanie adresowanéj do króla przedmowy do *Zbioru praw sądowych* z treścią i stylem *Pamiętnika II o prawach politycznych* budzi się domysł, że pod monogramem *J. P.* ukrywał się Andrzéj Zamojski.

(2) Liske. Cudzoziemcy w Polsce, str. 229.

wienną dla całéj ojczyzny fundacyę.“ Według projektu Załuskiego, czy innéj osobistości, dość, że zamiar ufundowania instytucyi naukowéj w dobie sejmu delegacyjnego dojrzał i czekał wcielenia. „Nie rzecz moja — pisał w r. 1775 cześnik wielki kor. Michał Mniszech (1)—roztrząsać potrzeby akademii krajowéj, a raczéj zgromadzenia obywatelów uczonych, ogniwem gorliwości ku naukom spojonych; ta myśl już wyłuszczona, już przyjęta prędkiego skutku sprawia w nas nadzieję“ (2). Za rzecz zbyteczną uważał Mniszech pisać w sprawie przedyskutowanéj i zdecydowanéj, zwracał tylko uwagę na potrzebę gromadzenia materyału naukowego przez ufundowanie muzeum. Radził utworzyć wielką bibliotekę z druków i rękopisów, przedewszystkiém dotyczących historyi ojczystéj. Rękopisy gromadzić można kopiując dokumenty z archiwów rodzinnych prywatnych; księgi przez kupno i włożenie na drukarzy obowiązku składania do biblioteki egzemplarza każdego dzieła, wychodzącego z pod prasy. Nie poprzestając na księgozbiorze, zalecał autor zbieranie wszystkiego, co posiada interes naukowy, w zakresie jednak, nie przechodzącym granic możności. „Daremne by były — pisał —

---

(1) Zabawy przyjemne i pożyteczne z roku 1775, tom XI, str. 213.

(2) Być może, że pełen błędów w pisowni nazwisk, podany przez Jochera (tom I, str. LXXVI) w streszczeniu *Plan pour l'etablissement d'une Académie des Sciences* (znaleziony w bibliotece b. uniwer. wileńskiego) jest projektem, o którym wspomina Mniszech. Proponuje założyć akademię na wzór berlińskiéj i petersburskiéj, a na kierownika wezwać Lamberta z Berlina. W skład akademii wejdzie najmniéj dziesięciu pensyonowanych uczonych zagranicznych, tyluż krajowców (którzy za każde posiedzenie otrzymywać będą dukatowy lub dwudukatowy jetton), oraz członkowie honorowi. Prezes wybierany będzie z magnatów. Podzielą się akademicy na wydziały: historyi naturalnéj, fizyki eksperymentalnéj i matematyki. Na czele każdego ma być osobny dyrektor. Dla osadzenia miejsc akademików zagranicznych radzi autor projektu zwrócić się do różnych uczonych: o anatoma i fizyologa do Albinusa w Lejdzie i Hallera, o botanika do Gleditscha w Berlinie albo Jussieu w Paryżu, o fizyka do Lamberta, o chemika do Marggrafa, na astronoma proponuje Boscovich'a, na konserwatora gabinetów profesora korpusu kadetów Heloke. Z krajowców proponuje na członków zwyczajnych: do nauk matematycznych profesora korpusu kadetów Pfleyderera, oraz jezuitów: Rostana i Łuskinę; do anatomii doktora medycyny Zanelli'ego i chirurga księżnéj Lubomirskiéj Issaurat'a; do chemii barona de Gartenberga (Sadogórskiego) i Rhode, do botaniki Dziaduskiego i kapitana inżynieryi Knakfuss'a. Koszta urządzenia obserwatoryum astronomicznego, pracowni fizycznéj i laboratoryum chemicznego, teatru anatomicznego, ogrodu botanicznego i gabinetu okazów przyrodniczych, sali zgromadzeń ogólnych i mieszkań dla akademików oblicza na 25 — 30 tysięcy dukatów; roczne utrzymanie akademi na 10,000 czerw. złotych. — Że nie bez udziału Stanisława Augusta powstał projekt powyższy, dowodzi użyty do niego papier z literą *S.* i koroną; czy jednak autorem jego, jak się domyśla Jocher, a za nim Majer (*l. c.*, str. 56) był Józef Załuski? Projekt uwzględnia wyłącznie kierunek przyrodniczy, Załuski zaś nie pominąłby chyba humaniorów, które gorliwie przez całe życie uprawiał i z oczu nie spuszczał ich nigdy.

natężenia nasze, gdybyśmy wyrównać usiłowali kosztowne, rzadkie y przez znaczny przeciąg czasu zebrane y zawarte skarby to *in Musaeo Britanico*, to w instytucie Bolońskim, to w przepyszney Florenckiey galeryi. Zostawmy rzeczy kosztowne, obrazy bezcenne, te przyjemne sztuk wyzwolonych pieścidła narodom słusznie chlubiącym się z pierwszych światła promieni. Niech się stają wzorami do naśladowania, lecz z pomiarkowaniem y w naypotrzebnieyszych szczególnie częściach. Chwyćmy się środków tańszych, prędszych, łatwieyszych, a tenże prawie pożytek przynoszących. Zatrzymujmy się w obrębach granic ojczyzny, poznajmy własny kraj, oszacujmy jego bogactwa, wybadajmy, co nam natura użyczyła.", Radzi przeto gromadzić monety i medale krajowe (obce w rysunkach), odlewy kamei starożytnych i kopersztychy, mapy i plany miast, narzędzia fizyczne, geometryczne i astronomiczne, modele machin, wizerunki znakomitości rodzimych, marmury, alabastry, drzewo skamieniałe, okazy siarki, bursztynu itp. ciał mineralnych, ptaki polskie, zwierzęta, gady, rośliny, nawet kolekcyę dzieci woskowych dla unaocznienia procesu porodu. Dość będzie przeznaczyć na cel ten 20,000 zł. rocznie; z czasem hojność obywateli przyjdzie muzeum z pomocą (1).

Że myśl założenia akademii dojrzała śród największych zawikłań politycznych, przypisać to trzeba faktowi kasaty jezuitów, pozostałym po nich funduszom, otwierającym możność zrealizowania żywionych oddawna zamiarów w sprawie doniosłéj i pilnéj. Przez obrócenie majątku pojezuickiego na cele wychowania projekt akademii stracił podstawę materyalną; przez utworzenie Komisyi edukacyjnéj, założenie Towarzystwa do ksiąg elementarnych, zreformowanie wreszcie wszechnic: krakowskiéj i wileńskiéj szwank poniósł i pod względem doniosłości moralnéj. Nowe lub zreformowane instytucye, wciągając w zakres swéj działalności wiele zadań naukowych ważnych i pilnych, zadośćczyniły najnaglejszym potrzebom i na plan dalszy usuwały założenie akademii, zaliczanéj przedtém do kwestyi palących. Stąd to w długim stosunkowo okresie pracy organicznéj (1776 — 1788) kwestya akademii umiejętności i towarzystw naukowych poruszaną jest rzadko. Nawet funkcyonujące do sejmu wielkiego obiady czwartkowe zawarły się w granicach biesiad towarzyskich, straciły inicyatywę i dawną ruchliwość. W r. 1777 przestają wychodzić *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, w 1784 upada *Monitor*. Z uczestników obiadów jedni, jak Naruszewicz, Albertran-

(1) Myśli względem założenia *Musaeum Polonicum* przez M. M. (*Zabawy* z r. 1775, t. XI, str. 211—226).

dy i Łojko nad wielkiemi pracują dziełami; drudzy w Komisyi edukacyjnéj i Towarzystwie do ksiąg elementarnych odpowiednie dla siebie znajdują pole. Więcéj zabiegano w téj dobie nad organizacyą pracy ekonomicznéj, skwapliwiéj krzątano się około takich asocyacyi, jak Towarzystwo handlowe lub Kompania krajowa ekonomiczna pod znakiem orderu św. Izydora oracza. Jednoczył rzutkość przemysłową z zapałem do nauki podskarbi nadw. lit. Antoni Tyzenhaus, który założył w Grodnie szkołę medycyny i chirurgii, urządził ogród botaniczny i gabinet historyi naturalnéj, przygotowywał obserwatoryum astronomiczne, a myślał podobno o akademii umiejętności; zamiar ten jednak z upadkiem magnata spełznął na niczém. W ostatniém dwudziestoleciu Rzeczypospolitéj dwa tylko powstały towarzystwa prywatne: naukowe, założone przez cudzoziemca, literackie przez siły rodzime, oba zaś trwały niedługo (1).

Przybył w r. 1775 wezwany przez Czartoryskiego do wykładu historyi w korpusie kadetów Jan Chrzciciel Dubois, ruchliwością i wszechstronnością przypominający Mitzlera. Z fachu przyrodnik, z zapałem studyował języki i literaturę, przełożył na francuski *Myszejdę*, z Janem Filipem Carosi ułożył dla Komisyi edukacyjnéj plan podręcznika do historyi naturalnéj, pisał dzieła o Polsce, projektował założenie w Warszawie akademii nauk ścisłych i sztuk, oraz towarzystw: dla umiejętności technicznych i handlu. Proponowaną akademię na trzy dzielił oddziały: filozoficzny, historyczny i sztuk pięknych. Pierwszy miał uprawiać etykę, prawo, politykę, matematykę, nauki przyrodnicze i medycynę; drugi dzieje powszechne i narodowe, trzeci język polski, poezyę, wymowę, malarstwo, architekturę i muzykę. Członkami mogli być zarówno krajowcy, jak cudzoziemcy, byleby ostatni okazywali dla Rzeczypospolitéj przychylność (2). Pod koniec r. 1777 założył w Warszawie towarzystwo fizyczne. Z początku oprócz inicyatora miało towarzystwo dwóch członków: zamiłowanego w alchemii i rzeczy menniczéj Augusta Moszyńskiego i dyrektora górnictwa Jana Filipa Carosi; później przystąpili czterema grupami: dyrektor korpusu kadetów Pfleyderer, inżynier Nax i chemik Okraszewski; Ignacy Potocki i Piramowicz; Adam Czartoryski i Michał Mniszech; w końcu synowiec królewski książę Stanisław. Towarzystwo prezesa niemiało; pióro trzymał Dubois, jako stały sekretarz. Zbierali się członkowie w mieszkaniu

---

(1) „Towarzystwo uczonych", figurujące na okładce rozpoczętego w r. 1785 wydawnictwa peryodycznego p. t. *Polak patryota* było fikcyjném (Ob. *Gazetę warszawską* z 14 grudnia r. 1785 i *Pamiętnik historyczno-polityczny* za grudzień r. 1785).

(2) *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne par M. D***. Berlin, 1778, str. 56—63.

Potockiego raz na miesiąc i to zimą tylko; odczytywali rozprawy i robili doświadczenia fizyczne. Na pierwszém posiedzeniu z r. 1778 Carosi zdawał sprawę z podróży do Krakowa, Dubois czytał statuta towarzystwa i relacyę o dotychczasowym jego rozwoju, opisywał metalowy z hygrometrem połączony termometr, zapowiadał własnego pomysłu anemometr i pokazywał projekcye różnych zaćmień z rezultatami spostrzeżeń, uskutecznionych w obserwatoryum warszawskiém. Zawiązywało towarzystwo stosunki z uczonymi obcymi, jak z naturalistą berlińskim Achard'em, od którego miało nadesłaną sobie rozprawę; myślało o założeniu organu dla publikowania prac swoich. W trakcie starań o pozyskanie sankcyi Rzeczypospolitéj przez wyjazd założyciela towarzystwo upadło. Zniechęciło go złe przyjęcie wydanéj w r. 1778 książki p. t. *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne,* surowa krytyka rozdziału, traktującego o wpływie tolerancyi na postęp (1). Powołanie na członka Towarzystwa do ksiąg elementarnych nie zdołało ukoić w nim żalu. Wyjechał do Francyi w lecie r. 1779 i więcéj nie wrócił (2).

W lat dziesięć po wyjeździe Dubois, Jan Śniadecki, Kołłątaj, Kalasanty Łańcucki, Dmochowski, Siarczyński, Józef Bogucicki, Kopczyński, Szymanowski i inni uorganizowali w Warszawie towarzystwo krytyczne, „Pośpiech w robocie, powiada Dmochowski, nieporadzenie się własnéj możności, nieznajomość prawideł, brak gustu, a szczególniéj bezkarność, gdy i najgorsze pismo nie lękało się rózgi krytyki, zawalały publiczność księgami, więcéj wstydu, niż sławy przynoszącemi polskim naukom. Dla wstrzymania téj nieprzyzwoitości, dla wprowadzenia na dobrą drogę umysłów, mogących użytecznie pracować, potrzebą było krytyki.“ Zawiązane w tym celu towarzystwo ogłosiło *Zakus nad zaciekami wszechnicy krakowskiey, czyli uwagi nad niektóremi tey akademii dysertacyami,* wymierzone przeciwko profesorom wszechnicy: Marcinowi Fijałkowskiemu, Jackowi Przybylskiemu i Andrzejowi Trzcińskiemu. Targnęło ich mocno i polemikę w rymach a prozie wywołało zaciętą. Nie przedsięwzięto jednak w tym kierunku nic więcéj, albowiem sejm wielki od prac literackich odrywał na korzyść spraw in-

---

(1) W grudniu r. 1778 dwie jednocześnie z drukarni Nadw. J. K. Mci ukazały się krytyki: łacińska Ignacego Potockiego p. t. *Exemplum litterarum Georgii Verediani ad Clar. virum Georgium Veramantium occasione vulgati nuper libri qui specimen historiae polonae inscribitur datarum* i francuska: *Lettre à l'Auteur de l'Essai sur l'histoire littéraire de Pologne, au suiet du second paragraphe de ses préliminaires, qui a pour titre: Nécessité de la Tolérance pour les progrès de connoissances humaines* (*Gazeta warszawska* z 16 i 30 grudnia r. 1778).

(2) Bernoulli *l, c.*, str. 214, 225. Gazeta warszawska z 3 marca r. 1779.

nych (1). W dobie dogorywania Rzeczypospolitéj, śród szczęku broni, rozpaczy i trwogi o towarzystwach uczonych społeczeństwo myśléć nie mogło.

• • •

Świadomość potrzeby zbiorowéj pracy umysłowéj wzrastała śród inteligencyi w XVIII wieku powoli, lecz ciągle. Ze skromnych zaczątków—sprowadzania z zagranicy czasopism i odczytywania publicznego panegiryków na cześć P. Maryi—wyrasta towarzystwo wydawnicze z kierunkiem jasno określonym i trafnym; następnie dwór Stanisława Augusta, zogniskowawszy najwybitniejsze siły umysłowe, stara się ująć je w karby organizacyi, któréj najlepszym wyrazem miała być akademia umiejętności z takim środkiem pomocniczym, jak projektowane przez Mniszcha muzeum. Był moment bliskiego zrealizowania zamiarów, gdy obrócenie funduszu pojezuickiego na cele wychowania pozbawiło akademię podstawy materyalnéj, a w części i moralnéj. Rezygnując z akademii na korzyść celów wychowawczych, postąpiło społeczeństwo roztropnie. Komisya edukacyjna, podjąwszy pracę u podstaw, podnosiła poziom umysłowo-moralny w masach, czego akademia nie dokonałaby nigdy. Brak towarzystw do uprawy pojedynczych gałęzi umiejętności tłómaczą ciężkie życia warunki. W Polsce wieku XVIII szczery do wiedzy zapał twarde napotykał przeszkody, a jednak najnieszczęśliwsza z generacyi nienajgorszą tradycyę naukową przekazała potomnym.

Autorowie „Monitora“ (przyp. do str. 139).

Własnoręczne dopiski J. E. Minasowicza w rocznikach *Monitora* z lat: 1765, 1768, 1769, 1772, 1773, 1776, znajdujących się w bibliotece Ordynacyi Krasińskich w Warszawie, odsłaniają autorów wielu artykułów, ogłoszonych pod pseudonimami: Ochotnickich, Poznajewskich, Pokątnickich, Murmiłowskich, Pośrrednickich, Antykiewiczów i t. p.

I. Rok 1765. Końcowy artykuł w N. 46 i cały N. 47 pióra Minasowicza. Pod monogramem *M. G.* w N. 49 Minasowicz dopisał: „Gaudzicka w Warszawie na Krakowskiem Przedmieściu.“

II. Rok 1768. NN. 1, 2, 4, 5, 7—16, 18, 21, 23, 25, 28—31, 33, 35, 37—43, 46—51, 80—83, 85—98, 100 (o biskupie Krasickim), 105 napisał Fr. Bohomolec.

NN. 3 i 27 Minasowicz.

N. 22 (wiersze z Thomas'a) książę Udalryk Radziwiłł ex-koniuszy

NN. 24, 34, oraz streszczenie dzieła Monteskiusza w NN. 53—69, 75—79 Krasicki.

N. 32 Jerzy Hülsen.

N. 36 Albertrandy list, a Bohomolec odpowiedź.

---

(1) Obszerniéj rozwijamy ten przedmiot w książce: *Kuźnica Kołłątajowska*. Kraków, 1885, str. 145—150.

NN. 44 i 45 (wiersze z Thomas'a) *Anonymus quidam Jezuita Leopoliensis*, jak okazuje dopisek do N. 21 z r. 1769 — Józef Koblański.

III. Rok 1769. NN. 6—9, 13, 14, 16, 20, 22—25, 35, 41, 47—49, 51, 52 (wstęp), 56, 57, 60—63, 65, 71, 77, 78, 84—86, 92, 95, 97, 103, 104, Minasowicz.

Nr. 21 (przekład z Horacego) Józef Koblański.

NN. 39, 40 Tadeusz Lipski, kasztelan łęczycki.

N. 46 (ps. Miłośnicki) ma dopisek Minasowicza: *Ce Moniteur est de la main du Maitre S. A. R.*

N. 54 Albertrandy list, a N. Kniaziewicz ex-jezuita odpowiedź.

NN. 58, 59, 79—83, 87, 88, 91—94 Mitzler, w przekładzie dokonanym z tekstu łacińskiego (N. 58, 59) przez jezuitę Stefana Wulffersa, z francuskiego (NN. 79, 80, 82, 83, 91, 94), przez tegoż i (NN. 81, 87 i 88) Minasowicza.

N. 70 Stefan Wulffers.

NN. 89, 96, 100 Mikołaj Jaśkiewicz, kan. katedr. chełmiński.

IV. Rok 1772. „Cały ten Monitor bez excepcyi jest dziełem xięcia biskupa warmińskiego Ignacego hrabi na Krasiczynie Krasickiego.“

V. Rok 1773. NN. 1, 2, 30, 37, 52, 77, 89, 90, 104, Minasowicz.

NN. 8, 16—18, 20, 23, 32, 41, 48—51, 55,73, Żórawski bazylianin.

NN. 24—27, 29, 34 Michniewski misyonarz.

N. 54 Dzierżanowski generał-adjutant.

VI. Rok 1776. „Monitorów tu moich, częścią przezemnie wydanych, częścią napisanych *in summa* 51.“ NN. 1,9, 14 (poezye Morsztyna z rękopisu), 19, 21, 22, 24, 25, 35 (wiersze: pierwszy i trzeci Załuskiego, drugi i czwarty Minasowicza), 38—42, 45, 48—56, 57 (proza), 58 (wstęp prozą, a także poematu p. t. „Orlada“ strofa 1, 2 i 3 Minasowicza, 4 Gabryela Kasparowicza protonot. apost. „Hymn do miłości ojczyzny“ Krasickiego), 72—75, 84 (wstęp Minasowicza do wiersza Jana Macieja Sieżanowskiego p. t. „Pożegnanie Warszawy“), 85—89, 90 (proza Jaśkiewicza, wiersze Minasowicza), 91—94, 95 (wiersze Kasparowicza), 96—101, 102 (wiersze Kasparowicza), 103, 104.

N. 18. N. Krupczyński *Causidicus forensis*.

Autorów artykułów w innych rocznikach przyszłość może odsłoni. Z okazyi N. 21 z r. 1770 Mitzler, jako wydawca *Monitora* przykrą miał sprawę. „W tych dniach (donoszą *Wiadomości warszawskie* z 7 kwietnia 1770 r.) *ad instantiam Instigatoris* urzędu marszałkowskiego kor. stanął dekret z Imcią Panem Mitzlerem w sądach urzędu tegoż o wydrukowanie *Monitora* pod liczbą 21, a dniem 14 miesiąca przeszłego marca, tudzież o wydanie autora onegoż: którym nakazano, aby się odprzysiągł, jako nie wie, od kogo był mu przysłany tenże *Monitor*. Za wydrukowanie jednak i wydanie *in publicum* onegoż wieżą marszałk. koron. i grzywnami ukarany został.“ Autor artykułu (podp. Szczyrzecki) podaje relacyę z rozmowy z jakimś gadułą. O co mu chodziło, kogo miał na myśli? — dociec dziś trudno.

Władysław Smoleński.

ĆWIERĆWIEKOWA DZIAŁALNOŚĆ
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ
W KRAKOWIE.

Monografia Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie przez Józefa Mrazka. Kraków 1886.

W roku ubiegłym krakowskie Towarzystwo Ubezpieczeń obchodziło jubileusz ćwierćwiekowego swego istnienia. Na trzy zaledwo miesiące przed terminem obchodu rozpoczął p. Mrazek niemałą pracę skreślenia działalności téj instytucyi i najważniejszych zdarzeń w niéj zaszłych. Przy tak małym zasobie czasu niepodobna było przerabiać posiadanego materyału na całość skrystalizowaną. W kształcie, w jakim widzimy jego dzieło, jest ono wyborną kroniką faktów, malującą czytelnikowi wyraziście jedno z najciekawszych zjawisk ekonomicznych bratniego kraju. Postaramy się przedstawić je w streszczeniu.

Jeszcze w r. 1798 cesarz Franciszek I wydał rezolucyą zachęcającą kraje Austryackie do zakładania towarzystw ubezpieczeń, opartych na wzajemności. Kancelarya nadworna Galicyjska, idąc w myśl tego rozporządzenia, przedstawiła swoje wnioski, które zyskały gdzie należy uznanie. Ponieważ nikt potém nie popierał sprawy, spoczywała ona bez ruchu aż do r. 1826, kiedy przypomniały sobie o niéj stany galicyjskie. Na nowo więc zaczęły one zajmować się tą sprawą, ale tak powolnie i z taką martwotą, że dopiéro w r. 1839 poleciły wydziałowi stanowemu zebrać wiadomości o rezultatach działalności innych towarzystw wzajemnych, funkcyonujących wtedy w Austryi. Wiadomości brzmiały niepomyślnie. Składki zamiast wzrastać, zaczęły się w tych towarzystwach zmniejszać, fundusze rezerwowe topniały, taryfy rosły. Te wiadomości wprawiły zgromadzenie stanowe w nowe odrętwienie. Dopiéro

w r. 1842 poruszył sprawę w sejmie lwowskim Franciszek Trzecieski, a raz ująwszy ją w rękę, mąż ten mimo wszelkich przeszkód i gorszéj od nich bezduszności i apatyi biurokracyi, pomimo zwłok nieskończonych, miał tę niezrównaną wytrwałość, że w r. 1860 doprowadził dzieło do pożądanego końca. Znalazł poparcie należyte u przodujących ludzi w kraju i sam póty pisał, prosił i na wszystkie strony kołatał, aż nareszcie wydobył zatwierdzenie rządowe dla statutu, który rozkazano mu wzorować na ustawie niższo-austryackiego towarzystwa wzajemnego. Statut został wypracowany w zaproszonym przez Trzecieskiego komitecie z 12 osób złożonym. Pozyskanie uczestników do zawiązującego się towarzystwa kosztowało założycieli wielkich wysileń. Jednakże od chwili pierwszego zgromadzenia ogólnego członków, narady ich przybrały cechy zastanawiającéj dojrzałości, wyrobienia i doskonałego rozumienia potrzeb powstającéj instytucyi. Zarząd zorganizowany został w osobach dyrektorów: Henryka hr. Wodzickiego, Władysława Biesiadeckiego i dyrektora-referenta Henryka Kieszkowskiego. Jako władzę kontrolującą i w ważniejszych przedmiotach decydującą ustanowiono radę nadzorczą z 24-ch członków, zbierającą się na posiedzenia dwa razy do roku, prezesem któréj obrano Adama hr. Potockiego. Nadto na znak wdzięczności za położone zasługi wprowadzono do statutu osobny artykuł, mocą którego Franciszek Trzecieski został dożywotnim kuratorem instytucyi.

Trafny wybór kierowników był pierwszym i najgłówniejszym czynnikiem dalszego powodzenia instytucyi. Okoliczność tę podnieść należy i uwydatnić, gdyż z pomiędzy przedsięwzięć finansowych żadne nie zależy od osobistości przewodniczących w tym stopniu, jak instytucye ubezpieczeń na wzajemności oparte.

Kiedy ciągły postęp i nieustanna ruchliwość są do należytego prowadzenia przedsięwzięć asekuracyjnych niezbędne, to właśnie w kierownictwie instytucyi wzajemnych, wskutek ich organizacyi, nader często wyradzają się rutyna i powolność.

Tymczasem tu przeciwnie, gdybym jednym wyrazem miał oddać charakter krakowskiego Towarzystwa w przebieżonéj ćwierci wieku, powiedziałbym, że jest nim niezmierna rzutność. Wyszedłszy od najskromniejszych zaczątków, bo od długu zaciągniętego przez członków rady nadzorczéj na pierwsze potrzeby organizacyi, doszło Towarzystwo do tego, że posiada własnego kapitału rezerwowego w dziale ogniowym 1,844,000 zł. w. a., w dziale gradowym 355,000 zł. i w dziale życiowym 256,000 zł. Ubezpieczone wartości wynoszą w r. 1886 w dziale ogniowym 352 miliony, w gradowym 18 milionów, w życiowym 17 milionów zł. w. a.

Tak świetnym jest rezultat finansowy; rozejrzymy się w działalności Towarzystwa.

Upoważnione początkowo do prowadzenia samego tylko działu ogniowego, otwiera w nim operacye 1 maja 1861 r., w dniu 1 maja 1864 r. po przejściu wszelkich trudności koncesyjnych rozpoczyna ubezpieczenia *gradowe*, urządza w Krakowie straż ogniową ochotniczą, dla któréj narzędzia nabywa swoim kosztem w tymże 1864 r., poczém w latach następnych w ten sam sposób organizuje straże ogniowe po wielu miastach wschodniéj i zachodniéj Galicyi, lub téż do organizacyi ich dopomaga już to funduszami swemi, już dostarczeniem instruktorów uzdolnionych i nieustanną koło tych straży pieczołowitością. Wypracowuje statut, uzyskuje koncesyą i otwiera kasę oszczędności w Krakowie 1 września 1866 r. Otwiera przy niéj lombard w r. 1868.

W d. 7 listopada 1869 r. przystępuje do przyjmowania ubezpieczeń życiowych, dnia 1 stycznia 1870 rozpoczyna operacye z towarzystwami zaliczkowemi, dla których samo wypracowało statut po odbytych naradach z Szulce-Delitzschem, którym udziela nizko oprocentowane pożyczki na fundusz obrotowy i które w r. 1879 zniewala do obniżenia dłużnikom stopy procentowéj. Z początkiem roku 1875 otwiera Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Krakowie, w r. 1881 sprowadza w niém stopę procentową do 6%.

Od r. 1882 przyjmuje czynny udział w powiatowych kasach oszczędności urządzonych dla włościan, w którym to celu lokuje w nich sumy własne na mały procent, aby uwydatniając zaufanie swoje do kas, zachęcić włościan do umieszczania w nich uzbieranego grosza. W roku 1883 rozpoczyna wydawanie pożyczek hipotecznych z uzbieranego funduszu rozerwowego i rezerwy zaliczek działu życiowego. Wreszcie w tymże roku przystępuje do wydawnictwa pisemka podnoszącego korzyści samopomocy.

Takim był zakres działania krakowskiego Towarzystwa. Dążeniem nieustannném władz jego, myślą przewodnią dyrekcyi było wytępienie w kraju lichwy za pomocą właściwych instytucyi kredytowych, opartych na samopomocy i wzajemności. Trudno założyć sobie cel użyteczniejszy i z większą dążyć doń wytrwałością i energią.

Nie przeszkodziły jednak dyrekcyi różnostronne zajęcia do gruntownego badania i gorliwego wykonywania prac i czynności potrzebnych dla rozwoju i powodzenia ubezpieczeń, stanowiących główne jéj zadanie. Przedewszystkiém władze Towarzystwa nastawały zawsze na konieczność utrzymania w dziale ogniowym wysokiéj taryfy, przez co na głównem polu swoich obrotów osiągały znaczne zyski, dające możność zbierania rezerwy i udzielania wyso-

kich zwrotów, zachęcających do przezorności. Uzyskiwały też przez to środek zapobiegania skutkom nieterminowego wnoszenia składek, pozbawiającego ubezpieczonych wynagrodzenia. Mianowicie postanowiły, że zwrot nie odebrany z jednego roku stanowić będzie zaliczkę na rok następny, a skoro zwrot przez większą część lat wynosił 20—30% od składki, to na przeciąg trzech do czterech miesięcy po upływie ubezpieczenia opóźnienie we wnoszeniu dalszéj składki nie skutkowało dla ubezpieczonych mniéj dbałych utraty wynagrodzenia w razie pogorzeli. Od pierwszéj chwili w należytym stopniu posiłkowało się krakowskie Towarzystwo reasekuracyą, to jest każde ubezpieczenie przekraczające pewną z góry zakreśloną granicę wartości oddawało od siebie w ubezpieczenie innym towarzystwom, a wskutek nader zręcznego ze swojéj strony układu uzyskało zwrot połowy zysków osiąganych przez Towarzystwa reasekuracyjne na ubezpieczeniach krakowskiego towarzystwa i wciągnęło przez to reasekuracyą w sferę wzajemności. Z inicyatywy dyrektora Kieszkowskiego, wskutek usilnych jego prac i energii, dokonanym został dalszy postęp na drodze reasekuracyi przez założenie w Wiedniu w roku 1885 Związku Wzajemnych Towarzystw Ubezpieczeń, przez co położony został fundament wzajemności nawet w reasekuracyi. Związało się z Towarzystwem Warszawskiém Ubezpieczeń stosunkiem koasekuracyjnym, takim, że bierze na swój udział taką samę część jak i pomienione towarzystwo w każdém powierzoném temuż ubezpieczeniu rolném, a w innych rodzajach ubezpieczenia partycypuje w pewnéj umówionéj części, rozszerzając przez to znakomicie sferę swego działania, co stanowi warunek dla powodzenia instytucyi asekuracyjnéj pierwszorzędny. Przez ściśle prowadzoną statystykę dąży do ustanowienia odpowiednich a umiarkowanych taryf gradowych i skwapliwie szuka dróg do uniknięcia strat, na tym dziale wogóle tak niebezpiecznym ponoszonych. Okazuje się z nabytego doświadczenia, że wynagradzanie szkód gradowych pomniejszych jest najgłówniejszém źródłem niedoborów, że niezaradza temu stopniowe powiększanie potrącań z wynagrodzenia w razie powtarzającego się w téj saméj miejscowości gradu, gdyż ubezpieczeni, z chwilą jak podejść mają pod przypadek wyższego potrącenia, usuwają się do innych towarzystw. Wskutek tego władze Towarzystwa utrzymują w mocy potrącenia na ten tylko wypadek, kiedy ubezpieczony *w jednym i tym samym roku* donosi kilkakrotnie o klęsce gradowéj; ma to działanie takie, że w razie szkody pomniejszéj ubezpieczony woli o niéj przemilczéć, aniżeli przez niewczesne niepokoje o lada drobnostkę obniżać sobie wynagrodzenie za następną szkodę, która być może

będzie nierównie większą. W ubezpieczeniu życiowém kasuje w roku 1876 tontiny czyli ubezpieczenia na przeżycie, w których tkwi pierwiastek niemoralnéj rachuby, wynikający ze spadkobrania przysługującego członkom żyjącym po członkach zmarłych przed terminem ubezpieczenia. Tontiny, które krakowskie Towarzystwo otrzymało po zlikwidowaném Towarzystwie Galicyjskiém rozwiązane zostały przez dobrowolny układ z ubezpieczonymi. W ubezpieczeniu bydła przyjmuje ajencyą od wiedeńskiego towarzystwa „Apis“ w celu wypróbowania rezultatów operacyi w tym dziale, i przekonywa się, że bez ogólnego przymusu rządowego dział ten korzystnym być nie może, gdyż w żadne cyfry praktyczne ująć się nie da. Wreszcie rozszerza terytoryalnie swoję działalność ile możności, urządza reprezentacye w Wiedniu i w Bernie, zapuszcza się na Szląsk i na Bukowinę, a w tych wszystkich działaniach przedsiębiorczość i śmiałość łączy z największą przezornością, łączy rozwagę w namyśle ze stanowczością w wykonaniu.

Żadnéj z klas społecznych nie otaczało Towarzystwo krakowskie wyłączną predylekcyą. Utworzone przez ziemian, pomimo opozycyi niektórych członków od pierwszéj chwili swego zawiązania przyjmuje do ubezpieczenia miasta galicyjskie, chociaż źle zabudowane i wielkie przedstawiające niebezpieczeństwa. Czyniąc to dla zasady, dąży do zapobieżenia klęskom przez pomoc skuteczną w urządzaniu straży ogniowych, a zniewala miasta nieprzezorne do zajęcia się tą sprawą przez przepis dozwalający podwyższyć do potrójnéj wysokości taryfę dla miast nieposiadających straży ogniowéj. Dokłada wszelkich usiłowań w celu zachęcenia włościan do przezorności. Ustanawia dla nich jednakową taryfę jak i dla własności większéj, kiedy inne towarzystwa zwykle albo odrzucają, albo znacznemi składkami obciążają ubezpieczenia włościańskie z powodu większéj ich ryzykowności. Gdy potępiając ustawę banku włościańskiego i przewidując jego upadek, od pierwszéj chwili jego istnienia, odmawia mu współdziałania, odmówioném ma nawzajem pozyskanie ubezpieczenia zastawionych w tym banku wartości; lecz wchodzi w umowę z protegowaném przez bank węgierskiém towarzystwem ubezpieczeń i przyjmuje pośredni przynajmniéj udział w ubezpieczeniach włościańskich, a z chwilą upadku banku, likwidacyą jego uczciwą ułatwia; obok tego nabywa znaczną partyą jego listów zastawnych i tę sprzedaje włościanom po cenie kupna (54%), aby ich od ruiny ocalić. Obniża jeszcze daléj taryfę dla włościan ubezpieczających się w grupie i daje im możliwe ułatwienia i dogodności, słowem, dąży do rozpostarcia dobroczynnego swego wpływu wszędzie, gdzie może przeniknąć.

W samym zarządzie panuje największa oszczędność i bezinteresowność; przytoczmy przykład z pośród wielu. Członkowie rady nadzorczéj, z których wielu na posiedzenia z daleka przybywać musi, przez pierwsze cztery lata istnienia Towarzystwa darmo pełnią swoje funkcye, nie pobierając kosztów podróży, od r. 1865 pobierają po 3 guldeny dyet, od r. 1871 po 6 guldenów, od r. 1879 po 10 guldenów dziennie. Kasa oszczędności mieści się przez 2 lata bezpłatnie w dwóch pokojach, ustąpionych jéj przez dyrektora-referenta w prywatném jego mieszkaniu. Nie przeszkadza to jednak, że od pierwszéj zaraz chwili Towarzystwo obmyśla emeryturę dla swoich urzędników, a wszędzie, gdzie idzie o zaznaczenie solidarności swojéj z krajem, nie cofa się przed wyłożeniem znacznych kapitałów. Tak bierze ono 800 akcyi Banku hypotecznego Lwowskiego, udzielającego pożyczki tabularne po Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém, tak zapisuje się na 250 tysięcy guldenów pożyczki krajowéj, czém przyczynia się do jéj powodzenia, jak to uznaném zostało przez pismo marszałka Zyblikiewicza.

Do powodzenia Towarzystwa wiele się przyczynia gruntownie bardzo obmyślana i stopniowo w miarę nabywanego doświadczenia poprawiana jego organizacya. Obecnie członkowie rady nadzorczéj wybierani są na lat 6 w poszczególnych obwodach bezpośrednio przez członków Towarzystwa; prezes jéj przez ogólne zebranie członków, na przedstawienie rady nadzorczéj, na lat 6. Dyrektora-referenta mianuje na czas nieograniczony z prawem odwołania taż rada, pozostali dwaj dyrektorowie wybierani są przez nią na lat 6. Tym sposobem z biegiem czasu wytworzyła się zasada, że dyrekcya pochodzić ma z wyborów podwójnych. Delegaci Towarzystwa, zamieszkali po powiatach, zapraszani z pomiędzy ubezpieczonych, dopomagają Towarzystwu przy czynnościach przyjęcia ubezpieczenia i regulacyi pogorzeli i niejednokrotnie w chwilach trudniejszych przynieśli wielkie usługi. Odpowiedzialność za ściąganie premii i korespondowanie z ubezpieczonymi ciąży ajentów, którzy od każdego ubezpieczenia otrzymują prowizyą. Takie urządzenie organów miejscowych zalecone od pierwszéj chwili przez dyrektora Kieszkowskiego okazało się praktyczném, gdyż łatwo przewidzieć, jak niepożądane skutki miałoby dla instytucyi obarczanie ludzi spełniających bezpłatnie obywatelskie funkcye czynnościami manipulacyjnemi.

Teraz, kiedy przebiegliśmy pokrótce tyle zaszczytną działalność krakowskiego Towarzystwa, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad okolicznościami, które do rozkwitu jego dopomogły.

Bez wątpliwości żadnéj, jedną z najszczęśliwszych okoliczności dla zawiązującego się Towarzystwa wzajemnego była wygórowana wtedy taryfa premii funkcyonujących w Galicyi towarzystw ubezpieczeń akcyjnych, dawała bowiem możność *ustanowienia i utrzymania przez czas długi wysokiéj stopy składek,* wystarczającéj nawet w roku klęskowym, bez obawy o utratę klientów. Skutkiem tego Towarzystwo nigdy nie potrzebowało uciekać się do rozpisywania składek dodatkowych, co jest jedną z okoliczności najbardziéj odstręczających od wzajemności, a przeciwnie jeszcze zwykle udzielało z otrzymanych zysków bardzo znaczne zwroty ubezpieczonym, co wielce do wzajemności zachęca. Miało więc Towarzystwo siłę przyciągającą pomimo tego, że odnosiło zyski, z których szybko zbierało fundusz rezerwowy. Że w razie strat egzystencya jego byłaby krótkotrwałą—tego najlepiéj dowodzą narzekania i niechęci ubezpieczonych, zaraz w drugim roku istnienia Towarzystwa tak głośne i propozycye zamienienia Towarzystwa Wzajemnego na akcyjne, z powodu strat w jednym tylko roku poniesionych, chociaż te straty zostały pokryte z funduszu rezerwowego, uzbieranego w pierwszym roku, który był bardzo pomyślnym. Zasługą jest rady nadzorczéj i dyrekcyi, że od chwili zawiązania się Towarzystwa stale obstawały za wysoką stopą taryfy, bez względu na to, że przez to prowizya płacona ajentom i składki oddawne Towarzystwom reasekuracyjnym były nieco wyższe niżby ściśle należało.

Korzyści, odnoszone przez instytucye reasekurujące, dyrekcya potrafiła odzyskać w znacznéj części przez zwroty, a znakomity fundusz rezerwowy, i kwitnący stan Towarzystwa są owocem przezornéj polityki taryfowéj zarządu.

Taryfa rolna obowiązująca przez pierwsze dziesięciolecie była następująca. Od 100 zł. w. a. wartości ziemiopłodów pomieszczonych w budynkach:

	murowanych pod twardém pokryciem	drewnianych pod twardém pokryciem	murowanych pod gontem	murowanych pod słomą	drewnianych pod gontem	drewnianych pod słomą
Opłata wynosiła centów . .	90	97	97	146	122	150
W téj saméj epoce wynosiła taryfa Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń	40	100	70		120	

Dla tego téż Towarzystwo Warszawskie pomimo wszelkich usiłowań na ubezpieczeniach rolnych nie odnosi zysków, a raczéj ponosi straty. Możność rozwinięcia działań przez pozyskanie klienteli przy wysokiéj taryfie składek była jednym z kapitalnych czynników dalszego powodzenia Towarzystwa krakowskiego. Czynnik

ten został należycie wyzyskanym, dzięki jasności i stałości poglądów zarządu i obywatelskim uczuciom ubezpieczonych.

Drugim pierwszorzędnym zadatkiem pomyślności było zmniejszanie się corocznéj liczby pożarów w skutek zaprowadzenia sądów przysięgłych w r. 1873, rezultat czego był zadziwiający. Kiedy przedtém nieustanne korespondencye i zażalenia dyrekcyi, wnoszone do władz rządowych o słabe śledzenie podpalania, o nieużywanie przeciw niemu środków zapobiegawczych, praktycznego nie odnosiły skutku, to w pierwszych zaraz kilku miesiącach funkcyonowania sądów przysięgłych skazano trzech podpalaczy, to jest więcéj niż ich zdołała dosięgnąć sprawiedliwość w pierwszych 13-tu latach istnienia instytucyi! Od téj pory zbrodnie podpalania stawały się coraz rzadszemi, zatém i korzyści z ubezpieczenia coraz większemi. Z jednéj więc strony, uzbierany znaczny fundusz rezerwowy, procentami swemi powiększający dochód instytucyi, z drugiéj zaś dotykalne zmniejszenie się liczby pogorzeli i wynikających stąd wydatków stawiają obecnie bilans instytucyi na tak korzystnéj stopie, że od roku przeszłego taryfa składek mogła być prawie zrównaną z taryfą Towarzystwa Warszawskiego, to jest o wiele obniżoną.

Trzecim pomyślnym warunkiem był żywy udział i poparcie jakie udzieliło Towarzystwu Krakowskiemu koło najzamożniejszych i najwięcéj wpływowych obywateli Galicyi, biorąc sobie niejako za punkt honoru powodzenie instytucyi.

Czwartym był stosunek władz rządowych do instytucyi ściśle przedmiotowy. Z téj strony Towarzystwo nie tylko na żadnym punkcie nie doznawało niepotrzebnych przeszkód, ale nawet z chwilą powiększonego wpływu władz autonomicznych cieszyło się stale przychylném ich poparciem.

Piątym wreszcie i najważniejszym czynnikiem pomyślności był nader szczęśliwy dobór osobistości w zarządzie.

Słusznie i trafnie wyraził się o członkach dyrekcyi w swojém przemówieniu Adam hr. Potocki: „Odwagą w postanowieniu, oględną i baczną rozwagą w działaniu, odrzuceniem zmudnych, kosztownych i biurokratycznych form—a jednak zaprowadzeniem ścisłego, jasnego i sprężystego porządku i kontroli, zachowaniem w stosunkach wszystkich cechy obywatelskiéj właściwéj... przedsięwzięciu, przy najsumienniejszéj oględności w najdrobniejszych szczegółach, a zawsze wytężoną pracą, zgodném między sobą, jakby jeden postępowaniem, nieugiętą wytrwałością i prawdziwém poświęceniem, przyczynili się oni głównie do wypadków osiągniętych..., a zdrowém założeniem w samych początkach dali silną i poważną podstawę przyszłemu rozwojowi instytucyi.“

Teraz jeżeli z tylu przychylnemi warunkami złożymy płodną ideę wzajemności, stanie się dla nas wytłómaczonym zdumiewający rozkwit Towarzystwa krakowskiego. Byłoby jednak złudzeniem taki rezultat przypisywać saméj zasadzie wzajemności, a oczekiwać od niéj więcéj, niż dać może, byłoby niebezpiecznie. Przynosi ona owoce wspaniałe skoro się do niéj dołoży wytężoną i umiejętną pracę kierowników i żywe współdziałanie społeczeństwa, ale téż w żadnym rodzaju instytucyi nie znajdziemy tego zapleśniałego zacofania i apatyi, téj obojętności na postęp nauki i na zmianę ogólnych potrzeb, jak w instytucyach asekuracyjnych, opartych na wzajemności, skoro się zamkną w sferze załatwiania bieżących interesów ze ślepém trzymaniem się swego zastarzałego statutu, zaprowadzonych kiedyś tam porządków i utartych formułek biurokratycznych, a skłonność do przyjęcia takiego kierunku zbyt często i zbyt ogólnie ujawniała się w towarzystwach wzajemnych. Objawiły się skutki wad pomienionych dość dobitnie gdzieindziéj, jeżeli pomimo istnienia mnóstwa towarzystw asekuracyjnych wzajemnych w Niemczech, Belgii i Francyi, powstały obok nich towarzystwa akcyjne, które je z niewielkiemi wyjątkami przez swoję zabiegliwość i skłonność do ustępstw pokonały i na własnym ich gruncie pobiły. W saméj „Monografii“ napotykamy świadectwa upadającego stanu wszystkich niemal towarzystw wzajemnych w roku 1839 w całéj Austryi (str. 14) i zupełnie zachwianego stanu Towarzystwa Wzajemnego Czeskiego jeszcze w roku 1866 (str. 206). Wszak dopiéro inicyatywie dyrektora Kieszkowskiego udało się obudzić z letargu towarzystwa wzajemne austryackie, już ledwie wegetujące i nakłonić je do zmiany statutów w duchu ustawy Towarzystwa krakowskiego. Skutki wywołanéj tém reformy były zadziwiające. Towarzystwo Morawskie w 4 lata po dokonanéj reorganizacyi podwoiło swoje składki i fundusz rezerwowy, a ponieważ wartość w niém ubezpieczona w tymże czasie prawie się potroiła, więc oczywiście składek nie podwyższono, a znakomite te zyski były owocem saméj tylko trafnéj zmiany dotychczasowego kierunku. Ciekawém jest, iż nawet towarzystwo niższo-austryackie, na którego statucie Towarzystwu krakowskiemu niegdyś kazano się wzorować, i to zmieniło (przynajmniéj po części) swój zastarzały, a ongi modelowy statut, biorąc teraz nawzajem wzór z wypracowanego na gruncie miejscowym statutu Towarzystwa krakowskiego.

Dla uzupełnienia obrazu, przyjrzyjmy się, jak zapatrywali się na cele i działalność instytucyi ci, którzy widzieli ją zblizka i na losy jéj wpływali, aby ocenić stopień świadomości, który towarzyszył założeniu i dalszéj pracy instytucyi.

Wkrótce po zawiązaniu towarzystwa powiedział w ogólném zebraniu Adam hr. Potocki: „Wśród smętnych zwalisk, które ziemię naszę zalegają i tak boleśnie świadczą o upadku, zamierzyliśmy jednéj poszczególnéj potrzebie zaradzić zawiązaniem się w nasze Towarzystwo. Dbać więc o jego dobro jest nam nietylko zadaniem, jest dopełnieniem prawdziwie obywatelskiego obowiązku, aby do podźwignięcia całości donieść i naszą cegiełkę" (str. 182).

Że zamiary te były spełniane zgodnie z pragnieniami społeczeństwa, widzimy z następnego przemówienia tegoż hr. Potockiego: „Przybywa do... téj instytucyi i jakoby z niéj wypływa z każdym rokiem nowe przedsiębiorstwo, nowy zakład, a po nowych i czerstwych gałęziach i konarach sądzić można o sile, zdrowiu i o żywotności samego pnia" (str. 233).

Ciągłość i zmienność są to najistotniejsze warunki żywotności. Otóż baron Baum tak określił górujące pod temi względami zasady instytucyi: „Gdyby wskutek coraz bardziéj wzmagającego się rozwoju Towarzystwa okazały się reformy w jakimbądź kierunku pożądanemi, nie zaniedbamy wprowadzić tychże w życie, nie naruszając jednak głównych podstaw, na których instytucya nasza spoczywa, rozszerza się i wzrasta. Te podstawy pragniemy utrwalić, gdyż gmach, który na tych podstawach wzniesiony został, dowodzi, iż fundamenta są pewne i silne" (str. 322). — A więc uszanowanie i miłość dla tradycyi obok stałego dążenia do postępu, takiém jest hasło Towarzystwa krakowskiego, i takiém się rządzą wszystkie instytucye kwitnące.

Należy się prawdziwe uznanie p. Mrazkowi, że pracowitém dziełem swojém dokładnie obznajmił rodaków z dziejami tak sympatycznéj instytucyi. Umiejętnie ułożone przez p. Kazimierza Langiego tablice statystyczno-graficzne z korzyścią dopełniają całości, która w swoim zakresie zupełnie celowi odpowiada, a poprzedzona krótkim rysem dziejów asekuracyi w Królestwie Polskiém i W. ks. Poznańskiém, otwiera szerszy pogląd na sprawę asekuracyjną w naszym kraju.

Józef Jeziorański.

CZYTELNICY I PRASA

(GŁOS Z PUBLICZNOSCI) (1).

Praca nad oświatą ludu.—Warstwy średnie, ich rola w społeczeństwie,—stosunek warstw średnich do pracy nad oświatą ludu.—Prasa peryodyczna jéj odnośne zadanie,—przeciętny czytelnik, prasa,—przeciętny literat, publika.—Nakładca i nowe społeczne prądy.—Ścisła tendencyjność pism—wyosobnienie prasy, małoletniość publiki.—Jak radzić złemu: usamowolnienie publiki, dziennik ogólnéj treści, zdanie redakcyi.—Naturalny rozrost prasy, pomimo pozorów stagnacyi—sposób w jaki pismo przychodzi w zetknięcie z publiką—przypuszczalna rada.—Należyte rozwinięcie klas średnich zapewnia jedynie wpływ skuteczny na podniesienie ludu.

Ostatniemi czasy, wiele się u nas mówi i pisze o potrzebie szerzenia oświaty wśród ludu, jako jednéj z najżywotniejszych, palącéj kwestyi. Nie mam zamiaru przeczyć prawdzie tak oczywistéj, drogi jednak, któremi do celu dojść chcemy, nie zupełnie wydają mi się właściwe.

Przyjrzawszy się zbliska i bezstronnie całéj na tém polu robocie, zauważyć można, iż wykonywa się ona nieprawidłowo.

Warstwy, społeczną składające masę, nie oddzielają się nigdzie od siebie zbyt ostro, na punktach stycznych nie tworzą krańcowych różnic. Jak wszędzie, tak i tu widzimy stopniowanie i łagodne przejścia, zlewające je niepochwytnie w całość. Arystokracya rodowa przez drobną szlachtę i wyższe mieszczaństwo jednoczy się z klasą średnią, tak jak téj znów niższe warstwy giną w ludowéj massie.

Tak zwana średnia klasa w dzisiejszém naszém stadyum, to serce, w którém ogniskuje się duchowe życie całości, aby następnie

(1) Pomieszczając artykuł niniejszy, powodujemy się myślą uczynienia zadość potrzebie łączności ogółu czytającego z czasopiśmiennictwem nie tylko w sposób bierny, ale także i czynny przez komunikowanie myśli, wytwarzających się poza kołem zwykłych spółpracowników, a odbijających poglądy pewnych większych grup społecznych.

(*Przyp. Redakcyi*)

po społecznéj rozpływać się masie. Wyższe warstwy, materyalizując się, obumierają, podczas kiedy najniższe, jeszcze należycie uduchowić się nie zdołały.

Wielką przeto, jak widzimy, jest rola owych warstw średnich; zadaniem ich, jako twórców i stróżów życiodawczych źródeł, jest wciąż oczyszczać je i podniecać, aby duch, który z nich tryska, coraz szybciéj, coraz obustronnie odleglejsze od środka użyzniał sfery, chroniąc od zakażenia jedne, drugie od zaniku i moralnéj zagłady.

Chąc jednak, aby dana warstwa pracy téj godnie i prawidłowo odpowiedziéć mogła, należy ją przedewszystkiém używotniać w saméj sobie, od wierzchołka aż do podstaw.

Zwierzchni pokład tworzą tu ludzie poświęceni pracom ogólniejszego znaczenia, ludzie społecznego czynu, głębokiéj miłością ogółu przyjętéj myśli. Starać się o jak najszersze przystosowywanie działań ich w praktyce, ułatwiać masie właściwe rozumienie ich i saméj siebie, karmić możliwie najliczniejszą rzeszę tworami zdolniejszych umysłów—znaczy to używotniać klasę średnią, a tém samém, pełnić jedno z najpilniejszych zadań chwili. Niepodobna działać skutecznie na warstwy dalsze, dopóki bliższe, odpowiednio przygotowanemi nie będą.

Rozwijając się w myśl naturalnego prawa postępu, coraz więcéj liczymy w gronie naszém uświadomionych jednostek; przyrost ten wszakże tém pilniejszy na nie wszystkie wkłada obowiązek, wprowadzania w grę pozostałych, wyszukiwania sposobów, któreby co prędzéj wyrwać mogły masę z kleszczy egoizmu, jeśli nie apatyi i bezwiedzy, a wprzęgły ją do tak pilnéj, na społecznym zagonie pracy.

Tak zwaną średnią klasę składają u nas literaci, lekarze, prawnicy, urzędnicy, kupcy, przemysłowcy, drobna szlachta wreszcie. Jeśli pominiemy trzy pierwsze kategorye, jako ludzi pracujących umysłowo, a więc mających, dane po temu, aby stanowić zwierzchnie warstwy, to pozostałe, pamiętając że tu mowa o przeciętnéj, utworzą masę przeważnie egoistycznemi widokami materyalnych zabiegów pochłoniętą, o ile nie apatyczną i walką o byt w nieprzyjaznych warunkach wyczerpaną. Myśl ogólniejszego znaczenia mało w niéj budzi interesu, każdy tu gorączkowo pracą na chleb zajęty, dziś i jutro—to najżarliwszych zabiegów meta, po za obrębem któréj, w chwilach od obowiązkowéj pracy wolnych, wesoła a szczera gawęda, bilard, operetka czy lżejsza komedya, wreszcie gra w karty w przyjacielskiém kółku lub resursie wystarczą.

Na tle téj płytkomyślnéj całości, wydatnieją od czasu do czasu innego pokroju grupy; słowa ich wszakże giną bez echa, czyny mar-

nieją bez szerszego naśladownictwa. Uda im się wprawdzie zyskać niekiedy poklask i teoretyczną zachętę, częściéj jednak pogardliwą nazwę marzycieli, idealistów, dziwaków, a bez duchowego wspólnictwa z całością, chęci i myśli ich, w czynie ucieleśniać się nie mogą.

W takim stanie rzeczy, praca nasza, około podniesienia i oświecenia warstwy ludowéj, dość dziwnie wygląda. Jest to coś jakby chęć zmienienia naturalnego porządku, chęć podania karmi dziesiątemu z kolei, kiedy pierwszych dziewięciu w stosunkowo bliższéj z tą warstwą zostających styczności, wyrodnieją w zaniedbaniu. Wreszcie duchowe potrzeby danych klas społecznych, stopień ich rozwinięcia, warunkują się również miejscem, jakie one w hierarchii społecznéj zajmują, a odczuć i zrozumiéć te ich potrzeby potrafią najlepiéj ci, co się z należącymi do nich osobnikami w praktycznem życiu spotykać mają sposobność. Literatura téż, jaką sztucznie tworzymy dla ludu, nosi cechy nieznajomości warstwy, dla któréj jest przeznaczona. Literat ożywiony miłością maluczkich, lub filantrop, w ciszy swego gabinetu snujący oderwane pomysły ku uszczęśliwieniu nieznanych sobie, w nieznanych mu zbliska warunkach żyjących indywiduów, przypominają smakosza, który częstując wieśniaka ostrygą, dziwił się, że go nią uraczyć nie zdołał.

Nie poznamy ludu i skutecznie nad jego podniesieniem pracować nie będziemy, póki nie zjednoczymy się ściśléj, i nie używotnimy sami w sobie, nie potrafimy należycie karmić ludu dotąd, dopóki między nami będzie takie mnóstwo duchowo głodnych, pojęciowo ciemnych, w uczuciu egoistycznych.

Chcąc złemu radzić, a tém samém pośrednio przyczyniać się do pilnéj pracy społecznéj, należy nam starannie między samymi sobą duchowe odnajdywać powinowactwa, żywotniejsze z nich stwarzać całości, krzesać iskry, któreby rozświecając się przez kojarzenie z innemi, coraz dalsze rzucały promienie. Zadania tego winni się podjąć wszyscy, którym dobro ogółu na sercu leży, aby je należycie spełnić, potrzeba być, pojęciowo i czuciowo, rozwiniętymi ludźmi.

Dla pełnienia tego rodzaju misyi cywilizacyjnéj, życie towarzyskie i prasa mają pole najobszerniejsze.

Pominąwszy na teraz pierwsze, przyjrzyjmy się drugiéj, jéj odnośnym obowiązkom i stosunkowi, w jakim dziś do przeciętnego czytelnika zostaje.

Prasa peryodyczna, zwłaszcza téż u nas, to jeden z najgłówniejszych wyrazów życia umysłowego, w szczególniejszéj téż u ogółu winna być pieczy, jak również ze swéj strony, najodpowiedniéj

go zasilać. Prasa to zwierciadło całokształtu ducha społeczeństwa, ze wszystkiemi jego cechami charakterystycznemi, to odcisk wszystkich prądów i zwrotów chwili, przekonań danych grup i jednostek w zestawieniu z sądem całości. Pisma, pomiędzy innemi, winny być polem kojarzenia się pokrewnych pojęciami, a nie jednokrotnie rozdzielonych przestrzenią lub socyalném położeniem osobników, miejscem właśnie zlewania się we wspólne ognisko pojedyńczych odległych światełek, dla tém łatwiéjszego ogarniania umysłów owych mas, drzemiących pomimo wszystko, w półsennem zbezwładnieniu.

Czy tak pojętemu zadaniu nasza prasa peryodyczna czyni dziś już zadość?

Aby odpowiedzieć sobie na podobne pytanie, dość zbadać stosunek, jaki istnieje pomiędzy czytającym ogółem, a piszącymi.

Kto jest u nas czytającym ogółem?

Klasa średnia bez wątpienia; jeśli jednak wypadnie nam znów pominąć, stosunkowo nielicznych ludzi umysłowo pracujących, pozostaną właśnie, te dalsze pokłady téj warstwy, złożone z ludzi pracy mechanicznéj i drobnych o jednostkowym, lub rodzinnym, charakterze zabiegów, ludzi, którzy rzadko bardzo specyalniejszém cechują się przygotowaniem, a jednak społecznym dążeniom i ogólnoludzkim ideom, w przystępną ujętym formę, współczuć, ba nawet współdziałać gotowi.

Pozostałych, a najliczniejszych, znów odtrącić wypadnie, tych bowiem umysłowym potrzebom, brukowe wieści z kuryerów i humorystyka wystarczają.

Najbliżéj też wierzchniéj warstwy położonymi, jakkolwiek właściwie nie należącymi do niéj, prasa ze szczególną pieczołowitością zaopiekować się powinna, oni to są przewodnią dla oświaty i dążeń społecznych nicią, z pośród nich wreszcie, rekrutuje się przeciętny czytelnik.

Osobistość to, ani wydatniéj inteligentna, ani krańcowo zacofana; jako pokarm duchowy służy jéj w chwilach wolnych książka popularna, częściéj pismo peryodyczne, z oszczędności codziennego życia zaprenumerowane. Przeciętny czytelnik rad też znaleść w niém, nie trudząc się zbytecznie gimnastyką umysłową, zasiłek duchowy, w formie pojęć sobie pokrewnych, na sprawach i prawdach powszedniego, zbliska znanego mu życia opartych. Wreszcie, wiadomości z szerszego świata, zawsze w popularnéj podanych formie, jednėm słowem, czegoś co by rozumiał, i czemu by współczuł, a więc się interesował.

Przychodzi zrobić pomiędzy istniejącemi pismami wybór, środki materyalne ograniczone, trzeba poprzestać na jedném, dwóch najwyżéj, kłopot nielada, wybór trudny.

Ktoś z inteligentniejszych znajomych radził zaprenumerować jedno z pism tak zwanych postępowych, radykalnych. Przeciętny czytelnik jednak ani tak krańcowym, ani dostatecznie wykształconym nie jest, aby mógł wnikać głębiéj w dążenia redakcyi i współczuć im, spostrzega tylko jednolitość pewnych zasad, obcych jeszcze jak dotąd ogółowi. To téż po pewnym czasie p. X. przychodzi do wniosku, że dziennik, z którym się zetknął, jakkolwiek zamieszcza wiele rzeczy uczonych, wiele nawet myśli poczciwych, to jednak obrażając uczucia religijne narodu, jest niebezpieczny, ojczystym tradycyom wrogi; wykreśla się téż z listy prenumeratorów. Uciekając przed niebezpiecznemi pojęciami, trafia do jednego z dzienników klerykalnych. Przeciętny czytelnik ma zazwyczaj dużo praktycznego zmysłu, sprawami nawet ogólniejszego znaczenia interesować się lubi, żywotną myśl byle w dostępnéj podaną formie odczuwa, czcza frazeologia nuży go, rad wśród plewy napuszonych frazesów odnaleść ziarno duchowego, a nie oderwanego od ziemi zasiłku, nie znajduje go jednak.

Jeszcze jedna próba: zwraca się do pisma, które ma być sprawom życia praktycznego poświęcone, a redagowane przystępnie,— i tym razem zawód. W przekonaniu redakcyi: wszystkiemu, co złe na świecie, winno jedno tylko plemię—żydzi. Czytelnik znów w zasadzie różni się z tendencyą pisma, jako człowiek praktyczny i umiarkowany, wiele wad w swoich spotrzega, wiele téż innym wybaczać umié.

Po tak niefortunnych próbach, nie znajdując odpowiedniego dla siebie, w odpowiedniéj formie podawanego zasiłku, staje się zapalonym adeptem polityki, a odgadywanie tajnych kombinacyi gabinetów zagranicznych— jego ulubioną rozrywką. Jeśli w towarzystwie ktoś z obecnych robi wzmiankę o prasie peryodycznéj, p. X. konkluduje: „Pustki, panie, w naszych pismach nie ma co czytać.“ Innym razem, dyskredytując prasę postępową w opinii współbraci, woła: „Źle się z nami dzieje, bo nasze mędrki Boga w sercu nie mają, spuścizny po ojcach nie szanują, a wszystko co tam piszą, to trucizna, panie, od któréj samym uciekać a młodych strzedz.“ — Takich i tym podobnych panów X. mamy mnóstwo: straceni dla siebie, szkodliwi dla rozwijających się samodzielniéj w ich pobliżu umysłów, z czasem stają się zawadą, wstrzymującą przeniknięcie w tłum każdéj śmielszéj, żywotniejszéj myśli,— prawdziwe tamy postępu.

Chcąc zobaczyć przyczyny zła, przyjrzyjmy się, kim jest przeciętny literat z fachu i zbadajmy wzajemny stosunek obydwóch tych typów. Przeciętny literat z fachu, jeśli człowiek młody, to jednostka parta szlachetnemi porywami, zwłaszcza też u wstępu do swego zawodu; młodzieńczy zapał, energią i przerastające miarą swą przeciętny ogół zdolności, pragnie ona w imię idei złożyć na ołtarzu dobra społecznego. Nie znane jéj są dostatecznie warunki życia realnego, nagiąć je téż usiłuje mocą swego ducha do własnych pojęć i idei. Młody tego pokroju literat, to namiętny, fanatyczny szermierz, nie świadom prawdziwéj wartości własnych zasobów, niedoceniający życiowego dorobku starszych współbraci literatów, a przedewszystkiém lekceważący szary tłum, szanowną publicznością zwany. Literaci téj kategoryi, to bez kwestyi promotory postępu; droga wszakże, którą innych siłą swego zapału i energii prowadzą, wytknięta bez współudziału rozwagi, życiowego doświadczenia, wreszcie znajomości tych, którzy się ich przewodnictwu oddali, zdradna. Każdy okruch zdrowéj prawdy i żywotniejszéj myśli, okupować każą tysiącem błędów, wynaturzeń, oddalając cel upragniony, opóźniają tryumfalny ku prawdzie pochód; chcąc budować, zbyt wiele niszczą, zbyt bezwzględnie prawdom przeszłości przeczą— między nimi i tacy, co pod płaszczykiem idei znają tylko siebie, a dla stwierdzenia własnéj nieomylności gotowi by żądać, aby sama prawda przybrała narzucone jéj przez nich kształty. Wobec tych literatów, zwykły przeciętny czytelnik maleje do zera, stając się tylko raz na kwartał jednostką, a mianowicie w chwili uiszczania za pismo opłaty.

Chcąc jednak być sprawiedliwym, przyznać trzeba, że żądza materyalnych zysków nie leży w naturze pierwszych, tam wyłącznie tylko miłość dla idei skrystalizowała się w formę miłości dla własnego rozumu, a nieco późniéj w miłość swego „ja.“ Bywają wprawdzie i inne, poniekąd niespodziewane zwroty: szlachetne poczucia, zakażone chwilowo poszeptami fałszywéj ambicyi i dumy, w ogniu życiowych doświadczeń oczyszczają się, i prawda jaśniéj niż kiedy wybłyska,—metamorfozy te jednak przychodzą zwolna, stopniowo, a zawsze ze szkodą masy, która nie może, nie śmie podnieść opozycyi przeciw umysłowemu despocie, to téż albo podziwia go przerażona i bierna, albo szemrze głucho, zapominając o rzeczywistéj wartości żywotnych zkąd inąd jego dążeń i myśli.

Obok téj kategoryi literatów, mamy jeszcze typ inny, o nie mniéj wydatnym charakterze. Tworzy go zastęp pracowników pióra, którzy rozpocząwszy zawód swój również z dobrą wolą i poczciwą myślą, nie odznaczali się wszakże tyle samodzielnym co pierwsi

umysłem, ani tak krewkim, czy nerwowym temperamentem, zmęczyli się też i wyczerpnęli w swéj trudnéj, kolcami najeżonéj drodze.

Literaci tego pokroju, to po największéj części rutyniści, pedanci. Siły ich fizyczne wątłe, myśl do formy słowa przyrosła, i w niéj też skarlała, nie może śmiało za duchem czasu podążać, w lot rodzące się chwytać pojęcia i szybować wraz z niemi po oceanie nie dość uzmysłowionych jeszcze idei. Skłonniejsi są oni od młodszych swych braci widziéć w „szanownéj publiczności“ dostarczycieli nędznéj mamony, któréj realną wartość nauczyło ich oceniać życie mozolne; dla nich publiczność, to dziecko, które wedle indywidualnego usposobienia traktują dobrotliwiéj, lub mniéj łaskawie, uprzejmiéj lub więcéj szorstko, zawsze jednak z wysokości katedry, w imię ojcowstwa, czy nauczycielskiéj powagi.

Z tego punktu spojrzawszy na obraz, jaki nam prasa przedstawi, zamiast odzwierciedlenia całokształtu ducha społecznego, ujrzymy pole szermierki kilku zdolniejszych jednostek, pożeranych wewnętrznie górującą po nad wszystkie względy ambicyą. Pole fanatycznych starć kilku grup ludzi odmiennych przekonań, starć, o ile podjętych w dobréj wierze, zabarwianych jednak namiętnością, koteryjnemi względami i t. p.

Ciasną i duszną tę arenę ogradza mur chiński rutyny, pyszałkowatości, wreszcie myślowego despotyzmu, po za nim dopiéro gromadzi się szary tłum publiki. Zajęty, uznojony on pracą, około drobnostkowych powszedniego życia zabiegów podejmowaną, mimo to wszakże w każdéj swobodniejszéj chwili wspina się na palce z miną rozciekawionego gapia; przygląda utarczkom zapaśników, lub przysłuchuje z ciekawością dziecka ich opowieściom, w formę gawęd, fejletonów, półsłówek przykrojonym. Innym razem zajęty różnobarwnością ich jaskrawych chorągwi, śledzi ciekawie zapasy walczących, współczując zwycięzcy, rzadko zwyciężonemu, bo na to potrzebaby więcéj samodzielności, a na téj właśnie mu zbywa. Niektórzy śmielsi, o krwi gorętszéj i pochwytniejszym z natury umyśle, zwabieni czerwoną lub niebieską barwą sztandaru, usiłują się przedrzéć przez oddzielające ich od walczących mury, i bodajby w roli ciurów obozowych spieszą na pomoc tym, którzy sympatyą ich sobie zjednali. Usiłowania te wszakże, rzadko kiedy bywają uwieńczone pomyślnym skutkiem. Rycerze z fachu nie dowierzają nowozaciężnym ochotnikom, pomoc ich przyjmują z lekceważeniem, niekiedy jednak, zatarłszy starannie indywidualne ich cechy, przybranych w odpowiedni, z pedanteryjną ścisłością sporządzony uniform, wprowadzają na publiczną arenę, na któréj defraudowani przybysze, nie śmiąc być sobą, nie umieją zrozumiéć

i odczuć w zupełności tych, których barwę noszą, robią się też wkrótce biernemi, zidyociałemi w ich ręku narzędziami.

Jedna jest jeszcze droga, więcéj już oficyalna, która łączy publiczność z prasą, a jest nią kupiecka spekulacya nakładców. W stosunku wzajemnym prasy z publiką, oni są przewodnikami, za pomocą których duch masy przekrada się w dane pismo w formie tendencyi, któréj część jéj hołduje. Droga ta, prawie wyłącznie chęcią materyalnego zysku torowana, obok ujemnych, łączy w sobie dwie dodatnie dane. To, czego miłość dla idei uplątana w sidła małostkowego pyszalstwa zrobić nie zdołała, to zrobiła zimna rachuba, chęć zysku. Téj to spekulacyi dzięki, w chwili rozwijania się w społeczeństwie pewnéj kategoryi pojęć, zjawia się pismo, mające być ich wyrazem. Z tegoż samego jednak powodu, kiedy liczba zwolenników kierunku, jaki pismo początkowo obrało, okazuje się zbyt małą, zimna rachuba kapitalisty, gotowego zawsze poświęcić miłość idei dla pobrzękliwego kruszczu, nakazuje odcieniować barwę sztandaru i zbliżyć się ku większości. Mniejsza o to, co się z kiełkującym zarodkiem danéj myśli stanie, mniejsza o garstkę samym sobie zostawionych zapaleńców, tu chodzi o brzęczącą monetę, o zysk. Droga podobnego postępowania, o ile w części pomaga rozwojowi pojęć i używotnieniu myślowych prądów, o tyle tamuje je i opaźnia. Wszelka myśl postępowa, zanim uzyska prawo obywatelstwa, musi ciężką przejść walkę ze wstecznictwem, jakie jéj zawsze w formie większości przeciwstawia kapitał, nie znajdując utartych torów, przedzierać się musi przez manowce rutyny uprzedzeń i zabobonów przez wązkie i zachwaszczone ścieżki, po których towarzyszy jéj zaledwie garstka gotowych do poświęceń adeptów; zanim wydobyć się zdoła na światło dzienne i gładką szeroką drogę, którą pociągnie za sobą tłumy. Nakładca tymczasem, wyszukując dla pieniężnych swoich spekulacyi szczęśliwych obrotów, schlebia fałszywym lub chorobliwym gustom publiki, stając zbyt często jako potężny, materyalną siłą wsparty, propagator i obrońca wstecznictwa.

Nie mniéj od poprzednich ważną przeszkodą w myślowym rozwoju ogółu jest zbyt zacieśnione pojmowanie i fanatyczne strzeżenie ram danego pisma, „wyznaniem wiary“ zwane. Wiadomo, ile na punkcie wierzeń religijnych, fanatycznie, kastowo uodrębnione ich pojmowanie przyniosło szkody ogółowi, kosztem jakich ofiar tamowało ludzkości drogę stopniowego rozwoju, i dziś, kiedy ta sama myśl, dla któréj aby uzyskać swobodę, poniesiono tyle ciężkich prac i walk krwawych, różnicuje się, my usiłujemy ją znów okuwać w kajdany fanatyzmu i pychy.

Powstając przeciw zbyt ściśle ujednostronnionéj tendencyjności w prasie, nie domagam sie bynajmniéj, aby zrobić pismo płową mozajką, wolną od ściśle określonych dążeń, od starć gorących (byle nie brutalnych), od świadomego siebie celu; zasklepianie się jednak w raz powziętéj myśli, niechęć i uprzedzenia ku wyznawcom wiar innych, graniczące z nienawiścią, zbyt często na samolubnych instynktach opartą, nie godném jest umysłu prawdziwie inteligentnego człowieka, i nie może znaleść oddźwięku w szerszych kołach publiki. Widzieliśmy już, jakie znaczenie dla przeciętnego czytelnika ma to ujednostronnienie tendencyi, ta bałwochwalczość wobec danéj tezy. Ściśle określona, zbyt jednostronna tendencyjność, nadaje pismu czysto indywidualistyczny charakter, zacieśnia jego ramy, monopolizując poniekąd grupę danych pojęć i jednostek, zbyt słabo łączy prasę z ogółem, przez co znów jednostkowe uwyraźnianie się mas, duchowy wzrost ich opóźnia się, nie wyrabia samodzielność, któréj brak ujemnie zawsze, wśród zdradnych zewnętrznych okoliczności — zgubnie działać może.

Wszystkie powyższe względy, źle oddziaływając na przeciętnego czytelnika, takiż wpływ wywierają i na samę prasę. Z jednéj strony publika nieużywotniona sama sobą, nie zasilona należycie pojęciami bogatszych duchowo jednostek, dusi się w atmosferze powszednich zabiegów, ciasnych celów, ograniczonych widzeń; błyski zaś jaśniejszych i zdrowszych myśli, nie znajdując szerszego dla siebie odbicia, promieniują w ciasném kółku najbliższego otoczenia, a niekiedy nie wychodząc po za obręb mózgowéj swéj klatki, gasną nie podsycone żadną zewnętrzną podnietą. Z drugiéj strony, literaci, dni i noce nieraz spędzający na suszeniu sobie mózgów przy stole swego gabinetu, zdala od wartkich potoków życia, o którém z obowiązku zmuszeni są wygłaszać pewne przekonania, drogą intuicyi potrzebują znać tych, o których mówić im wypada, którym nawet pewien regulamin, przepisywać są obowiązani. Z konieczności społecznych stosunków traktując zajęcie swoje, jako specyalność do utrzymania życia służącą, obok technicznéj wprawy, wnoszą w dziennikarstwo bardzo często czczość i myślowe wyczerpanie, będące nieodzownem następstwem obowiązkowéj na tém polu pracy. Przykrym widok nieszczęśliwego upadającego pod ciężarem fizycznego mozołu, przykrzejszym wyzysk myśli, tego najszlachetniejszego istoty naszéj pierwiastku, a jakże wielu ludzi dla wytchnienia po mechanicznéj pracy poświęcić by mogło parę godzin wolnych umysłowéj rozrywce, jaką mogło być dla nich pisanie w odpowiednim charakterze i formie. Skorzystałyby obie strony, a tak tracą wszyscy.

Czemże bo wyczerpnięty, znużony, chociażby zdolny umysł może czytający ogół zasilić? Myśl, aby była pożywną, musi być płodem jeśli już nie natchnienia, to pełni tak duchownych, jak i fizycznych sił.

Chcąc względnie radzić złemu, należałoby może przy istniejących pismach o specyalnym charakterze, pomieszczać rubrykę, przeznaczoną dla publiczności, i odnośnych jéj na daną kwestyą zapatrywań, dyskusya uróżnostronniała by tendencyą, ściśléj ją z ogółem zespalając. Obok pism specyalnie tendencyjnych, warto, ażeby inne cechowały się pełnią swobody i tolerancyi. Każdy mógłby wypowiadać się, nie ściągając ze strony przeciwnego obozu oburzenia gromów, żadne złośliwe wytykanie bodajby zewnętrznie najuboższych myślowych kombinacyi miejscaby nie miało, wszelka wymiana myśli, niechby spokojnie i z godnością była podejmowaną. Zróżnicowały się pojęcia, rozwijamy się z dniem każdym,—już nie wystarczają nam pierwotne zasadnicze barwy, poszukujemy więcéj złożonych.

Kiedym się raz z projektem utworzenia podobnie neutralno-popularnego pisma odniosła do redakcyi jednego z tygodników, odpowiedziano mi, iż pismo takie „istnieć by nie mogło, nic podobnego bowiem nie istnieje w całéj Europie, byłby to jakiś dom zajezdny, do którego miałby prawo zajechać każdy.“ Ani pierwszy, ani drugi argument nie przekonał mnie. Nie istnieje u nas bardzo wiele rzeczy, które jednak istnieją w Europie, dla czego by więc nie miały istnieć te, których tam nie ma. Zawsze ta sama naśladowniczość, ten sam brak samodzielności. Co do owego domu zajezdnego, który tak przestraszał redakcyą, nie widzę nic, coby tu w czémkolwiek cywilizacyjnym wymaganiom dziewiętnastego wieku uchybiać miało; przeciwnie, sądzę, że nawet zwyczaj schodzenia się przy wspólnym stole gości po hotelach zagranicą, na zaznaczenie i naśladownictwo zasługuje. Nigdy snadniéj poznać się i porozumieć nie będziemy mogli, jak kiedy zniesione zostaną zapory, tamujące szczere wzajemne porozumienie się, tak nieraz w stosunkach naszych nielogicznie krępowane. Aby myśl człowieka rozjaśniła się, wzmogła względną swoję wartość przez zespolenie się z myślą innych, powinna przedewszystkiém mieć możność wypowiedzenia się, bezwzględnie, szczerze. Często bardzo zacieramy myśl własną jedynie dlatego, że od jednostajnego tła myśli innych zbyt odstaje. W piśmie peryodyczném, o pokroju wyżéj wzmiankowanym, pseudonim zasłaniając osobistość i jéj słabostki, w rodzaju wygórowanéj miłości własnéj, braku cywilnéj odwagi i tym podobnych, zapewniłby swobodę myśli, która na oryginalności, żywotno-

ści i prawdzie zyskałaby niechybnie; chodzi tylko o usamowolnienie publiki (1).

Jakiekolwiek spotykać by można głosy, nie ulega wątpliwości, iż umysłowe życie nasze, w ogóle w ostatnim lat dziesiątku, ożywiło się bardzo, a w naturalnym porządku następstw, i ruch w pismach peryodycznych zwiększa się. Pomimo to niezbyt dawno jeszcze spotkać się można było w prasie z artykułami przeciwnéj treści. Jeden z nich np. zamieszczony w *Prawdzie* p. n. „Gasnące światła“ mógł niesłusznie przejąć czytelników pesymistycznem zapatrywaniem autora na piśmiennicze stosunki nasze. Twierdził on np. iż liczba prenumerujących pisma dziś jest stosunkowo mniejszą niż przed dziesięciu laty, ilość wydawanych dzieł zmniéjszyła się również; byłby to fakt wielce niepokojący, gdyby po wniknięciu w szczegóły nie na samych cyfrach oparte, okazał się rzeczywistym. Rozpatrując wszakże sieć przyczynowości i nie dość znane, dla wyżéj wzmiankowanych powodów, nurty społecznego życia mas, niszcząc moralny rozdział pomiędzy nakładcami literatami a publiką, do innych dojdziemy wniosków, gdzieindziéj ujrzymy zło, którego odblask obserwować się daje na wskazanym punkcie.

Dawniéj, w zamożniejszych zaledwie domach spotkać się można było z pismem peryodycznem, dziś ogół rodzin do klasy średniéj należących prenumeruje ich po parę. Biéda jest ogólną, a jednak pomimo niéj niedaleka przeszłość nie wykaże takiéj liczby uczącéj się młodzieży, jaka dziś pomimo ciężkich innego rodzaju utrudnień z oświaty korzysta. Biédny wyrobnik, stróż, praczka, i ci nie skąpią krwawego grosza, aby dzieci ich zaczerpnęły światła, którego dobroczynne wpływy, jakkolwiek nie doświadczyli ich sami, intuicyą rodzicielskiego uczucia oceniają. Ruch umysłowy u nas nie zmalał, przybrać tylko usiłuje inną formę, grożąc pozorami stagnacyi i odrętwienia, a te w gruncie są zapowiedzią nowych, żywotniejszych zwrotów.

Pisma, najmniéj odpowiadające potrzebom chwili, tracą prenumeratorów, naturalne to bardzo, a dla ogółu obojętne, drzewo

---

(1) Winna ona raz przestać być karmioną a zacząć bardziéj samodzielnie i krytycznie myśléć o sobie, przestać być bawioną, bawiąc się sama, a system téj samopomocy wpłynąłby z jednéj strony na rozwijanie się pojedyńczych osobników, zasilał dziennikarstwo świeżym, pełnym życia prądem, uwalniając zaś ludzi prawdziwie zdolnych od czczych zazwyczaj feljetonów i gawęd, na które marnują, wrodzone talenty, pozwoliłby im postępować w dziedzinie rzeczywistéj wiedzy, bogacąc jéj zdobyczami piśmiennictwo krajowe. Dziennik, o którym mówię, byłby owym zbornym, a zarazem rozjemczym punktem, dla wyznawców wiar różnych, którzy mając możność poznania się bliżéj, zrobiliby krok naprzód do przyszłego braterstwa pojęć, wzajemnéj a tak pożądanéj tolerancyi wierzeń.

zostaje zielonem pomimo, że jedna z jego gałęzi, schnąc, liście traci. Co do zmniejszenia się ilości wydawanych dzieł, przyczyny tego zjawiska dopatrywać by można właśnie w rozroście prasy peryodycznéj.

Dawniéj ogół, żądny wiedzy, nie mógł zasilać się nią inaczéj jak przez kupowanie książek, dziś pisma peryodyczne ze swemi dodatkami poważniejszéj treści, za stosunkowo nizką opłatą, czynią téj potrzebie zadość, obok czytelni, których wzrastająca liczba i wzbogacające się katalogi, dodatnio świadczą o budzących się poważniejszych zamiłowaniach publiki. Owe tłoczone dawniéj tysiącami egzemplarzy dzieła gromadzono w zamożniejszych domach prywatnych, po większéj części dla mody i przyzwoitości, dla przybrania gabinetu lub buduaru, wreszcie, aby świadczyły dodatnio o inteligencyi gospodarzy, jak niegdyś owi rzymscy niewolnicy, co w imieniu swych panów wygłaszali przy ucztach ustępy z klasyków. Tęskno téż i dziś jeszcze z po za lustrzanych szyb wykwintnych bibliotek wyglądają dzieła te skute jak w kajdany w kosztowną oprawę, suto złoconemi napisami zdobną. Dziś ogół kupuje książkę, nie dlą tego, żeby ją zamknąć w elegancką, raz na rok otwieraną szafę, ale dla tego, aby częstokroć zbroszurowaną zaledwie z gorączkowym odczytać pośpiechem, i obdzielić nią jak największą liczbę bliższych i dalszych znajomych; ztąd dziś, mniejsza ilość egzemplarzy danego dzieła, większą stosunkowo karmi rzeszę. Duch danéj społeczności kształci się, przeobraża, rozwija i piśmiennictwo wtedy téż same przechodzić musi koleje. Przytoczone obserwacye zdają się wskazywać, iż żywotność nasza nie znajduje się bynajmniéj w stanie wyczerpnięcia, a więc to nic innego, tylko że zaniedbujemy do lamp świeżéj dolewać oliwy, i dla tego niektóre ze świateł gasną. Aby się dosadnie przekonać, że ta część ogółu, o któréj mówię, w gruncie apatyczną nie jest, dość przyjrzéć się jaki ruch panuje w redakcyach. Gradem artykułów korespondencyi, powieści oryginalnych i tłómaczeń, bywa każda z nich zasypywaną.

Ma się rozumieć duża większość tych tworów, w znacznéj części dla wyżéj wyłuszczonych powodów, nie wydostaje się na światło. Pomimo to życie społeczne siłą własną stwarza ruch w prasie, co raz nowe na jéj powierzchnie rzucając wyrazy w formie nowo tworzących się pism; niechże nie doznaje przeszkód ze strony tych, którzy przewodzić mu mają, niech odpowie swemu celowi, niech życie wzmacnia, rozbudza i krzewi.

Jedną z ważnych na téj drodze przeszkód, jest zbyt uwarunkowany i ograniczony sposób, w jaki przeciętny czytelnik przychodzi w zetknięcie z pismem peryodycznem.

Służy mu w tym celu najprzód droga bezpośredniéj prenumeraty. Prenumerata pism naszych, stosownie do miejscowych warunków, nie jest wysoką, a jednakże niestety, jest za wysoką dla przeciętnego czytelnika, zwłaszcza jeśli ten nie rad się zadowolnić jednem tylko pismem. Pożycza téż inne u znajomych, stosując się do ich widzeń i wyboru, jeśli jest mężczyzną, spotkać się może jeszcze z żądaném pismem w cukierni. Miesięcznik, dla przeciętnego czytelnika niedostępny ze względów materyalnych, chociażby miał dane duchowego z nim powinowactwa. Co do czytania w cukierni, widoczny jest dorywczy jego charakter; miejsc, w których znaleść można ucztę, ze wszystkich niemal dań prasy zastawioną, również brać w rachubę nie należy, są one wyłącznie dla pewnéj specyalnéj klasy ludzi przeznaczone (resursy kupiecka, obywatelska). Biédny téż przeciętny czytelnik, pomimo całéj skwapliwości, z jaką spadające okruchy ze stołu materyalnie bogatszych zbiera, bardzo niewystarczająco odżywiać się niemi może.

Chcąc podobnemu wcale dotkliwemu brakowi radzić, sądziłabym, iż redakcye za wspólném porozumieniem się, urządzać by mogły rodzaj czytelni z pism peryodycznych, w których by najbiédniejsi i najgłodniejsi zarazem, za niską opłatą żywić się mogli. Tanie kuchnie tego rodzaju dodatni wpływ wywierałyby na zdrowie ogółu. Aby zaś udogodnienie to nie ograniczało się na saméj Warszawie, któréj mieszkańcy bez porównania lepiéj na tym punkcie są uposażeni, czy nie dałoby się projektu tego w odpowiedni sposób i do prowincyi zastosować?

Przewiduję zarzut, iż podobne udostępnienie pism peryodycznych ogółowi, wrogiém byłoby interesom redakcyi. Zdaje mi się, iż popełniłby błąd każdy, ktoby tak myślał. Udostępnione zetknięcie się z pismem przyczyniło by się znacznie do ożywienia na tym punkcie mas, zyskując setki nowych prenumeratorów.

Resursom i innym tego rodzaju instytucyom należałoby na odpowiednich warunkach wyznaczyć pewne godziny w dniu, lub dnie w tygodniu, w którychby biblioteki ich, a przedewszystkiém pisma peryodyczne, za niską opłatą, dla ogółu udostępnione były; ciasne to pojęcie—wyosobniać się i zamykać w jakiém bądź kole o kartowym charakterze. Kobiety szczególniéj z czytelni takich korzystać powinny, ich położenie bowiem na tym punkcie jest o wiele jeszcze trudniejsze, występują tu pewne ścieśnienia i odgraniczenia, których emancypacyjny ruch dotąd zwalczyć nie zdołał; kobiety téż, szczególniéj na prowincyi, rzadko kiedy odważają się same pójść przejrzeć pisma peryodyczne w cukierni: tém pożądańszą byłoby rzeczą, aby z pism resursy, lub w mowie będącéj czytelni, ko-

rzystać mogły, a i ich rola w nastręczającéj się pracy nie mała. Tak, tylko, obok ułatwionego masie publiczności zetknięcia z pismem, i rozwinięcia współudziału czytelników w prasie, możemy spodziewać się szerokiego jéj wpływu. Wtedy to jedynie ogół uświadamiając się co raz bardziéj sam w sobie, będzie mógł wziąć się skutecznie do pracy, która dziś nie znajdując w nim należytego oddźwięku, leniwie kroczy naprzód.

Niekiedy nawet, odcięta od pnia głównego, jakim jest czynne życie całości i bezpośrednia z niém łączność, myli drogi, znajdując podnietę, albo w niedość praktycznych usiłowaniach marzycieli, albo w niewysychającém nigdy źródle kastowych niechęci.

Upraktyczniać z życia tryskającą prawdą szlachetne dążenia pierwszych, łagodzić spory, zacierać kastowe odrębności, o ile tłem ich zgubna na niskich instynktach oparta namiętność, oto zadanie chwili, któremu może nie sprostać ideolog, materyalista, antisemita, ani ludofil, ale na pewno podołają miłością prawdy i ogółu przejęci,—celów swych świadomi—ludzie.

W. Chicińska.

WRAŻENIA LITERACKIE.

= W r. 1885 akademia sztuk i umiejętności w Zagrzebiu obchodziła uroczystość 5o-letniego jubileuszu odrodzenia się literatury chorwackiéj. W „Pracach“ swoich *(Rad jugoslavenske akademije)*, wydawanych peryodycznie zeszytami, zamieściła prelekcye i rozprawy wybitniejszych członków, czytane podczas uroczystości. Na czele tych rozpraw spotykamy wstępną mowę prezesa d-ra Fr. Raczkiego, w któréj, po stosownéj przemowie do zgromadzenia, kreśli on w ogólnych zarysach przyczyny i kierunek rozwoju oświaty w Chorwacyi. Obszerniéj i szczegółowiéj rzecz tę rozbiera w następnéj rozprawie p. t. „Obrona i rozwój narodowéj idei chorwackiéj od 1790 do 1835 r.“ znany historyk, członek akademii Tadeusz Szmicziklas. Autor poczyna rzecz swą od chwili, gdy absolutyczne i gwałtowne reformy Józefa II wyrwały Chorwatów z dotychczasowéj apatyi i zmusiły do przedsięwzięcia pewnych kroków w celu zachowania narodowości własnéj. Chorwaci łączą się z Węgrami, aby wspólnemi siłami stawić opór prądom germanizacyi; wkrótce atoli najniespodziewaniéj ujrzeli się zmuszonymi rozpocząć walkę ze swymi sprzymierzeńcami. Węgrzy chcieli uczynić panującym język węgierski w obu krajach, Chorwaci zaś bronili łaciny, którą się dotychczas posiłkowano we wszystkich urzędach. Na chwilę spory ustały, gdy zgodzono się w r. 1811 na wprowadzenie do szkół publicznych języka węgierskiego, wszakże jako przedmiotu nieobowiązującego. W późniejszym jednakże czasie, gdy Węgrzy stale uznawali Chorwacyą za prowincyą im podwładną, nie zaś jako kraj sprzymierzony, a z tego powodu odmawiali im praw równych, na nowo rozpoczęły się spory i Chorwaci zmuszeni byli pomimo długiéj opozycyi uznać w r. 1825 język węgierski jako przedmiot obowiązujący. I nie dziw, że Węgrzy odnosili stopniowe zwycię-

stwa. Społeczeństwo chorwackie, jakiém je maluje p. Szmicziklas, pozostawiało wówczas wiele do życzenia: gdyż niższe klasy żyły w zupełnym niedostatku materyalnym i nędzy umysłowéj, wyższe warstwy, arystokracya, pozbawiona wszelkich uczuć patryotycznych, trwoniła pieniądze za granicą, hulała, rozpustowała i tylko ze swych awantur znaną była w większych miastach europejskich. Mówiąc nawiasem, działo się tak, jak u nas ongi. Pierwsi działacze na polu odrodzenia wyszli z najniższych warstw narodu; do nich najpierw należy zaliczyć biskupa zagrzebskiego Vrhowca, który wyszedł z gminu i stanął na jednym z wyższych szczebli dostojeństw krajowych. Vrchowac wraz z młodym patryotą Antonim Mihanovićem przez swoje prace w celu rozbudzenia zamiłowania do mowy ojczystéj może być uważanym jako poprzednik sławnego Ludwika Gaja. Wkrótce występuje na pole literackie grono sił narodowych, któremu nowa literatura chorwacka winna swój początek. Rzecz godna uwagi, że poezya zjawiła się najpierw nie w formie lirycznéj, jak to się zwykle dzieje, lecz w dramatycznéj. Ukazują się dramaturgowie Miklouszić i Lovrenczić i komedyopisarz Brezovaczki. Około Gaja grupuje się zastęp zacnéj młodzieży i ukazuje się w roku 1834 pierwsze czasopismo literackie „Danica" (Jutrzenka) (1). Na tém kończy rzecz swą p. Szmicziklas. Potém następuje rozprawa znanego poety i krytyka chorwackiego d-ra Franciszka Markovića: „O dr. Demetrze, jako dramaturgu doby ilirskiéj." Dymitr Demeter (ur. 1811 † 1872 r.) wystąpił najpierw w 1838 r. z dwoma większemi dramatami: „Miłość i obowiązek" i „Krwawa zemsta." Są to utwory naśladowane, a raczéj przerobione z dramatów klasycznych pisarzy Dubrownika Gledjevića (Zorislava) i Gundulića (Sunczanica) i przeniesione na grunt narodowy. Potém ukazał się oryginalny i ze wszech miar godny uwagi dramat Demetera „Teuta", osnuty na walkach starych Ilirów z Rzymianami. Treści dostarczył autorowi opis tych walk w historyi Polibiusza. Umiejętnie autor umiał tu przeprowadzić tendencyą polityczną: walka Ilirów—to dzisiejsza walka Chorwatów w imię swobody podjęta. Głównym bohaterem dramatu jest Ilir Dymitr; kocha on namiętnie królowę Teutę, protegowaną przez Rzymian, ale nie może jéj pojąć inaczéj, jak tylko przez zdradę ojczyzny. Dymitr upada: zdradza kraj, mając atoli nadzieję, że potém będzie mógł zemścić się nad Rzymianami; wszakże w walce z nimi ginie. Pomysł dramatu świetny,—ożywia go moc słowa i mi-

(1) Na początku bieżącego stulecia staraniem władzy francuskiéj wydawano w Zadarze polityczne nowiny: „Kraljski Dalmatin."

łość idei narodowéj; pod względem jednakże wykonania pozostawia on wiele do życzenia. O późniejszych pracach Demetera zamilcza p. Marković, ponieważ należą one już do następnéj doby. — Po rozprawie Markovića następują artykuły dotyczące rozwoju nauk przyrodniczych w Chorwacyi, skreślone przez pp. Szuleka, Pilara i Brusinę, artykuł o zdobyczach na polu archeologii przez p. Ljubića i „Pogląd na historyą gramatyki i leksykografii od 1835 r.“ przez Budmana. Szereg tych rozpraw kończy obszerny artykuł d-ra Franciszka Raczkiego: „Szkic historyografii chorwackiéj od r. 1835 do 1885.“ Autor dzieli całą nową epokę rozwoju historyi w Chorwacyi na trzy peryody: od 1835 do 1850 r., od 1850 1867 i od 1867 do 1885. W pierwszym peryodzie badania historyczne szły naprzód bardzo powoli. Patryoci zwrócili głównie uwagę na to, aby rozbudzić ducha narodowości, zaszczepić zamiłowanie piękna i wykształcić język ojczysty. Podawano więc zwykle publiczności wyjątki z historyi, opowiadając czyny wielkich mężów, pisząc ich życiorysy lub malując fakty godne naśladowania; cytowano ustępy z większych poetów XVII w. i zwracano się także i do poezyi ludowéj. Chorwat Szwear napisał co prawda całkowitą historyą Chorwacyi do 1790 r., ale dzieło to pozostawia wiele do życzenia, najbardziéj z tego względu, że autor wcale nie znał nowych zdobyczy w badaniach historycznych i nie miał pojęcia o wymaganiach, jakie w téj mierze postawiła krytyka historyczna u innych narodów europejskich. Nieco pomyślniéj pracowano na tém polu w Dalmacyi, gdzie w téj epoce ukazało się kilka dzieł niepośledniéj wartości bądź w języku włoskim, bądź w chorwackim. W r. 1850 zawiązało się w Chorwacyi „Towarzystwo historyczno-archeologiczne“, którego celem było wyszukiwanie i wydawnictwo starych oryginałów z rękopisów, mogących rzucić jakiebądź światło na przeszłość narodową. Towarzystwo to wydawało swój organ: „Archiwum historyczne południowo-słowiańskich narodów“, gdzie ogłaszano wszelkie na polu historyi lub archeologii nabytki i odkrycia. Następstwa tych usiłowań były dość pomyślne: prócz wydanych w znacznéj ilości rękopisów, oprócz kilku oryginalnych podręczników historyi, zjawiły się monografie o oddzielnych epokach przeszłości, studya nad literaturą chorwacką, co ułatwioném było przez wydawnictwo znakomitszych poetów i pisarzy z XVI i XVII w. W zakresie historyi prawa równie téż uczyniono postępy. Wszakże badania dziejów ojczystych przybrały szersze nierównie rozmiary od czasu założenia akademii nauk w r. 1867, która wydała już od téj chwili niemałą ilość rękopisów starych i prac z dziedziny historyi politycznéj, historyi prawa lub literatury. Wybitne zajmują tu miejsce monografie

historyczne Raczkiego, Ljubića i studya nad literaturą prof. Jagića (1). Co się tycze całokształtu dziejów chorwackich, to na pierwszym planie należy niezaprzeczenie postawić „Historyą chorwacką“ Tadeusza Szmicziklasa w 2-ch tomach; prócz tego jako podręczniki szkolne, odznaczają się historye Tkalčića i Balenowića. Z całkowitych historyi literatury zasługują na wzmiankę prace J. Filipovića „Krótka historya literatury chorwackiéj i serbskiéj dla szkół średnich“ i A. Pechana „Historya literatury chorwackiéj“; wszakże obie te prace nie wiele mają cech oryginalności. Bez porównania lepszym jest w téj mierze „Przegląd“ Radetića; jest-to nawskróś oryginalne i na czysto naukowych badaniach oparte 4-tomowe dzieło o stanie literatury chorwackiéj, począwszy od r. 1538 do 1850. Prócz prac tych wyszło w tymże okresie i wiele innych monografii, tyczących się historyi politycznéj, kościelnéj, prawa lub literatury, a dowodzących z jakim zapałem i sumiennością pracują Chorwaci na polu odrodzenia naukowego. *J. Nitowski.*

---

(1) Jego „Historya literatury narodu chorwackiego i serbskiego“ jest jedną z lepszych prac w tym rodzaju.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Trzeźwość obecnéj chwili.—Pozostałość z epoki, kiedyśmy byli narodem wybranym.—Dla czego nie mamy pojęcia o marynarce, a na polityce znamy się?—Brak poczucia odpowiedzialności.—Pisma poważne.—„Gazeta Polska" jéj wysokie zalety i mały grzech.—Wielka łączność w przyszłości i mały sojusz dzisiaj.—Korespondent z Pragi.—„Vychod" dra Skrzejszowskiego.—Historya polska w Czechach i w Warszawie.—Trudne położenie opozycyi i nieuniknione jéj konsekwencye. P. (j. k.) przeczy sobie.—Dwa sprawozdania: z Kasy imienia Mianowskiego, i z piśmiennictwa naukowego.—Przesilenie w przemyśle cukrowym i środki mające go ratować. — Ubezpieczenie właścicieli domów od strat na komornem.

Był czas, żeśmy się uważali za naród wybrany. Ale to już dawno temu. Nieszczęścia, prąd krytycyzmu graniczącego często z rozpaczą niemal, zbyt silnie wtrząsnął organizmem, abyśmy mogli nieotrzeźwiéć zupełnie. Dziś może tylko już jacy ostatni Mohikanie zachowują pod tym względem złudzenia. Wszyscy wiemy, że żadne nadzwyczajne wrodzone cnoty nas nie zdobią, że najpiękniejsze kwiaty duszy i serca zwiędnieją, jeżeli atmosfera nie sprzyja ich rozwojowi. Od innych narodów stoimy o tyle wyżéj lub niżéj, o ile my lub one posunięte są daléj w rozwoju cywilizacyjnym. O przodowaniu światu niema mowy; aby nie zostać maruderem wśród ludów Europy, trzeba dużo i mozolnie pracować. Bez nauki—nic wiedziéć ani umiéć nie możemy, tak samo jak inni.

Ten tylko ostatni pewnik niezupełnie przyjął się jeszcze. Głośno nikt się nie przyzna, że natchnieniem jego nie jest szkoła, książka, studya, lecz... dobra rasa; co najwyżéj ten i ów napomknie coś o intuicyi, o entuzyazmie. Pozory znajomości rzeczy jak najgruntowniejszéj staramy się zachować w każdéj chwili. W rzeczywistości, ufność we wrodzone siły ducha, w wyjątkowe zdolności i talenty nie przestaje nas opuszczać w różnych wypadkach. Takie usposobienie dzielnie nas broni przed naciskiem krzewiącéj się obok wiedzy, a po za szczelną jego osłoną żyjemy sobie w spokoju sumienia,

pełni otuchy i fantazyi, podrwiwując nieraz z zaciekań i wniosków jakiego pedanta, dopóki naturalnie te nie zostaną na zachodzie, albo jeszcze lepiéj—na wschodzie, przełożone na gwarę dziennikarską i w ten sposób udoskonalone nie wejdą do Panteonu „najnowszych wyników wiedzy.“ Gdy tak już zmienione zostaną, że twórca sam poznać nie może, wtedy my je, biedne sieroty, tulimy do pełnego zapału łona.

Chociaż już i pod tym względem dopatrzéć można pewnego postępu. Ponieważ, naprz. naród nasz tylko wąziutkim skrawkiem ziemi ociera się o morskie fale, a przeszłość zostawiła nam w spadku tylko trzy, nie wszystkim znane, nazwiska Arciszewskiego, Sierpinka i Beniowskiego,—więc, naturalnie i najśmielsze nawet pisma nie wielką mają ufność do swéj kompetencyi w kwestyach marynarki i do zabierania głosu w tym przedmiocie nie są zbyt pochopne. Chwalebna wstrzemięźliwość! Do polityki za to przykładamy zupełnie inną miarę. Z Warszawy do Baltyku jest tak akurat daleko jak i do znajomości życia politycznego; to ostatnie widziéć można równie dokładnie jak parowce atlantyckie w „*Journal Illustré*“, albo „*The Graphic*“, a tymczasem, oto, nasz dziennikarz potrafi niejednego dyplomatę zakasować, gdy się zgada o stosunkach międzynarodowych. Nieraz już zwracano uwagę na zbyt wielką arbitralność i stanowczo za wysoki ton w traktowaniu nieudolności naprz. ks. Bismarcka lub hr. Salisbury. Rady słane do Berlina, Paryża i Rzymu są bardzo miłą zabawką w czasach, kiedy pisanie o wężu morskim zostało zupełnie zdyskredytowane. Ale poważniéj rzecz się przedstawia, jeżeli chodzi o Poznań albo Lwów: tam pisma warszawskie są czytane i mogą nieraz wiele zepsuć. A tymczasem i tutejsza surowość nie robi sobie wiele ceremonii, gdy się zabierze do strofowania koła polskiego lub poszczególnych przywódców, i tamtejsi oskarżyciele znajdują szeroko otwartą gościnność na łamach warszawskich dzienników. Wszystko to wynika z zakorzenionego uprzedzenia o szczególnéj łasce ducha świętego dla ludności, korzystającéj z warszawskiego bruku. Zdaje się nam, żeśmy tak szczodrze obdarzeni jasnością poglądów, nieomylnością rozsądku, że aby wydać sąd trafny, dosyć chwilę potrzymać w ustach lub koło czoła obsadkę z namoczoną w atramencie stalówką. Na okręcie najlichszemu majtkowi nie odważylibyśmy się dawać rady, na politycznéj nawie nie robimy sobie nic a nic z najdoświadczeńszych sterników. Ile to razy rozlega się z Warszawy komenda, z temi zerwać, z temi się złączyć, głosować na to, obalić ministeryum i t. d. Ludzie, dla oczu których ukryte są poważne skutki ich wystąpień, a oglądać mogą bezpośrednio tylko wywołane przez siebie polemiki dzienni-

karskie, nie czują odpowiedzialności, jaka spada na wtykającego palce do rozpędzonéj machiny życia praktycznego.

Tego, co tu mówię, nie należy naturalnie stosować nietylko do całéj prasy warszawskiéj, ale nawet ani do jéj większości. Obok partyzantów, dumnych ze swego nierachującego się z niczém animuszu, mamy dzienniki, zbyt silnie ożywione duchem obywatelskim, aby zaufały lada doniesieniu drążkowego opozycyonisty lub własnym kombinacyom, gdy te nie opierają się na należytéj znajomości rzeczy; zbyt doświadczone, poważne i prawe, aby miały nie powołane, nie wtajemniczone, nie kompetentne, plątać pasma, ponaciągane przez ludzi biegłych i oddanych swemu zawodowi, a potrzebujących dla dokonania czegoś zaufania i zapewne kontroli, ale innéj, niż dać może pismo i dziennikarz bez wyrobionéj znajomości rzeczy i poczucia nawet w sprawach politycznych.

Do takich poważnych organów przedewszystkiém zaliczyć należy „Gazetę Polską.“ Naczelne jéj artykuły polityczne pp. J. G. i A. R. niewiele zapewne mają równych sobie w prasie naszéj. Czytelnik nietylko znajduje w nich dokładne informacye o sprawach bieżących, ale go wprowadzają głębiéj w grę czynników politycznego życia Europy. Ztamtąd można dowiedzieć się, co to jest poważne traktowanie rzeczy poważnych, można brać przykład taktownego i spokojnego omawiania kwestyj najbardziéj drażliwych, najmocniéj irytujących. Ale właśnie dlatego, że tak wysoko cenimy wartość i stanowisko „Gazety Polskiéj“, musimy zrobić zastrzeżenie co do niektórych korespondencyi nadsyłanych z Pragi Czeskiéj. Pisane są one bez zaprzeczenia piórem wyrobioném i zawierają rzeczy istotnie zajmujące. W ostatnich jednak czasach brzmi w nich coraz wyraźniéj ton jakiegoś roznamiętnienia,—naturalne, może, odbicie téj gorączki, jaka obecnie na ulicach Pragi zapanowała.

Jak się ułożą stosunki słowiańskie w przyszłości, czy zapłoną w sercach naszych i czeskich wieczne ogniska platonicznéj miłości braterskiéj lub przyjacielskiéj,—o tém dziś przesądzać niepodobna. Propagowanie jakichś dozgonnych ślubów między całemi narodami współplemiennemi może być, w obecnych okolicznościach, zajęciem czysto teoretyczném: jeśliby nawet nie przyniosło żadnéj korzyści, to i szkody chyba nikomu nie zrządzi, a obawa zawikłania się bezpowrotnego w niewłaściwe sympatye byłaby podobno przedwczesną. Czasy nasze wcale nie tchną sentymentalizmem. W każdym jednak razie, jakkolwiek byśmy się zapatrywali na ideę braterstwa narodów,—jest to sprawa odległa i do jéj zbliżenia lub większego jeszcze oddalenia jeden i drugi artykuł gazeciarski, a choćby nawet

i cały jednostronnie zabarwiony dziennik, przyczynić się może w bardzo małym stopniu, a i to wtedy tylko, kiedy działać będzie do współki z czynnikami i interesami pierwszorzędnemi.

A tymczasem sojusz czesko-polski w austryackiéj radzie państwa, sojusz na małą skalę, niby prowincyonalny, nie związany szumnym programatem, ale zato praktyczny, powszedni, jest faktem istniejącym i widocznie oddaje jakieś przysługi Galicyi, kiedy go ona pielęgnuje i utrzymać nadal stara się. Dlaczego mielibyśmy ją zrażać do tego przedsięwzięcia, odbierać wiarę w powodzenie skromnéj roboty? Że autor listów z Pragi w „Gazecie Polskiéj" nie miał takich zamiarów—o tém jesteśmy jak najmocniéj przekonani; mamy jednak obawę, żeby jego korespondencye nie stały się mimowolnie wodą, na młyn p. Skrejszowskiego. Można i należy nawet informować naszych czytelników o dążeniach i zamiarach tego pana; można nie sympatyzować z Juliuszem i Edwardem Gregrami, krytykować ich taktykę, przyglądać się bacznie ich działaniu, zaznaczać wywijane przez nich koziołki polityczne; w uogólnianiu wszakże faktów pojedyńczych a zwłaszcza w wyprowadzaniu z nich wniosków ostrożność jak największa zawsze jest pożądaną.

Dr. Franciszek Skrejszowski wydaje w Pradze pismo „Vychod", w którém popuszcza wodze swéj, namiętnie wypowiadanéj ku nam niechęci; a że pismo to wciąż rośnie we wziętość, więc szanowny korespondent wnioskuje (N. 135), że prąd uczuć i dążeń czeskich uniemożliwia dalszą, łączną z nami działalność. „Zgoda czesko-polska—można czytać w „Vychodzie"—to czuły frazes, to szereg mów i toastów, przy kieliszku wygłoszonych. Gdzie się zaczyna potrzeba zgody, rzeczywistéj solidarności parlamentarnéj, tam „braterstwo" polaków się kończy. Polacy nas zawsze opuszczają w najważniejszych wypadkach, nie szczędząc pięknych słówek o „bolesnéj konieczności", o swéj konsekwencyi w „polityce interesów realnych" itd. Dzieje się to tak często, że u nas już w Czechach przestano się dziwić, gdy Polacy nie głosują z nami, lub głosują przeciw nam. Braterstwo czesko-polskie jest to idylla, zrodzona w głowach paru marzycieli." Prócz tego sprawozdawca „Gazety Połskiéj" powtarza nam takie poglądy „Vychodu" na dzieje polskie, na stosunki etnograficzne itd., które mogłyby nasuwać myśl, że dr. Skrejszowski nie kończył szkół w Czechach, lecz uczył się historyi z pewnych podręczników. Wszystko to dawno nam znane, wszyscyśmy to czytali, jeżeli nie w oryginale, to przynajmniéj w przytoczeniach naszych pism w rubryce „Z prasy"... a czeskie echo nie rozszerzyło pod tym względem zakresu naszéj wiedzy. Z powodu takich poglądów czeskiego pisma p. „(j. k.)" powiada: „Dowodzenia „Vychodu"

zasługują na uwagę wszystkich tych, co między nami, a Czechami nie widzą politycznych *przepaści.*" „Przepaści"?! Politycy utrzymują, że żadna z nich nie jest bezdenna, z dziejów zaś wiadomo, że jedną wytrwała praca zdołała zasypać, na drugiéj rzucono most trwały, trzecia znikła w okamgnieniu niby za dotknięciem laski czarnoksięskiéj, inna znów uległa powolnemu, ale niezawodnemu działaniu czasu, który wszystko przekształca, zmienia.

Szanowny korespondent — zauważymy nawiasowo — jest zapewne w tém szczęśliwém położeniu, że nie czyta wszystkich pism warszawskich; inaczéj wiedziałby on, że niepotrzeba jechać do Pragi, aby się spotkać z karykaturą historyi, ze smutną naiwnością pewnych poglądów etnograficzno-politycznych. I u nas, nad szarą Wisłą, można znaleść artykuły, obchodzące się z historyą własnego kraju po tatarsku, i u nas są literaci, co wspólne niemal z „Vychodem" poglądy głoszą.

Ani Gregrowie, ani Skrejszowski nie stanowią narodu czeskiego, i nie są wcale przedstawicielami większości. Z korespondencyi p. „(j. k.)" mogliśmy się byli dowiedzieć, że stronnicy tych panów wybijali szyby Riegerowi, chociaż mąż ten niezaprzeczenie jest głównym przywódzcą narodu. Dla czegoż by mieli być dla nas grzeczniejsi? Młodoczechy stoją w opozycyi względem rządu i względem większości własnego kraju, a jednocześnie różnią się od właściwéj opozycyi w radzie państwa, od liberalnych niemców, jeszcze bardziéj niż partya Riegera. Chcąc więc, pomimo małéj liczby, przydać sobie powagi, poczuli potrzebę oparcia się na jakiéjś sile po za parlamentem i po za państwem; chcąc zaś pokazać, że i sami stanowią groźną siłę, wyzyskali właściwą młodzieży skłonność do entuzyazmu i pchnęli ją do burdy ulicznéj. W rzeczywistości zaś pokazali, że mogą tylko dostarczyć roboty szklarzom, spełnili rolę tegorocznego gradu w Warszawie. Grad jednak nie jest siłą twórczą w polityce.

Postać rzeczy zmieniła by się, gdyby bracia Gregrowie lub „Vychod" uzyskali większość bądź w narodzie bądź wśród reprezentantów w radzie państwa. Ale z ostatniéj korespondencyi pana „(j. k.)" (nr. 140) dowiadujemy się, że wcale a wcale nie zanosi się na pokaźniejszą większość Gregrów, ani żadnéj innéj opozycyi. „Miasta i gminy — czytamy tam — dawniéj znane z charakteru opozycyjnego, obecnie zasypują Riegera adresami zaufania, a liczba tych adresów z każdym dniem wzrasta." Nacóż więc w takim razie było wywoływać widmo przepaści i alarmować nas wzrastającą liczbą czytelników „Vychodu"?

Mamy przed sobą dwa sprawozdania, mogące dać niejakie pojęcie o ruchu umysłowym u nas. Pierwsze z nich (*Sprawozdanie piąte z czynności komitetu, zarządzającego kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowém, imienia Mianowskiego za rok* 1886), kreśli nam obraz czynności instytucyi, opiekującéj się nauką w Królestwie, drugie (*Sprawozdanie z piśmicnnictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych, rok* 1885) pozwala dowiedzićć się o udziale naszym w rozwoju nauki, o rozmiarach i sposobach szczepienia jéj w całym kraju.

Kasa imienia Mianowskiego liczyła członków: założycieli 80 (więcéj niż w roku poprzednim o 5), honorowych 95 (więcéj o 5), rzeczywistych 1278 (więcéj o 148). Z téj ostatniéj liczby wniosło składkę tylko 602 członków dawnych i naturalnie wszyscy nowi. Zestawienie cyfr członków, którzy opłacali składkę w ciągu 5 lat istnienia kasy, wskazuje na stały rozwój instytucyi:

W r.	1881/2	— 635	którzy wnieśli	rs. 3831
„ „	1883	— 557	„ „	„ 3111
„ „	1884	— 672	„ „	„ 3947
„ „	1885	— 677	„ „	„ 3784
„ „	1886	— 750	„ „	„ 4280

Majątek towarzystwa według bilansu stanowi 102,587 rs. kop. 45.

Dochód kasy w ciągu 1886 roku wynosił w gotowiznie:

Od członków wszelkich rodzajów . . . , . .	5580 rs.	
ofiar jednorazowych	8105 „	17 kop.
procenty i dochody z funduszów kasy	7510 „	1 „
zwrócone pożyczki . . , ...	1560 „	12 „
zwrócone zapomogi warunkowo-zwrotne . . .	1407 „	67 „
pozostałość z roku poprzedniego	1618 „	36 „
Czyli razem dochód w gotowiznie	25781 rs.	33 kop.

Prócz tego kasa otrzymała 731 egzemplarzy dzieła Jaccouda: „Wykład patologii szczegółowéj", 3 t. po 13 rs., oraz 305 egzemplarzy dzieła Cohnheima: „Wykład patologii ogólnéj", 3 tomy po rs. 5.

W wykazie wydatków kasy znajdujemy:

Pożyczki na cele i badania naukowe	6,770 rs.	—
Pożyczki i zapomogi na wydawnictwa naukowe	10,957 „	82 kop.
na administracyą	441 „	45 „
papierów publicznych kupiono za	6,301 „	20 „
pozostało w gotowiznie u kasyera	1,320 „	80 „

Podań o pożyczki i zapomogi na cele i badania naukowe w roku 1886 rozpatrywano 28 z tych uwzględniono w całości 16, odmowną odpowiedź udzielono 12. *O pożyczki zaś i zapomogi na wydawnictwa naukowe* wniesiono próśb również 28, z tych uczyniono zadość 12, odrzucono 12, pozostało do decyzyi 4.

W tym dziale, który w roku bieżącym nie wzbudzi chyba żadnych już protestów, znajdujemy następujące pozycye szczególniéj ważne: „*P. B. Znatowiczowi, Redaktorowi Pamiętnika Fizyograficznego*, przyznano i wypłacono pożyczkę bezprocentową rs. 1200 na dalsze wydawnictwo tego dzieła". P. Józefowi Polakowi, Dr. Med., przyznano i wypłacono zapomogę bezpowrotną rs. 300, na dalsze wydawnictwo miesięcznika poświęconego hygienie p. n. „Zdrowie.""

Trzeci rodzaj wsparć, jakie Kasa udziela, nosi tytuł: *Pożyczki i zapomogi dla osób, które już poprzednio dały się poznać* z *prac naukowych*. W téj kategoryi złożono jedno podanie, wskutek którego wypłacono p. A. S. b. nauczycielowi, zapomogę bezpowrotną rs. 25. W czwartym dziale — *zapomogi z procentów od funduszu wieczystego imienia J. Nep. Jaśkowskiego*—wskutek jedynego podania wypłacono p. Oskarowi Kolbergowi 686 rs., które ten użył na wydanie 3 tomu dzieła p. t. *Mazowsze*. Nareszcie w piątym dziale—*zapomogi dla tłómaczów dzieł lekarskich*—złożono również jedno podanie i to uwzględniono, udzielając p. Ottonowi Hewelke, redaktorowi „Kroniki Lekarskiéj" 150 rs. na wydawnictwo.

Biblioteka matematyczna, wydawana z funduszów kasy (dział 2-gi) pod redakcyą pp. Baranieckiego i Czajewicza od roku 1882 do końca 1886 kosztowała 11,121 rs. 24 kop. Ze sprzedaży dzieł zaś zwróciło się przez ten czas 3330 rs. 49 kop. W roku rozpatrywanym największy dochód widzimy przy seryi 3-éj (kurs szkół średnich), którą stanowiły dwa dzieła samego redaktora p. Baranieckiego: *Arytmetyka* i *Teorya przecięć stożkowych*. Najmniéj przyniosła rozprzedaż seryi IV (wyższa matematyka). Nie można jednak z tego wnosić, że serya I, początkowa, rozchodzi się mniéj niż III, gdyż najprzód różnicę w liczbach wywołuje różna cena książek, a powtóre wpłynęło i to, że w seryi I nie było w 1886 r. nowych wydawnictw. Z załączonego w sprawozdaniu rachunku widzimy, iż koszt wydania doskonałéj *Fizyki początkowéj* p. S. Kramsztyka został w zupełności pokryty z rozprzedaży.

Ciekawym jest obrachunek liczby członków rzeczywistych kasy w różnych punktach kraju i po za krajem. Warszawa dostarczyła kasie połowę przeszło ogólnéj cyfry członków, gdyż 400 przeszło na 750; gubernie Królestwa blisko 160; gubernie zachodnie 90 przeszło (w téj liczbie 18 z Wilna); dalsze gubernie 70 kilku; Petersburg 20 kilku, zagranica 4, Kraków 2, Lwów 1.

W Poznańskiém członków wcale niema, ale temu wyrzutów dziś robić niepodobna; trudno natomiast chyba usprawiedliwić mały udział Galicyi. Bez kwestyi, korzystając z rezydencyi Akademii Umiejętności, mniéj potrzebuje ona pomocy kasy niż Królestwo, ale

działalność warszawskiéj instytucyi nie nosi wcale na sobie jakiegoś charakteru wyłącznego. Książki wydawane—są cenne wszędzie. Wskutek saméj już „Biblioteki matematycznéj“ powinni by po za Sanem zwrócić uwagę i przekonać się, że nie ma żadnéj furtki do usunięcia się od obowiązku. Takie książki z seryi IV — to głównie nawet pożyteczne będą w Krakowie i we Lwowie studentom uniwersytetów. Przytém tamtejsi profesorowie je piszą, tam obecnie przebywa jeden z redaktorów, więc punktów zetknięcia się i źródeł poznania nie brak.

Oceniając działalność Kasy w roku zeszłym, powiemy krótko, że była prawidłowa. Lakoniczność sądu wydaje nam się w tym razie wyraźnym obowiązkiem publicystycznym, tém łatwiejszym do spełnienia, że nie ma tu pola ani do nadmiernych pochwał, ani do surowéj nagany.

Sprawozdanie z piśmiennictwa naukowego polskiego zawiera 310 ocen lub wzmianek o pracach matematycznych i przyrodniczych, wydanych w 1885 r. W pierwszym roku 1882 w sprawozdaniu tém było 259 referatów; w 1883—205; w 1884—293. W obecnym tomie materyał rozpatrywany rozklasyfikowano na 13 działów. Prócz dzieł, które wyszły w osobnych książkach, uwzględnione tu są artykuły pism i wydawnictw peryodycznych, o ile te mają charakter naukowy i wchodzą w zakres obięty programem. Warszawskich wydawnictw cytuje sprawozdanie 20, poczynając od pism czysto literackich, kończąc na „Bibliotece matematycznéj.“ Krakowskich 7 (w téj liczbie Rozprawy i Sprawozdania Akademii Umiejęt., Sprawozdania komisyi fizyograficznéj); Lwowskich 5, Złoczowskie 1, Gorlickie 1, Tarnowskie 1. Przy jedném wydawnictwie nie zostało wymienione miejsce wydania, są to „Sprawozdania dyrekcyi c. k. gimnazyów i szkół realnych w Galicyi.“

Żałować należy, że w „Sprawozdaniu“ tém nie zrobiono jakiegoś ostatecznego zestawienia, któreby pozwoliło odrazu objąć ilość prac i ich kierunek; przerzucając kartki, trudno jest wytworzyć sobie jakiś obraz.

I dział *Matematyka.* Prac ogółem 12, w téj liczbie trzy profesora Baranieckiego; 3 książki: w Warszawie tom Biblioteki matematycznéj, w Chicago arytmetyka, we Lwowie praca, drukowana także w Sprawozdaniach dyrekcyi szkoły realnéj w Stanisławowie; 5 prac drukowało się w Rozprawach i Sprawozdaniach Akad. Um. Zasługuje na uwagę znaczna liczba prac nauczycieli gimnazyalnych galicyjskich na prowincyi; 3 drukowały się w Stanisławowie, 2 w Sprawozdaniach dyrekcyi wyższéj szkoły realnéj, 1 w takichże Sprawozdaniach gimnazyum. W Sprawozdaniach dyrekcyi gimna-

zyum w Jaśle jedno. Są to wszystkie prace z zakresu wyższéj matematyki; warszawski sprawozdawca mówi o nich pochlebnie.

II *Mechanika.* 2 prace: jedna w Rozpr. i Spraw. Akad. Umiej., druga w Przeglądzie Technicznym (Warsz.).

III *Fizyka.* Prac 20. Książka jedna (tłómaczenie w Warsz.); 5 prac w Rozpr. i Spraw. Akad. Um.; 2 w „Kosmosie" (Lwów), 8 we „Wszechświecie", 1 w „Muzeum" (Lwów), 4 w Przeglądzie Techn.

IV *Chemia.* Ogółem prac 33. Książek 3: 2 drukowane w Warszawie, 1 we Lwowie (podręcznik), 2 prace w Rozpr. i Spraw. Ak. Um., 12 w „Kosmosie", 8 we „Wszechświecie", 5 w Wiadomościach Farmaceut. (Warsz.), 2 w „Zdrowiu", 1 w „Przyrodniku" (Tarnów), 1 w Czasopiśmie Tow. Apt. (Lwów), 1 w Pamięt. Fizyj. (jedna z tych prac drukowaną była w 3 wydawnictwach, stąd szczegółowe liczby o 2 przenoszą ogólną).

V *Meteorologia.* Prac ogólem 16. 1 książka (Instrukcya dla stacyi meteor. Warsz.), 4 prac w Sprawozdan. komisyi fizyograficznéj (Kraków), 1 w Pamięt. Tow. Tatrzańskiego (Krak.), 1 w „Kosmosie", 3 we „Wszechświecie", 5 w Pamiętniku Fizyjograf. Prócz tego znajdujemy wzmiankę o buletynach meteorologicznych ze stacyi meteorologiczéj przy Muzeum w Warszawie we „Wszechświecie" i sprawozdania meteorologiczne obserwatoryum Politechniki lwowskiéj w Czasopiśmie techniczném.

VI *Mineralogia, Geologia i Geografia fizyczna.* Prac 51, z tych jedno tłómaczenie (w Pam. Fizyogr.). Książka jedna („Morze i życie w niém." Poznań); 2 prace w Rozprawach i Sprawozd. Akad. Um., 2 w Sprawozdaniach komisyi fizyograficznych, 5 w Pamiętniku Fizyograficznym, 3 w Pamięt. Tow. Tatrzańskiego, 7 w „Kosmosie", 15 we „Wszechświecie", 1 w Sprawozdaniach gimnazyum wadowickiego, 8 w „Inżynieryi i Budown.", 3 w „Przyrodniku", 1 w Gazecie Rolniczéj, 1 w „Górniku", 1 w Czasopiśmie Towarz. Apt., 1 w Bibliotece dla dzieci i młodzieży.

VII *Antropologia i archeologia przedhistoryczna* prac ogółem 10. 1 książka p. Ossowskiego wyd. Akad. Um., 1 we „Wszechświecie", 3 w Pamiętniku Fizyograficznym, 4 w Zbiorze wiadomości do antropologii krajowéj, 1 w Pam. Akad. krakow.

VIII *Botanika i fizyologia roślin.* Prac ogółem 43. 3 w Pamięt. Akad. Um., 8 w Spraw. kom. Fizyogr., 13 w Pamiętniku Fizyogr., 3 w „Kosmosie", 6 we „Wszechśw.", 2 z „Przyrodnika", 4 w „Ogrodniku" (Warsz.), 1 w „Hodowcy" (Warsz.), 1 w Czasopiśmie Tow. Aptek., 1 w „Niwie", 1 w „Gazecie Rolniczéj."

IX *Zoologia.* Ogółem prac 27. 1 książka (Warszawa, broszura p. Majewskiego), 1 w Pamięt. Akad. Um., 2 w Spraw. kom. Fizyogr.,

5 w Pam. Fiz., 6 w „Kosmosie“, 9 we „Wszechświecie“, 2 w „Przyrodniku, 1 w „Ateneum.“

X *Anatomia, fizyologia i patologia.* Ogółem prac 57. 2 książki (obie w Warsz., jedna odbitka z Książki Pamiątk. dla prof. Hoyera, druga Fizyologia Milla, książka popularna); 1 w Rozpr. i Spraw. Ak. Um., 5 w Pamięt. Tow. Lek. Warsz., 25 w Przeglądzie Lekar. (Kraków), 14 w Gazecie Lekarskiéj (Warsz.), 5 w „Medycynie“ (Warsz.), 1 w Wiad. farmac.

XI *Biologia ogólna.* Ogółem prac 14-cie. Oddzielnych wydawnictw 4: 1 książka oryg. (Warszawa) p. Natansona, 2 książki tłómaczone, Darwina i Taylora (Warszawa), 2 atlasy (Warsz. i Lublin), 5 w „Wszech.“, 2 w „Ateneum“, 1 w „Prawdzie“, 1 w Przegl. Tygdn.

XII *Psychologia i Filozofia.* Ogółem prac 19. 3 książki oryginalne (2 w Warszawie, Szokalskiego i Dygasińskiego, 1 w Tarnopolu p. Kosiby), 4 książki tłómaczone (3 Ribota, 1 Naville'a), 1 praca w „Kosmosie“, 1 we „Wszechśw.“, 1 w Przewod. Nauk. i Liter. (Lwów), 3 w „Ateneum“, 2 w Bibliotece Warsz., 1 w Przeglądzie Pedagog., 2 w „Prawdzie“, 1 w Przegl. Tygod.

XIII *Miscelanea.* Prac 6. 2 książki (jedna oryginalna p. Majewskiego, druga tłómaczona, obie w Warsz.); 1 praca w „Kosmosie“, 1 we „Wszechświecie“, 1 w „Inżyn. i Budownictwie“, 1 w Przew. Nauk. i Literackim.

Widzimy, że niepodobna jest z liczb tych nabrać pojęcia dokładnego o naszym stosunku do nauki, gdyż pomieszane są prace oryginalne z popularyzującemi. Przytém niewiadomo, czy wzmianki są robione o wszystkich artykułach treści matematycznéj lub przyrodniczéj, czy téż dokonano jakiego wyboru i jakiego? Sądząc z liczby artykułów w niektórych pismach, np. w Gazecie Lekarskiéj (14), lub z zupełnéj nieobecności tylu pism wnosić można, że nie wszystkie artykuły uznano za dosyć ukwalifikowane do zamieszczenia o nich referatu.

Oddzielnych wydawnictw w 1885 r. było 26: 24 książki (17-cie w Warszawie, 2 w Krakowie, 2 we Lwowie, 1 w Poznaniu, 1 w Tarnopolu, 1 w Chicago) i 2 atlasy (w Warsz. i w Lublinie). Między książkami oryginalnych było 16, tłómaczeń 8.

Na ogólną liczbę prac, rozpatrzonych w Sprawozdaniu, 4 przypada na Pamiętnik Akad. Um., 15 na Rozpr. i Spr. Ak. Um., 16 na Spraw. kom. fizyogr., 32 na Pamięt. fizyogr., 32 na „Kosmos.“, 62 na „Wszechświat“, 25 na Przegląd Lekarski, 14 na Gazetę Lekar., 5 na „Medycynę“, 5 na Pamiętnik Warsz. Tow. Lek. i t. d.

Z całéj cyfry referowanych prac w Warszawie drukowano 117, w Krakowie 70, we Lwowie 42, w Poznaniu 1, w Tarnowie 11, w Sta-

nisławowie 2, w Wadowicach 1, w Tarnopolu 1, w Gorlicach 1, w Jaśle 1, w Złoczowie 1, w Lublinie 1, w Chicago 1.

Z autorów najwięcéj sprawozdań omawia prace pp. Nusbauma i Siemiradzkiego (po 7), daléj p. Jędrzejewicza (6), pp. J. W. Dawida, Ossowskiego, Szokalskiego, Wierzbickiego i Znatowicza (po 5).

Nad jednym z najwięcéj rozwiniętych u nas przemysłów fabrycznych, cukrownictwem, zawisło ciężkie przesilenie. Ceny cukru od lat dwóch spadły tak nisko, że w większości wypadków nie pokrywają kosztów produkcyi. Część producentów najmniéj zasobnych już zamknęła fabryki, doprowadzona do upadku znacznemi stratami, wielu zaś innym grozi ten sam los dziś, lub jutro. Upadłości te odbijają się bolesném echem w kołach okolicznych rolników, dla których cukrownie są pewnego rodzaju instytucyami kredytowemi na małą skalę, udzielającemi zaliczek na zakontraktowany produkt, na warunkach, wogóle biorąc, dosyć dogodnych. Dokuczliwiéj jeszcze dotykają skutki upadku fabryk oficyalistów i robotników, którzy mieli w nich czy to stałe zajęcie, czy źródło czasowego zarobku. Temi okolicznościami spowodowana władza państwowa uległa żądaniom fabrykantów, i w celu przyjścia im z pomocą, zgodziła się na udzielenie czasowéj premii wywozowéj w formie pożyczki zwrotnéj w ciągu lat kilku, dla ułatwienia odpływu przewyżki wytworu po nad potrzeby spożycia miejscowego za granicę. Z uwagi jednak na interes konsumentów ograniczyła ściśle ilość cukru, mającego prawo do téj ulgi. Środek ten okazał się bezskutecznym, gdyż wywóz był zbyt małoznacznym w stosunku do przepełnienia rynku produktem, ażeby mógł poważnie oddziałać na ceny. Fabrykanci więc nie przestawali szturmować do rządu o udzielenie im premij bezzwrotnych dla nieograniczonéj ilości wywozu, powołując się na przykład Niemiec, Belgii i Austryi. Przykład to jednak zaiste smutny, kiedy pierwsze ze wspomnianych państw systemat ten doprowadził do takiego rezultatu, że ma ono dziś 48 milionów pudów nadprodukcyi, drugie 10, trzecie 15 milionów pudów. Dla wywiezienia tego nadmiaru i podtrzymania bytu fabryk musi naród niemiecki płacić 51½ milionów rubli złotem (po 1,08 rub. zł. od puda), Belgowie 16 mil. (po 1,60), a poddani austryaccy 12,6 mil. rub. zł. (po 84 kop. od puda) kontrybucyi pokojowéj na rzecz spożywców zagranicznych. Przykład ten rzeczywiście nie zachwycił rządu rosyjskiego i prośby cukrowników doznały w tym względzie stanowczéj odmowy. Nie uzyskał téż aprobaty, z niewiadomych nam powodów, racyonalniejszy już projekt obowiązko-

wego unormowania produkcyi odpowiednio do potrzeb spożycia krajowego, przedstawiony, jeżeli nas pamięć nie myli, przez byłego ministra skarbu, p. Bungego. Nowy minister, nie zgadzając się również na udzielenie premii, postanowił natomiast przyjmować opłatę akcyzy w cukrze, który miał być wywożony za granicę o tyle, o ile ceny rynkowe nie podniosą się po nad 4 rs. za pud mączki, gdyż takie mają być przeciętnie jéj koszta produkcyi. Fabrykanci nie przyjęli téj propozycyi, lecz, skorzystawszy z pomysłu p. ministra, oświadczyli, że sami zajmą się wywozem nadmiaru produktu na własny koszt i własne ryzyko. W tym celu zawiązali stowarzyszenie, którego uczestnicy, przedstawiający przeszło 85% ogólnéj produkcyi cukru w państwie, zobowiązali się wyprowadzić za granicę 25% swego wytworu w trzech partyach z oznaczonym dla każdéj terminem prekluzyjnym. Wywóz każdéj następnéj partyi miał dojść do skutku w takim tylko razie, jeżeli ceny nie podniosą się po nad 4½ rubla za pud mączki.

Stowarzyszenie to, jak słusznie zauważył adwokat rosyjski, Dumaszewski, wchodzi w kolizyą z artykułem, 913 i 1180 kod. kar. gł., grożącym za zmowę kupców, lub producentów, w celu podniesienia cen artykułów żywności, zamknięciem w areszcie na czas 4 do 8 miesięcy. Ponieważ jednak umowa cukrowników została zatwierdzona przez władzę, przeto ani o prawomocności jéj, ani o bezpieczeństwie stowarzyszonych wątpić dziś nie można. Warto wszelakoż zastanowić się nad tém, jakie skutki przynieść ona może dla publiczności i dla cukrownictwa.

Cały wytwór kampanii tegoroczněj obliczają w przybliżeniu na 25 milionów pudów. Wywóz więc dosięgnie około 6 mil. pudów. Ponieważ zaś przewidywane straty na pudzie wynoszą 1 rs., przeto publiczność jedynie dla ich pokrycia będzie musiała zapłacić na rzecz zagranicy 6 milionów rubli. Sumka pokaźna! Ale nie na tém koniec, gdyż po wywiezieniu nadmiaru produktu ceny mogą podskoczyć znacznie wyżéj, niż tego wymaga potrzeba odzyskania strat na wywozie i słusznego zysku producentów. Jeżeli możemy być pewni, że nie przekroczą one na długo 5,50 rs. za pud mączki, to jedynie dzięki prawu obniżenia cła wwozowego, przysługującemu w takim razie ministrowi skarbu. Maksymalna ta cena jednak może się utrzymywać stale i wypłaszać rok rocznie z kieszeni publiczności na korzyść fabrykantów co najmniéj 37½ mil. rubli po nad istotną potrzebę. Mówimy *co najmniéj*, lecz prawdopodobnie wypadłoby ogółowi płacić więcéj, bo tak znaczne zyski, naturalnie, zachęciłyby znowu cukrowników do dalszego rozszerzania produkcyi dotąd, dopóki by korzyści ciągnięte ze spożywców krajowych

nie przestały pokrywać strat na wywozie coraz większego nadmiaru produktu za granicę. Dla ogółu więc obywateli państwa perspektywa następstw zawartéj między cukrownikami umowy wcale nie jest wesoła.

Może jednak ta ciężka ofiara uratuje przynajmniéj od ruiny producentów, zagrożonych dziś upadkidm? Niestety, i to — złudzenie! Bezwątpienia, konające obecnie fabryki po podniesieniu się cen potrafią jeszcze przetrwać jakieś lat kilka, lecz będzie to dla nich tylko przedłużeniem agonii. Wiadomo bowiem, że są w Rosyi i u nas cukrownie, cieszące się tak szczęśliwymi warunkami, że nawet przy dzisiejszych niskich cenach osiągają pewne zyski i o zmniejszeniu produkcyi wcale nie myślą. Interesem więc ich będzie po podniesieniu się cen z roku na rok wytwórczość swą potęgować, gdyż tym sposobem nietylko osiągną na razie korzyści absolutnie większe, lecz jednocześnie doprowadzą do ruiny swych słabszych współzawodników, zmuszonych wywozić corocznie za granicę stosunkowo znaczniejsze ilości swego produktu i ponosić na téj operacyi coraz dotkliwsze straty. Zawiązane więc przez cukrowników stowarzyszenie, ani nie uratuje upadających fabryk, ani nie uchroni przemysłu cukrowego od nieuniknionego przesilenia. Zbogaci tylko milionerów kosztem ogółu obywateli. Obrońcy fabrykantów słodyczy pocieszają publiczność tém, że pierwszy termin wywozu już minął, a ceny pomimo to się nie podniosły. Lecz przyczyna tego faktu leży nie w filantropii cukrowników, ale jedynie w téj okoliczności, że wielu stowarzyszonych umowy nie dotrzymało, gdyż nie mieli ani zapasów cukru, ani pieniędzy na zakupienie go, w części zaś w tém, że zapasy z dawniejszych kampanii nagromadzone u kupców początek sprawy utrudniają. Ażeby temu zaradzić stowarzyszeni fabrykanci wciągnęli już do zmowy w ostatnich tygodniach i rafinerów. Długo więc już zapewne na zwyżkę cen czekać nie będzie potrzeba. Naszém zdaniem najlepszym sposobem wyjścia z przesilenia, stworzonego nadmiernie wysokiemi cłami, byłoby pozostawienie rzeczy własnemu ich biegowi. Wtedy wprawdzie fabryki, nie mające warunków trwałego istnienia, upadłyby prędzéj, lecz przynajmniéj kraj cały nie ponosiłby milionowych strat na korzyść garstki szczęśliwców, z bardzo małym realnie pożytkiem dla tych, którym by pomódz warto było, gdyby było można.

Podobnie niepocieszającemi skutkami dla ogółu mieszkańców naszego miasta brzemienny jest „projekt wzajemnego stowarzyszenia właścicieli domów, mającego na celu zmniejszenie strat na komorném w obrębie m. Warszawy,“ wypracowany przez pp. Władysława Janasza i Henryka Dziewulskiego. Według intencyi autorów

stowarzyszenie ma na celu za pomocą niewielkich składek, wnoszonych przez uczestników, zapewnić im wynagrodzenie na wypadek niewypłacalności lokatorów, lub nie wynajęcia mieszkań. Że niewypłacalność biednych, a więcéj jeszcze niesumiennych lokatorów, naraża wielu właścicieli domów na dotkliwe straty — wiemy o tém dobrze. Dlatego stowarzyszenie, mające na celu zmniejszenie tych strat przyjęlibyśmy z najzupełniejszém uznaniem. Inaczéj jednakże przedstawia się sprawa ubezpieczania lokalów niewynajętych. Miasto nasze nie ma jeszcze bynajmniéj za wiele domów. Dowodzą tego bodaj cyfry zebrane przez samych autorów projektu, a podane do wiadomości publicznéj przez *Kuryer Warszawski*.

Według tych danych, na tak wielkiéj ulicy jak Marszałkowska było lokali niezajętych zaledwie 11 z czynszem rocznym rs. 3,268, na Krakowskiém Przedmieściu 16 z czynszem rs. 9,756, na Świętojerskiéj 14 z czynszem rs. 5,430, na Nowym Świecie 24 z czynszem rs. 8,021, na Grzybowskiéj 16 z czynszem 4,300 rs., na innych jeszcze znacznie mniéj, np. na Chłodnéj i Wilczéj tylko 10 z czynszem około 1½ tys. rs. Czyż te niknąco drobne cyfry w stosunku do ogólnych summ komornego, pobieranego na powyższych ulicach, uzasadniają potrzebę stowarzyszenia? Sądzimy, że nie. Zwłaszcza, że, gdyby właściciele domów nakładali cokolwiek przystępniejsze ceny na lokale, z pewnością i tylu nawet niezajętych mieszkań by nie było. Tymczasem jeżeli nawet obawa tak niewielkiego prawdopodobieństwa niewynajęcia lokalu zmniejszona jeszcze zostanie przez zapewnienie wynagrodzenia ewentualnych strat, choćby tylko do wysokości 75%, jak stanowi projekt, to dla właścicieli domów zniknie wszelki bodziec do umiarkowania swych wymagań i wysokie już dziś nadmiernie ceny lokali pójdą jeszcze bardziéj w górę ze szkodą dla zdrowia, dobrobytu, lub majątku ogromnéj większości mieszkańców naszego miasta. Dla osłabienia takiego wyzysku i zapewnienia trwałego bytu stowarzyszeniu projekt stanowi wprawdzie, że jeżeli lokal po roku nie zostanie wynajęty przynajmniéj na kwartał, wynagrodzenie przestaje obowiązywać. Lecz małoż to znajdzie się ludzi, gotowych za zniżoną cenę pomieszkać w pięknych apartamentach przez trzy miesiące i wystawić kwit na sumę wyższą, niż ta, jaką rzeczywiścieby opłacali!... Miejmy więc nadzieję, że właściwa władza zwróci uwagę na niebezpieczeństwo, grożące lokatorom, i zabezpieczać strat na niewynajętych lokalach nie pozwoli.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Władysław Euzebiusz Kosiński,** syn jenerała Amilkara, urodzony w roku 1814 w W. Ks. Poznańskiém prowadził życie czynne, sprawom krajowym poświęcone. Więziony kilkakrotnie w Berlinie i Moabicie, od r. 1866 porzucił zawód gospodarski i przeniósł się do Poznania, gdzie się czynnie przykładał do rozbudzenia życia umysłowego i narodowego. Życia dokonał w Rydzynie pod Poznaniem 3 czerwca r. b. Oprócz artykułów rozproszonych po dziennikach wydał on w roku 1841 w Poznaniu pracę swego ojca: „Rzymianie w Grecyi, tłómaczenie z włoskiego", przeznaczając dochód z rozprzedaży na pomnożenie funduszu dla wspierania kształcącéj się młodzieży; następnie w roku 1850 ogłosił broszurę publicystyczną: „Sprawa polska z roku 1846 przed sąd opinii publicznéj wytoczona"; w 1851 drugą pod nap. „Naturalna polityka Polski"; w 1861 trzecią: „Odpowiedź na Ludwika Mirosławskiego; Powstanie poznańskie w r. 1848 w kształcie objaśnień do Jędrzeja Moraczewskiego powieści: „Targowa Góra" (Poznań, str. 114); wreszcie w roku 1876 wydał trzy z kolei: „Naród a religia", „Niebezpieczeństwo obecnéj chwili", „List otwarty do Krytyków ultramontańskich."

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum"
w ciągu m. Czerwca 1887 r.

---

1. **Sprawozdanie Łódzkiego oddziału** Towarz. popier. handlu i przemysłu w państwie Rosyjskiém za rok 1886. Łódź 1887. str. 68.
2. **Zgoda buduje, niezgoda niszczy**. Powiastka napisana przez *Jana Kowerskiego*, nagrodzona na konkursie „Gazety Świątecznej" w r. 1886. (Wydawnictwo Księgarni Krajowej Konrada Prószyńskiego). Warsz. 1887, w 16-ce, str. 72. Cena kop. 5.
3. **Encyklopedya techniczna**. Podręcznik praktyczny technologii chemicznej w zastosowaniu do przemysłu, rękodzieł, rzemiosł, sztuk, rolnictwa i gospodarstwa domowego opracowana podług najnowszych źródeł pod redakcyą *D-ra Aleksandra M. Weinberga*. Z 200 drzeworyt. tablicami, obejmującemi próbki przedmiotów w naturze. Warsz. 1887. Zeszyt III. (od str. 161 do 240).
4. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów Słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego*, *Władysława Walewskiego*, według planu *Filipa Sulimierskiego*. Tom VIII, zesz. 90, od str. 401—480 (Podjasionka—Podwołoczyska).
5. **Mechanika**. Wykład popularny przez *Józefa Łubieńskiego*, Inżeniera. Tom I. Mechanika teoretyczna. Warsz. 1887, nakładem prenumeratorów „Gazety Rzemieślniczej". Zeszyt I, 8-o, str. 48 (z drzeworytami).
6. **Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego** w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych. Rok IV. 1885. Wydanie z zapomogi Kas. pom. dla prac. na polu nauk. im. D-ra Józefa Mianowskiego. Warsz. 1887, 8-o, kart nlb. 4 + str. 300 + kart nlb. 3 + str. VI. (Cena rsr. 1, skład w księg. E. Wende i sp.).
7. **Sprawozdania i wnioski komitetów** oraz uchwała Akademii Umiejętności co do nagród z fundacyi ś. p. Barczewskiego. 8-o, str. 23.
8. **Postrzeżenia medyczne** oparte na dowodach i doświadczeniu. Przez *D-ra Klemensa Bartkowskiego*. Warsz. 1887, 8-o, str. 61.
9. *Korwin* (*Wincenty Chełmiński*). **Z życia**. Nowelle i satyry. Warsz. druk Braci Jeżyńskich, 1887, 8-o, str. 192 i III.
10. **Pięć odczytów o bakteryach**. Rys zasad ogólnych bakteryologii w zastosowaniu do chorób zaraźliwych z połączeniem uwag o szczepieniach ochronnych. Podał *Dr. O. Bujwid*. Warsz. 1887, 8-o, str. 45 (cena kop. 35).
11. **Celowość w naturze**. Studyum przyrodniczo filozoficzne napisał *X. Maryan Morawski T. J.* Kraków, 1887, 8 o, str. 203.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznej lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczej.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Іюня 1887 г.